ROMAN GIERTYCH ATAKUJE

Kto się boi Cezarego Gmyza?

CO TYDZIEŃ FELIETON CEJROWSKIEGO

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

NR 50/403 7–13 GRUDNIA 2020 CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

Warzecha o trzech pułapkach zastawionych przez Unię na Polskę

SZUKAJ WYDANIA Z FILMEM O NAJZUCHWALSZEJ KRADZIEŻY W HISTORII WATYKANU

Jak Polacy obchodzą pandemiczne zakazy

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829
Nakład: 61500 egzemplarzy

Śledztwo „Do Rzeczy”

TĘCZOWE BOJÓWKI

Mainstream zaczął pochwalać lewacką przemoc

SKUTKI ATAKU ROTAWIRUSÓW

CZY WIESZ, ŻE CHOROBA WYWOŁYWANA PRZEZ TE WIRUSY **JEST GŁÓWNĄ PRZYCZYNĄ HOSPITALIZACJI MAŁYCH DZIECI?**[1]

ZAKAŻENIE ROTAWIRUSOWE:

Biegunka i wymioty → **Utrata z organizmu wody i elektrolitów** → **Odwodnienie** Im **młodsze** dziecko, tym **szybciej** dochodzi do tego stanu[3]. → **Hospitalizacja**[2]

CHOROBA W LICZBACH – dotyczy dzieci poniżej 5 r.ż.

(szacunkowe dane – rocznie w Polsce)[2]

170 tys. wizyt u lekarza
22 tys. hospitalizacji

1/20 dzieci w pierwszych 5 latach życia **trafia do szpitala z powodu rotawirusów**[4]

8/10 pkt. **poziom stresu u matek dzieci hospitalizowanych** z powodu rotawirusów[5]

MOŻLIWE POWIKŁANIA CHOROBY ROTAWIRUSOWEJ (CHORZY W PROC.)[1]:

- **35%** Ostry zespół zaburzeń trawienia i wchłaniania
- **18%** Podwyższony poziom enzymów wątrobowych
- **10%** Zapalenie oskrzeli
- **9%** Podejrzenie zapalenia wątroby
- **5%** Zapalenie płuc
- **4%** Zaburzenia hematologiczne (krwi)
- **3%** Powikłania neurologiczne (drgawki)
- **2%** Przewlekła biegunka

SKUTECZNOŚĆ SZCZEPIEŃ PRZECIW ROTAWIRUSOM:

90–98%

90–98% DZIECI UZYSKUJE OCHRONĘ PRZED ZACHOROWANIEM NA CIĘŻKĄ BIEGUNKĘ ROTAWIRUSOWĄ I ZWIĄZANYM Z NIĄ SZPITALNYM LECZENIEM[6].

Materiał powstał w ramach kampanii informacyjnej „Powstrzymaj rotawirusy"

1. Pociecha W., Bałanda A., Marszalec M., Powikłania choroby rotawirusowej u dzieci – obserwacje własne, opisy przypadków, w: Forum Zakażeń 2013; 4(1):21-27
2. Szymański H., Chmielewska A., Szajewska H., Powikłania zakażenia rotawirusowego – przegląd piśmiennictwa, w: Standardy Medyczne – Pediatria, przedruk z nr 3, tom 14, 2017
3. Red. Chybicka A., Dobrzańska A., Szczapa J., Wysocki J., Pierwsze 2 lata życia dziecka, Przewodnik dla rodziców, Medycyna Praktyczna, Kraków 2012
4. Szczepienie przeciwko rotawirusom w pytaniach i odpowiedziach, Kompendium wiedzy 2015, Szczepienia – Medycyna Praktyczna, wydanie specjalne 1/2015
5. Szczepienie przeciwko rotawirusom w pytaniach i odpowiedziach, Kompendium wiedzy 2015, Szczepienia – Medycyna Praktyczna, wydanie specjalne 1/2015
6. Mrukowicz J;Szczepienie przeciwko rotawirusom;2015;1-26 (v1.0)

Szczepienie, podobnie jak podanie leku, może wiązać się z wystąpieniem działań niepożądanych. Wszystkie działania niepożądane produktów leczniczych należy zgłaszać do Departamentu Monitorowania Niepożądanych Działań Produktów Leczniczych Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych, Al. Jerozolimskie 181C, 02-222 Warszawa, tel. (22) 492-13-01, fax (22) 492-13-09, zgodnie z zasadami monitorowani bezpieczeństwa produktów leczniczych. Formularz zgłoszenia niepożądanego działania produktu leczniczego dostępny jest na stronie Urzędu www.urpl.gov.pl lub Podmiotu Odpowiedzialnego za produkt, którego zgłoszenie dotyczy. Treści zamieszczone w materiale mają wyłącznie charakter informacyjny, nie mogą być traktowane jako forma konsultacji medycznej i nie mogą zastąpić konsultacji lekarza, do którego należy ostateczna decyzja o sposobie i zakresie stosowanego leczenia.

GSK Commercial Sp. z o.o., ul. Rzymowskiego 53, 02-697 Warszawa,
tel.: 22 576 9000, fax: 22576 9001, pl.gsk.com

Powstrzymaj ROTAWIRUSY

NP-PL-ROT-WCNT-190001

gsk

eprasa.pl 223289eb43

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Nie taka zła przemoc?

Reakcją radykalnej lewicy na ogłoszenie przez Trybunał Konstytucyjny orzeczenia w sprawie ograniczenia aborcji w październiku było wezwanie do fali ataków na księży, na budynki kościelne, na liturgię mszy i ich przeprowadzenie. Rzecz do tej pory nie do pomyślenia. Jednak nowość polega nie tylko na tym, że pojawiła się grupa ekstremistów, która nie waha się używać przemocy i nawoływać do niej. To już się zdarzało. Gorzej, że takie poczynania cieszą się co najmniej tolerancją, a niekiedy wręcz wsparciem ze strony dziennikarzy czy publicystów wielkich liberalnych mediów. Granica, jaką było potępienie przemocy, podstawowy warunek debaty demokratycznej, została przekroczona. I jest przekraczana nadal. Okazuje się, że w walce z Kościołem i tradycyjnym społeczeństwem każda metoda jest dobra. Nawet, jeśli prowadzi do gwałtu.

Najbardziej zaangażowani demonstranci nawet nie kryją, co chcą osiągnąć. Ich zdaniem Kościół powinien wyrzec się swojej nauki i ogłosić, że życie poczęte nie jest życiem i że nie przysługuje mu obrona. Proste? A jakże. Jeśli się użyje odpowiednich metod, dlaczego nie? Na razie jesteśmy na etapie wandalizmu, wyszydzania i wulgaryzmów, ale jeśli to nie wystarczy, są inne sposoby przekonywania. Wszystko to są działania z gruntu niedemokratyczne. To po prostu jawna akceptacja siły i przemocy jako sposobu rozstrzygania sporów. Coś w rodzaju wstępu do wojny domowej.

Niebezpieczeństwo jest tym bardziej realne, że radykałowie mogą liczyć na przyzwolenie, za sprawą mediów, dużej części opinii publicznej. Pokazuje się ich przecież nie jak chuliganów, kim są w istocie, ale jako ludzi pokoju. Wszystko się tłumaczy i usprawiedliwia. Jedni piszą, że wprawdzie są przeciw przemocy, ale w tym przypadku ją rozumieją. Bo w ogóle to nie należy niszczyć kościołów, ale skoro stała się tak straszna rzecz jak to, że Kościół opowiedział się za obroną życia (faktycznie, nowość), to trzeba to odreagować. Inni dowodzą, że malowanie sprayem ścian, obrzucanie wyzwiskami, a nawet uderzenie (jeśli nie dość mocne) to nie przemoc, ale ekspresja swoich uczuć. Podobnie, to najnowsze odkrycie, wolno i należy zachęcać do palenia kościołów, bo rozsyłanie plakacików z płonącymi kościołami to nie zachęta do podpaleń. Ludzie mają prawo do gniewu i do jego wyrażenia – słyszę. Wreszcie są i tacy, którzy próbują odwrócić kota ogonem i udowodnić, że to ideologowie LGBT (QI i innych literek) są ofiarami. Pod tym względem swoistym szczytem bezczelności wykazali się autorzy rezolucji Parlamentu Europejskiego, którzy stwierdzili, że to Jarosław Kaczyński doprowadził do „agresji nacjonalistycznych chuliganów na demonstrantów". Tak, żyjemy w świecie coraz bardziej orwellowskim, gdzie to, co jest prawdą, zależy wyłącznie od siły, z jaką dana opinia jest wtłaczana ludziom do głów, i od tego, czy trafia ona w ich emocjonalne potrzeby. Dlatego wszystkie te strategie przyzwolenia dla przemocy – tłumaczenia, podżegania, odwracania sensu, zamazywania – mogą być w pewnym sensie skuteczne.

Jednak jest to bardzo niebezpieczne. Po pierwsze akcja powoduje reakcję. Jeśli jedna strona przekracza granicę, to zachęca do tego drugą i poziom agresji społecznej rośnie. Po drugie zamknięci w swoim świecie radykałowie, którzy mogą liczyć na poparcie dużych, masowych mediów, będą coraz bardziej skłonni wierzyć, że przemoc to właściwa odpowiedź na problemy. To zaś prowadzi do kolejnego przekraczania granic i coraz większej akceptacji gwałtu. Taki proces jest bardzo niebezpieczny i pociąga za sobą anarchizację państwa. Być może ktoś się nad tym zastanowi i pójdzie po rozum do głowy. A może nie. Oby nie było za późno. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl 223289eb43

FOT. MARTA BOGDANOWICZ/EAST NEWS

TEMAT TYGODNIA

14 TOMASZ ROWIŃSKI
WZBIERA FALA LEWICOWEJ PRZEMOCY
Tęczowe bojówki

KRAJ

20 KAMILA BARANOWSKA
RUCH ZIOBRY
Frakcje w Zjednoczonej Prawicy

22 ROZMOWA Z JANEM MARIĄ JACKOWSKIM
NIE JESTEM DYSYDENTEM

24 PIOTR SEMKA
ŻYWOT DANDYSA BEZ HAPPY ENDU – MARCIN KRÓL (1944–2020)

28 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
ROZWÓD Z ROZSĄDKU?

30 PIOTR GOCIEK
KTO SIĘ BOI GMYZA

32 ŁUKASZ ZBORALSKI
EDUKACJA OPRESYJNA

34 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
Z ZAKAZAMI W CIUCIUBABKĘ

KULTURA

36 PIOTR GOCIEK
ŚWIĘTA POKRÓTCE
Antologie świątecznych opowieści

NIE PRZEGAP

38 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

44 ŁUKASZ WARZECHA
EUROPRZEGRANI
Polska polityka wobec Unii

46 ROZMOWA Z TOMASZEM SOMMEREM
UNIA PRZEKUPUJE NAS FUNDUSZAMI

48 KAJA GODEK
CZAS DEKLARACJI, CZAS DECYZJI

HISTORIA

50 JERZY DĄBROWSKI
ZAMACHOWIEC
Kto zabił Stefana Martykę

ŚWIAT

56 JACEK PRZYBYLSKI
BIDEN STAWIA NA KOBIETY
Historyczne nominacje prezydenta elekta

60 PIOTR WŁOCZYK
MALTAŃSKI WALEC HELENY DALLI

62 WITOLD REPETOWICZ
NACJONALISTYCZNE PRZEBUDZENIE HINDUISTÓW

EKONOMIA

64 MARIA KĄDZIELSKA
NAJWIĘKSZA STREFA WOLNEGO HANDLU NA ŚWIECIE
Azja ponownie udowadnia, że to do niej należy wiek XXI

SPORT

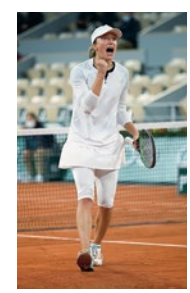

70 ŁUKASZ MAJCHRZYK
ZŁOTA PRZYSZŁOŚĆ
Finansowa kariera Igi Świątek

O ZDROWIU

72 ROZMOWA Z PROF. MARIUSZEM BIDZIŃSKIM
TRUDNY KOBIECY NOWOTWÓR
Rak jajnika

74 MATEUSZ WOŹNIAK
LICZY SIĘ CZAS

FELIETONY:

SEMKA (6), ZIEMKIEWICZ, JUREK (8), KOWALCZUK (9), GMYZ, GOCIEK (12), ZYCHOWICZ, KOPER (52), PRZYBYLSKI (54), GABRYEL, WARZECHA (66), KOMUDA (76), ZALEWSKI, MAKOWSKI (80), NOWAK (81), CEJROWSKI (82)

eprasa.pl 223289eb43

Drodzy Czytelnicy!

Czekamy na Wasze listy i e-maile. Pocztę elektroniczną prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

Na złość PiS-owi...

[...] Parlament Europejski zajmował się m.in. trzema obszarami, tj. przemocą wobec kobiet, tzw. prawami reprodukcyjnymi oraz prawem osób LGBT+. W związku z tym na portalu Krytyki Politycznej ukazał się artykuł europosłanki Sylwii Spurek, w którym stwierdziła ona, że „jest to kolejna sesja, na której musimy zajmować się łamaniem praworządności i praw człowieka w Polsce". [...] Jakkolwiek kwestia praworządności może być postrzegana w sposób ocenny i arbitralny, to na szczególne potępienie zakrawają słowa europosłanki o rzekomym łamaniu praw człowieka w Polsce. Zastanawiam się, czy pani Sylwia Spurek potrafi wskazać jakiekolwiek przepisy, które by potwierdzały, że na przykład osoby o innej orientacji seksualnej są w Polsce w jakiś sposób dyskryminowane bądź represjonowane [...]. Zapewne urzędnicy i europosłowie w PE z innych państw nie mają świadomości, że w polskim systemie prawnym od czasu Kodeksu karnego z 1932 r. nie ma żadnych przepisów sankcjonujących osoby o innej orientacji niż heteroseksualna, jednak ze względu na poczynania osób takich jak Sylwia Spurek et consortes niestety podejrzewam, że będą oni skłonni w to uwierzyć. Kolejną kwestią, nad którą ubolewała pani Spurek we wspomnianym artykule, było „zabieranie kobietom prawa do bezpiecznej i legalnej aborcji". Pomijając fakt, że z prawnego punktu widzenia prawo do aborcji nie jest prawem człowieka, należy przypomnieć europosłance z Polski, że to Trybunał Konstytucyjny zakazał przerywania ciąży z przyczyn eugenicznych, powołując się na konstytucję, którą jeszcze niedawno środowisko pani Spurek traktowało niemalże jak świętość. Niekonsekwencja i orwellowskie „dwójmyślenie" nie jest niczym nowym, jeżeli chodzi o przedstawicieli totalnej opozycji, jednak od teoretycznie polskich reprezentantów naszego kraju powinno się wymagać, aby najwyższym czynnikiem motywującym ich czyny był wspólny interes narodowy zamiast działanie na niekorzyść Polski, którą najprawdopodobniej utożsamiają oni z partią rządzącą. Niestety tego typu zabiegi mogą w konsekwencji prowadzić do przyznania Polsce o wiele mniejszych środków finansowych niż zazwyczaj, jednak zdaje się, że osoby pokroju pani Spurek nie zdają sobie z tego sprawy lub, co gorsza, działają w sposób świadomy [...].

Adam Wąsikowski

REKLAMA

Odkryj
Dziedzictwo Muzyki Polskiej

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dziedzictwo Muzyki Polskiej

Narodowy Instytut Fryderyka Chopina

PWM EDITION

Wyjaśnienie

W poprzednim numerze tygodnika w relacji z wręczenia nagród „Do Rzeczy" Strażnik Pamięci błędnie podaliśmy imię jednego z nominowanych do nagrody w kategorii Twórca. Nominowanymi byli Jarosław i Barbara Kłaputowie.

Za pomyłkę przepraszamy
REDAKCJA

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik **DO RZECZY**
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz

Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Wojciech Cejrowski, Wiesław Chełminiak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Tomasz Cukiernik, Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Marek Jurek, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Piotr Litka, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Tomasz Rowiński, Witold Repetowicz, Wojciech Roszkowski, Agnieszka Rybak, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Małgorzata Wołczyk, Jakub Wozinski, Tomasz Wróblewski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Karol Gac** z zespołem: **Zofia Magdziak** (zastępca), **Antoni Trzmiel** (zastępca, także dziennikarz Telewizji Polskiej), **Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Sandra Skibniewska, Marcin Bugaj, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Adobe Stock, oprac. graf. Pegaz/JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA — spółka notowana na GPW — POLSKI WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386
PUBLIC RELATIONS: (PR manager), pr@pmpg.pl
DYSTYRBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż); **Joanna Nowakowska** (prenumerata wydawnicza), prenumerata@pmpg.pl, tel.: 539 953 631; **Monika Doroś,** tel. : 508 040 664

ISSN 2299-8500
Nr indeksu nakładu podstawowego 288829
Nr indeksu nakładu z filmem 296430
Nakład 57 tys. egzemplarzy

NAKŁAD KONTROLOWANY — ZWIĄZEK KONTROLI DYSTRYBUCJI PRASY

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl 223289eb43

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Déjà vu

Jesteśmy jednak zmuszeni kategorycznie zaprotestować przeciwko dopuszczaniu i tolerowaniu anno 1950 na seminarium filozoficznym Uniwersytetu Warszawskiego, utrzymywanym ciężką pracą polskiej klasy robotniczej, niemających nic wspólnego z poważną dyskusją naukową, czysto politycznych wystąpień o charakterze wyraźnie wrogim budującej socjalizm Polsce.

Z najgłębszym szacunkiem: Baczko Bronisław, Holland Henryk, Kołakowski Leszek, Krasnosielski Norbert, Rybczyńska Irena, Słucki Arnold, Hadkowska Anna, Jarosz Henryk. Warszawa, dnia 27 marca 1950 roku".

Ten fragment listu studentów-marksistów do prof. Władysława Tatarkiewicza znalazł swoje miejsce w historii Polski jako pamiątka po najciemniejszym okresie stalinizmu.

Jego sygnatariusze, na czele z Leszkiem Kołakowskim, wstydzili się go latami. W listopadzie 2020 r. na łamach „Gazety Wyborczej" filozof Jan Tokarski, nawiązując do haniebnego listu z 1950 r., zastanawiał się: „Dlaczego ktoś tak mądry jak Kołakowski maszerował równym krokiem w szeregach partyjnych ideologów?".

W tym samym listopadzie, w którym Jan Tokarski zdumiewał się nad listem z 1950 r., na koncie twitterowym Beaty Maciejewskiej, posłanki Lewicy z Gdańska, poinformowano o pewnym kurtuazyjnym spotkaniu w jej biurze poselskim. Informacja brzmiała: „Oliwia Zamrzycka to studentka prawa Uniwersytetu Gdańskiego, która podczas zajęć zaapelowała do swojego wykładowcy Jakuba Steliny o rezygnację z pracy na uczelni. Jakub Stelina to profesor prawa i sędzia tzw. Trybunału Konstytucyjnego, który głosował za barbarzyńskim wyrokiem na kobiety. [...] Pogratulowałam jej odwagi i zaangażowania. Takich kobiet jak ona, które mają wkład w walkę o nasze prawa, są setki tysięcy".

Dlaczego oba wydarzenia mi się skojarzyły? W obu przypadkach studenci uznali, że wykładowca im nie odpowiada i mają prawo publicznie zaprotestować przeciw jego osobie. Formalnie rzec biorąc, ZMP-owcy z 1950 r. byli bardziej stonowani i protestowali jedynie przeciw „dopuszczaniu i tolerowaniu [...] wystąpień niemających nic wspólnego z poważną dyskusją naukową, czysto politycznych wystąpień o charakterze wyraźnie wrogim budującej socjalizm Polsce". Nie żądali odejścia prof. Tatarkiewicza z uczelni, choć do tego w końcu doszło. Pani Oliwia Zamrzycka poszła dalej. Uznała, że Jakub Stelin nie spełnia obowiązków stawianych przez Kodeks Etyki Nauczyciela Akademickiego UG, i wprost zaapelowała do wykładowcy, by zrezygnował „z pracy na naszej uczelni". Jej wystąpienia nie tylko nie uznano za zamach na wolność sumienia sędziego, lecz także zostało ono opisane w mediach w większości w życzliwym tonie. Jej czyn postanowiła uhonorować posłanka Lewicy.

Na razie takie wystąpienia nie powodują zwolnień z uczelni. Nie trzeba jednak mocno wysilać wyobraźni, by przewidzieć, że za parę lat, w miarę narastania politycznej poprawności, może stać się to faktem. Jest już wiele precedensów na Zachodzie, a ostatnio i w Polsce – choćby sprawa prof. Ewy Budzyńskiej z Uniwersytetu Śląskiego.

Szkoda, że nie żyje już Leszek Kołakowski. Ciekawe, czy i on odnalazłby podobieństwa w obu przypadkach? ©℗

FOT. MATERIAŁY PRASOWE MC

PRAWO JAZDY W TELEFONIE

Od soboty 5 grudnia kierowcy nie muszą już wozić ze sobą prawa jazdy. Zgodnie z prawem nie trzeba okazywać tego dokumentu podczas kontroli drogowej na terenie Polski. Wcześniej rząd podjął decyzję o tym, że nie będzie już obowiązku posiadania dowodu rejestracyjnego. Jednocześnie pojawiła się możliwość korzystania z mPrawa Jazdy, a także z elektronicznego dowodu rejestracyjnego i z informacji o zakupionym ubezpieczeniu OC w bezpłatnej aplikacji mObywatel. ***(jap)*** ©℗

IPN: SĘDZIA JÓZEF I. POPEŁNIŁ ZBRODNIĘ KOMUNISTYCZNĄ

Śledczy Instytutu Pamięci Narodowej złożyli w ubiegłym tygodniu wniosek do Sądu Najwyższego o uchylenie immunitetu Józefowi I. Byłemu sędziemu Sądu Warszawskiego Okręgu Wojskowego, który obecnie jest sędzią Sądu Najwyższego, chcą przedstawić zarzut bezprawnego skazania 21-letniego robotnika z Oświęcimia, Leszka W., na trzy lata pozbawienia wolności za kolportowanie ulotek wymierzonych we władze PRL. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl 223289eb43

50th Anniversary of Titanium Technology

SUPER TITANIUM

CITIZEN®

BETTER STARTS NOW

epresa.pl 223289eb43

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Szczepionka na pamięć

Twitter to niebezpieczne narzędzie. Niektórym zdarza się „ćwierknąć", zanim pomyślą. Tak się właśnie przydarzyło mężowi sławnej żony, byłemu szefowi MSZ i ON, a obecnie europosłowi Radosławowi Sikorskiemu. Zgodnie z zasadą, że dzień bez kąsania PiS to dzień stracony, uczepił się brytyjskiej zapowiedzi, że na Wyspach szczepienia przeciwko COVID-19 rozpoczną się już w grudniu, a w Polsce dopiero 1 lutego. Dlaczego? – Przez nieudolność PiS-owskiego rządu! – zagrzmiał. Na ten grzmot odpowiedziała minister Emilewicz zwięzłym wyjaśnieniem, że Wielka Brytania może się szczepić wcześniej, bo już nie należy do Unii Europejskiej, która ustaliła dla krajów członkowskich taki, a nie inny harmonogram działania – o czym europoseł i były minister dwojga resortów doprawdy powinien wiedzieć.

Może zresztą wiedział, może Sikorski wrócił do korzeni, do czasów, gdy występował jako polski promotor antyunijnej kampanii brytyjskiego milionera Goldsmitha – a że bierze teraz od Unii pieniądze, podgryzać poczucie sensu bycia w niej postanowił nie wprost, aluzjami? Szczerze mówiąc, wątpię, ale teoretycznie taka możliwość istnieje.

Poza wszystkim, skoro przeszedł Sikorski do plemienia PO, i to wykazując się w nim właściwą „perekińczykom" neoficką zajadłością, to podobnie jak inni członkowie tej partii nie powinien zanadto się w kwestii szczepionek wychylać. Z pozoru oczywiście sprawa jest prosta, jak to w PO: jeśli PiS zacznie szczepić, wówczas krzyczeć, że za szybko, że szczepionka niesprawdzona i wszyscy Polacy umrą od powikłań – jeśli zaś będzie sprawdzać, to w krzyk, że za późno i wszyscy Polacy umrą od koronawirusa.

Tylko zawsze jest ryzyko, że Polacy nie mają totalnej sklerozy i przypomną sobie, jak w kwestii szczepionek przeciwko tzw. ptasiej grypie popisały się swego czasu sama PO i Ewa Kopacz. Fakt, że nie skończyło się to tragedią, bo epidemia wygasła. Ale faktem jest też, że Kopacz zagrała hazardowo, nie wiedząc, czy tak będzie, od ratowania zdrowia Polaków uznając za ważniejsze ratowanie budżetu.

O tym pewnie Sikorski – jak to ma w zwyczaju – nie pomyślał. ©℗

MAREK JUREK

OD POCZĄTKU

Gwoździe w trumnie papieża

Borys Budka zasłynął perorami o „krwi na rękach". Makabryczne, ale użyteczne dywagacje, jeśli ktoś chce ukryć odciski po wbijaniu gwoździ w trumnę Jana Pawła II.

Uznała bowiem w końcu Platforma Obywatelska (a każda teza jak gwóźdź), że „dostęp do aborcji stanowi prawo człowieka", że ma „zasadnicze znaczenie dla osiągnięcia równości płci", że polscy lekarze za często powołują się na klauzulę sumienia, że w Polsce „prawa osób LGBTI+ są bardzo ograniczone" (choć przecież nie od dziś, więc i za ich rządów), że „większość ludzi w Polsce popiera prawo dostępu do aborcji do 12. tygodnia ciąży bez ograniczeń", że Komisja Europejska powinna wspierać „powszechny dostęp" do aborcji, a aborcjonizm powinien stać się częścią europejskiej polityki zdrowotnej. Platforma zagłosowała za tym wszystkim w Parlamencie Europejskim, w zwróconej przeciw Polsce rezolucji aborcyjnej, mimo oporów w samej Europejskiej Partii Ludowej.

Przeciw bowiem wystąpiło wprawdzie małe, ale za to doborowe grono polityków EPP, między innymi: Andrius Kubilius, były premier Litwy (twórca koncepcji Rzeczypospolitej Energetycznej), arcykrytyczna wobec rządów PiS Roberta Metsola, lider francuskich republikanów w PE François-Xavier Bellamy, Hans-Peter Liese z CDU.

Zagadkowe stanowisko zajęło PSL: nie przyłączyło się ani do rezolucji, ani do sprzeciwu, ani nawet do skrupułów, którym dali wyraz ci politycy EPP, którzy wstrzymali się od głosu (na przykład poprzedni przewodniczący Parlamentu Europejskiego Antonio Tajani czy Monika Hohlmeier, córka Franza Josefa Straussa).

PSL znikło, nie ujawniając również, za którym stanowiskiem właściwie nie chciało głosować. Niech się Polska i Europa domyślają. Wydawało się, że po Waldemarze Pawlaku nie będzie już większego sfinksa w polskiej polityce. A tu, proszę bardzo, Władysław Kosiniak-Kamysz. Richelieu, Wielopolski? Kto by pomyślał! ©℗

eprasa.pl 223289eb43

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Ekonomia Robin Hooda

Grupa mocno bolszewizujących deputowanych z miłościwie panującej nam w Italii koalicji złożyła poprawkę do ustawy budżetowej. Domaga się, by w obliczu ogromnych problemów kraju zabrać bogatym i obłaskawić biednych. Propozycja przewiduje, by nałożyć dodatkowy podatek na wszystkich, których majątek przekracza wartość pół miliona euro. A przy okazji obnaża totalny analfabetyzm ekonomiczny sygnatariuszy.

W miastach takich jak Rzym czy Mediolan wartość średniej wielkości mieszkania przekracza 400 tys. euro (we Włoszech 75 proc. populacji mieszka we własnych mieszkaniach), co sprawia, że ofiarami podatku padłyby również miliony rodzin z trudem spłacających kredyt mieszkaniowy. Jest również oczywiste, że właściciele wynajmowanych mieszkań natychmiast podwyższyliby lokatorom czynsz. Czyli po głowie dostaliby nie bogacze, ale biedni i klasa średnia.

Włosi już to przerabiali. Gdy noszony dziś przez postępowców na rękach spekulant Soros, zarabiając krocie, doprowadził w 1992 r. do upadku włoskie finanse i do dewaluacji lira (7 proc.!), dodatkowy podatek od majątku zaordynował socjalistyczny premier Amato. Cztery lata później lewicowy katolik Prodi ściągnął Włochom pieniądze z kont bankowych, by Italia spełniła warunki przyjęcia euro (tzw. europodatek). Notabene wspólna waluta stała się gwoździem do trumny włoskiej gospodarki.

Wszystko więc wskazuje na to, że włoskie postępowe rządy na pytanie, co zrobić, gdy w kasie brakuje pieniędzy, mają od lat jedną jedyną odpowiedź: ukraść obywatelom. Obecny rząd zastanawia się teraz, jak dostać i wydać obiecane przez Unię Europejską 209 mld euro. W tym celu powołany zostanie think tank 300 wybitnych ekspertów pod wodzą sześciu supermenedżerów. Włosi pytają, od czego jest rząd, ministerstwa, administracja publiczna i parlament. Jednakże może i lepiej się stało, jeśli pomyśleć, że mogliby się tym zająć fachowcy od ekonomii Robin Hooda. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Polak wszech czasów

Końcówka roku to czas refleksji oraz zadumy nad przemijającym czasem. Niekiedy jest to jednak moment radosnych podsumowań. „Dzisiaj mija dokładnie 6 lat od czasu wyboru Donalda Tuska na stanowisko Przewodniczącego Rady Europejskiej. Jeden z najwybitniejszych Polaków wszech czasów" – przypomniała wielkopolska Platforma. I rozpoczęła wyśmienitą dyskusję.

„Najwybitniejszy człowiek wszech galaktyki. Krzyżówka Chopina-Koperniak-Reagana-W.Jagiełły-Jobsa" – skomentował Patryk Jaki. „Wśród wybitnych postaci znanych panu Jakiemu pojawia się niejaki Koperniak. Zakładam, że chodzi o tego, który wstrzymał słonecznik i ruszył ziemniaka" – odpowiedział mu Marek Belka. „Nigdy nie śmiałem się z literówek na TT. Wydaje się, że poważnym ludziom nie przystoi. Jednak nic nie poradzę, że wiele osób zauważyło, że nawet »Koperniak« wydaje się być wybitniejszy od przewodniczącego Tuska" – ripostował europoseł.

Przed powrotem do poważnych tematów spędźmy chwilę z rozterkami młodej członkini SLD. „Straszne jest, jak ktoś mi pisze, że szukam bogatego faceta albo lecę na kasę. Nie znacie mnie, nie wiecie. Jestem kobietą, dla której liczy się wnętrze" – wyznała Justyna Klimasara. Również Justyna Klimasara, odpowiadając na jedną z twitterowych zaczepek: „Ale prostak. Najzabawniejsze, że tacy jak Ty sprzątają u facetów, z którymi ja się umawiam". I jak tu wierzyć kobietom?

A teraz chwila grozy oraz wnikliwej analizy socjologicznej. „Biorąc pod uwagę obecne poparcie dla PiS na poziomie ok. 30 proc., rząd ma dla swoich działań wsparcie zaledwie 5,5 mln obywateli (przy frekwencji 60 proc.). Oznacza to, że pozostałe 33 mln Polek i Polaków są pod okupacją 14 proc. pisowskiej mniejszości" – zadeklarował prof. Maciej Gdula.

Echem na ten wpis odpowiedziała tolerancyjna i uśmiechnięta część Polaków, wiążąca koniec z końcem mimo życia pod butem reżimu: „Miliony ludzi na ulicach polskich miast, setki tysięcy polskich i unijnych flag, uśmiechy na twarzach i radosne piosenki. Tak będzie wyglądał pogrzeb Jarosława Kaczyńskiego" – stwierdził niejaki Szymon Komorowski. ©℗

eprasa.pl 223289eb43

FOT. PAWEŁ GROMADA

SIŁA TYLKO PIĘKNYCH KOBIET

Podoba nam się pomysł, że kobiece magazyny poparcie dla Strajku Kobiet i walki o ich rzekome prawa wyrażają okładkami z pięknymi zdjęciami celebrytek. „Elle" dało na okładkę Annę Lewandowską z tytułem „Siła kobiet". Części jej koleżankom-celebrytkom bardzo się to nie spodobało. Lewandowska ich zdaniem nie poparła Strajku Kobiet wystarczająco mocno. Z kolei „Vogue" zamieścił na okładce zdjęcie półnagiej modelki Anji Rubik, znanej z popierania feministycznych postulatów i promocji edukacji seksualnej. Też z tytułem „Siła kobiet". W obu przypadkach pojawiły się pytania, dlaczego redakcje postawiły na celebrytki, a nie liderki strajku. Czyżby liczyła się tylko „siła pięknych kobiet"? Ale przecież, gdyby tak było, feministki na pewno protestowałyby już pod redakcjami i na ulicach wszystkich miast. Nie, na pewno jest jakieś inne wytłumaczenie. Jest?

GAMBIT CELEBRYTKI

Celebrytka Agnieszka Popielewicz i jej mąż wokalista Grzegorz Hyży postanowili przypomnieć o sobie, zamieszczając na Instagramie klimatyczną, wystylizowaną fotkę, jak pięknie ubrani w przytulnym pokoiku grają... w szachy. Tak, w szachy, bo zafascynowali się serialem na Netflixie. „Gambit i jego królowa. Po prawie siedmiu latach we wspólnym biegu... Od marca na dywanie. Od prawie roku pierwsze wspólne zdjęcie, trochę nas mniej i w prasie, i na Instagramie. Tak bardziej poważnie, dla nas, przy naszych wcześniejszych zajętościach zawodowych, to nowość, ale są też tego ogromne plusy w postaci serialowych maratonów (»Gambit królowej«, kto widział?)" – napisała prezenterka. Niestety podczas sesji ktoś nie zadbał o detale i wyszło, jak wyszło. Internauci natychmiast wyłapali, że figury na szachownicy są źle ustawione, więc ta ich gra w szachy to ściema. Sweterki za to mają piękne, takie kolorystycznie dobrane do szachów.

WADY I ZALETY

U Małgorzaty Rozenek jak zwykle afera. Tym razem celebrytka zareklamowała podkład do twarzy znanej marki drogeryjnej ze średniej półki i część fanek zwyczajnie nie uwierzyła jej, że używa produktu za 40 zł. – Jak polecam coś drogiego, to się oburzacie, że to nie dla wszystkich, jak coś tańszego, to mówicie, że nie używam. Spiski, wszędzie spiski – oburzyła się Małgorzata w odpowiedzi fankom. Pojawił się też zarzut, że Perfekcyjnej Pani Domu „do reklamowania został już chyba tylko papier rumiankowy". Na ten zarzut Rozenek też odpowiedziała.
– Jeżeli już tak bardzo wyliczasz mi współprace, to idź o krok dalej i zrób listę. Nagle się okaże, że nie było ich wcale tak wiele i że są bardzo konsekwentne, a może nawet niektóre z nich to moje marki. Od kiedy przedsiębiorczość to wada? – zapytała. Może wtedy, gdy ktoś zamęcza nią wszystkich dookoła?

JAK ZROBIĆ TŁOK

Celebrytka Monika Zamachowska jest oburzona tym, co się dzieje po otwarciu galerii handlowych. Wszędzie pełno ludzi.
„Ludy ruszyły... Arkadia dzisiaj. Boszsz, jak dobrze, że teatry, restauracje i siłownie zamknięte, bo naprawdę byłoby ciężko z tym dystansem społecznym... A tak możemy się czuć bezpieczni. Niech to szlag" – napisała, zamieszczając zdjęcie z galerii handlowej w pierwszy weekend, gdy je otwarto. Jej fani przytomnie zauważyli, że narzeka na innych, a sama także pognała od razu do galerii. „Po co tam się włóczyć?" – zapytała jedna z fanek. „Żeby to zobaczyć" – odpisała pani Monika. Nie ma to jak popsioczyć sobie na tłum, który samemu się tworzy. Tylko po co od razu w Internecie, nie mogłaby do lustra? ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

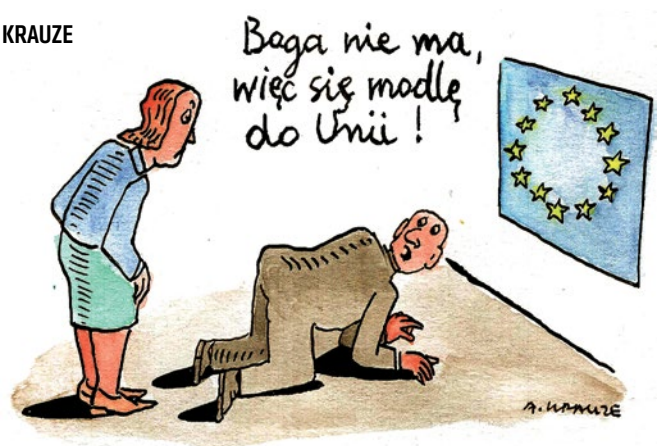

eprasa.pl 223289eb43

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, iż rząd nareszcie otworzył się na głos ludu i otworzył galerie handlowe, spędziliśmy wspaniałe popołudnie w krakowskiej Bonarce razem z kilkuset innymi osobami spragnionymi odwiedzenia modnych butików. Udaliśmy się tam of kors zaraz po proteście.

Nasz spokój został jednak zmącony, iż idąc na stację benzynową po energetyk i ibuprom, zobaczyliśmy, jak ludzie idą sobie do kościoła. Zupełnie, jakby nie było pandemii! Nie rozumiemy, jak można być tak nieodpowiedzialnymi, przecież tu chodzi o bezpieczeństwo nas wszystkich!

I tak sobie w niedzielę odsypialiśmy trudy poprzedniego dnia, bo wjechała jeszcze domówka u frendziar z kolektywu, na której przepraszaliśmy za naszą toksyczną męskość, iż chcieliśmy je nieopatrznie przepuścić w drzwiach.

Jak tam, doczekaliście się wizyty świeckiego Mikołaja? My tak, iż byliśmy jednak grzeczni, no i ucięliśmy sobie z nim pogawędkę na temat opresyjnej męskości, norm społecznych i braku parytetu. No bo kurde, jednak na stanowisku Mikołaja widzimy jak na dłoni przykład gender gap.

Wytłumaczyliśmy więc Mikołajowi, iż po pierwsze należy przestać dzielić dzieci na grzeczne i niegrzeczne, iż o tych kryteriach decydują zazwyczaj starsi heteroseksualni mężczyźni, więc z natury rzeczy nie mogą one być w porządku. Prezenty należą się bowiem każdemu, kto ich chce, iżby nikomu nie było przykro.

Po drugie, wizerunek Mikołaja jako postawnego starca z siwą brodą jest zbyt patriarchalny i może sprawiać, iż osoby męskie niedysponujące zarostem lub niskie i niewysportowane poczują się źle.

A po ostatnie – Mikołaj powinien jednak zadbać o to, iżby jednak wypełnić gender gap. Tyle że tu mamy dylemat: czy osoba żeńska mikołajowa może dźwigać tyle prezentów, czy jednak nie. Potrzebujemy to jeszcze skonsultować z autorytetami.

A na koniec pewne info. Nasz wujek pracuje w Sejmie i mówi, żeby w tym roku nie zostawiać pustego nakrycia na wigilijnym stole. Według jego informatorów będzie wprowadzona odpowiednia ustawa nakładająca za to sankcje, iż jest to zachęcanie do utrzymywania niekoniecznych kontaktów społecznych. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

PODSŁUCHANE

Strzygła i igła

Adam, to chyba trzeba będzie się zaszczepić.
Chcesz, to się szczep, Jacek.

Ale ja raczej o tobie myślałem. No bo wiesz, naciski się zaczynają. Mówią, żeby prezesa publicznie zaszczepić, ale prezes ledwo maseczkę chce nosić. Co dopiero jakieś szczepienie. Więc żeby odwrócić uwagę, jest koncepcja, żebyście się z Mateuszem publicznie zaszczepili.
Chyba żartujesz, ja jeszcze nie zwariowałem.

No, ale... to w końcu ta szczepionka jest dobra czy niedobra?
Ona może jest i bardzo dobra, ale może ona jest i bardzo zła.

Słuchaj, nie chcę naciskać, ale właściwie to nie jest pomysł, tylko nakaz. Z centrali. Macie się zaszczepić na konferencji prasowej.
Jacek, weź no tam otwórz to pudełeczko, co stoi na stoliku. Co widzisz?

Strzykawka jest, igła i buteleczka.
Właśnie. Bo ja jestem zawsze przygotowany i to jest moja szczepionka specjalnie na tę okazję.

Czyli jednak?
Przeczytaj napis na buteleczce.

„Sól fizjologiczna". ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Dziś kolejne spotkanie nieformalnej koalicji: »Klubu przyjaciół Putina«"

ADAM SZŁAPKA, *poseł Nowoczesnej, o spotkaniu premierów Polski i Węgier, na Twitterze*

eprasa.pl 223289eb43

dwaj panowie g

No pasarán!" oraz „Ani kroku w tył!" – to hasła przyświecające rządowi Mateusza w kwestii unijnych negocjacji budżetowych. Wiewiórki mówią, że presja rośnie, ale każde ustępstwo przed szczytem byłoby sygnałem słabości i wykorzystane zostałoby do rozszarpania nas na strzępy. Wiewiórki oglądały też występ Gowina w Brukseli i zastanawiają się, czy on w pełni rozumie znaczenie haseł „No pasarán!" oraz „Ani kroku w tył!".

Tymczasem pierwszym aktem unijnej zemsty będzie odrzucenie na komisji europarlamentarnej polskiego kandydata do Europejskiego Trybunału Obrachunkowego, czyli Marka Opioły. Ma to ponoć nastąpić 7 grudnia. Potem Opiołę odrzuci Parlament Europejski. Procedura jest jednak trzystopniowa i na końcu decyduje Rada Europejska. Ona pewnie klepnie Opiołę. W końcu jego poprzednika, Janusza Wojciechowskiego, też tak kontestowano.

Skoro już o personaliach. Kilku polityków PiS wyraziło w naszej przytomności opinię, że dla demokracji wewnątrzpartyjnej byłoby dobrze, gdyby na kongresie partii pojawił się jakiś kontrkandydat dla szeregowego wicepremiera Jarosława Kaczyńskiego. Jeden z rozmówców nawet określił proces poszukiwania kontrkandydata jako „szukanie ojcobójcy".

Skąd te nastroje? O to też spytaliśmy. W sumie odpowiedzi były podobne – Kaczyński SWP traci kompas od czasu „piątki dla zwierząt", bijemy we własny elektorat, przestraszył młodych itd., itp. Jednak pytanie: „Kto zamiast?" na razie pozostaje bez odpowiedzi. Owszem, nazwiska padają, ale sami wymieniani zaprzeczają, a w dodatku błagają, by ich w tym kontekście nie wymieniać. Szanujemy to życzenie, licząc na to, że – jak nas zapewniają – pierwsi poznamy kandydata na delfina. Rozumiemy tę ostrożność. W Polsce zwykle partyjnych delfinów spotyka los karpia.

Dalej o personaliach. Wszystko wskazuje na to, że klątwa fotela prezesa IPN się spełni. Jak wiadomo, żadnemu prezesowi nie udało się dotąd pokierować instytutem dwie kadencje. Czy tak będzie także tym razem? Niektórzy twierdzą, że decyzja w sprawie prof. Szarka zapadła i będzie nowy prezes. Jedno miałoby się jednak nie zmienić. Do tej pory prezesem był zawsze albo ktoś z Wrocławia, albo ktoś z Krakowa. Dwaj najpoważniejsi potencjalni nowi kandydaci też są związani z tymi ośrodkami. Ich nazwiska już znamy, ale jeszcze potrzymamy was w niepewności.

Nie zmienił się też przewodniczący (a dokładnie „współ-") Grupy Inicjatywnej Unii Kredytowych przy Parlamencie Europejskim. Znów został nim Richard Henry Czarnecki. Co odnotowujemy z dwóch powodów: po pierwsze, to podejrzane, że nie objęły go antypolskie retorsje związane z wetem budżetowym. Po drugie, jednak nam zaimponował. Zna się na wszystkim: na kolarstwie, żużlu, piłce nożnej, polityce międzynarodowej, polityce polskiej, organizacji wyborów w Azji Południowo-Wschodniej, no i oczywiście na kasach pożyczkowych też. My też się znamy na wszystkim, ale Rychu chyba jednak bardziej.

Tymczasem w Warszawie. Zazwyczaj fraza „się wściekł" była zarezerwowana dla złego Donalda z Brukseli. Tym razem wściekł się jednak Krwawy Mario stojący na czele policji, straży i służb specjalnych. Otóż wściekł się był na wieść, że w związku z pandemicznym cięciem wydatków szef resortu finansów chce odebrać pieniądze funkcjonariuszom. Mario nie tylko się wściekł, lecz także położył Rejtanem. Skutecznie.

Co w sprawie powoływania nowego rzecznika praw obywatelskich? PiS czeka na zmianę większości w Senacie. Bez izby hejtu i glejtu nie da się powołać nowego RPO. A jak nam mówił jeden z senatorów, większość w Senacie jest bardzo krucha i wystarczy jeszcze jeden głos, żeby układ się zmienił. Czekamy, czekamy, popcorn kupiony.

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

Apropos popcornu – skubiemy sobie, obserwując seksaferę w Brukseli. Chodzi o homoseksualną orgię, w której udział brał węgierski europoseł József Szájer. Mało kto wie, że był to najważniejszy węgierski eurodep, siedzący zawsze w pierwszym rzędzie i przeszywający mówców swoim wzrokiem dzikiego węgierskiego Wernyhory (wygląd zresztą ma podobny).

Szájer był bardzo ważną figurą we frakcji Europejskiej Partii Ludowej, do której należą i Fidesz, i Platforma Łobywatelska. Co ciekawe, często widywano, jak przyjacielsko gawędzi sobie z europosłami Krzysztofem Hetmanem oraz Andrzejem Halickim. Nie sugerujemy w ten sposób niczego na temat orientacji tych ostatnich, odnotowujemy tylko zabawne szczegóły z życia brukselskich elit. O, jednak wyszedł nam żarcik na koniec! Kumacie? Że niby Hetman i Halicki to elity.

Tymczasem 29-letni David Manzheley, czyli organizator brukselskich homoseksparty, to żaden tam obcy, tylko swojak, z Polski, mama na nazwisko ma zdaje się Zguda. Poszukiwany przez swojską, polską policję za oszustwa. Liścikiem gończym. No i ma prawdziwie polskie poczucie humoru: „Policjanci byli bardzo nieuprzejmi i obrażali nas. Od razu zażądali od nas dokumentów tożsamości. Tylko jak mogliśmy natychmiast je okazać, skoro nikt nawet nie miał na sobie majtek?" – skarżył się w mediach.

József Szájer udał się na orgię w majteczkach, ubraniu i tylko z małym plecaczkiem, ale bez dokumentów. Dbał o anonimowość. Co przypomniało nam czasy, gdy ważnym politykiem w polskim Sejmie był Stefan Niesiołowski. Jak słyszeliśmy, jurny Stefan lubił też popatrzeć, a szczególnie ciągnęło go do restauracji Sofia na pokazy go-go. By nikt go nie rozpoznał, poszedł tam po godz. 22 w ciemnych przeciwsłonecznych okularach. Jak się domyślacie, nic tak nie wzbudza zainteresowania, jak facet w okularach przeciwsłonecznych po godz. 22. No i stąd znamy tę historię. ©℗

eprasa.pl 223289eb43

Grupa Inwest®

Budujemy Twoją przyszłość!
Od 1996 roku

SPÓŁKA NOTOWANA NA GPW

FABRYKA MATERIAŁÓW PREFABRYKOWANYCH

HM FACTORY Sp. z o.o.

biuro@grupainwest.pl

+48 22 616 31 94

www.grupainwest.pl

eprasa.pl 223289eb43

Tomasz Rowiński

Wzbiera fala lewicowej przemocy

To, co widzimy w Polsce w ostatnich tygodniach, to tylko część długotrwałego procesu przechodzenia liberałów i lewicy od usprawiedliwiania przemocy polegającej na manipulowaniu i sianiu kłamstw do usprawiedliwiania rękoczynów

„Kościół się doigrał! Rusza antykatolicka rebelia!" – pisze w czasie największego natężenia protestów przeciw orzeczeniu Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji eugenicznej na swoim blogu na portalu tygodnika „Polityka" Jan Hartman. Jest 25 października.

Wtóruje mu 23 listopada Lech Wałęsa, umieszczając w mediach społecznościowych obrazek z „koktajlem Mołotowa" i komentarzem: „Nie mamy wyboru".

Anna Dziewit-Meller na portalu „Tygodnika Powszechnego" w dniu orzeczenia TK (22 października) ordynuje początek „nowej wojny". Zresztą wezwania do wojny idą ostatnio w tysiące powtórzeń. Tytuł książki Klementyny Suchanow, jednej z liderek manifestacji – „To jest wojna" – stał się hasłem proaborcyjnej rewolty. Wciąż funkcjonuje jako hashtag w mediach społecznościowych. Może trochę rzadziej, od kiedy normalni ludzie zaczęli się przed tą wojną bronić.

Portal spidersweb.pl nazywa liderki tej ulicznej przemocy, która przetacza się przez Polskę, „bohaterkami".

Jeden z liderów opozycji, Borys Budka, zakłada maseczkę z czerwonym piorunem. „Nigdy nie zgodzę się na to, żeby rozmawiać o postulatach i o prawach kobiet, które wynikają z protestów po wyroku Trybunału Konstytucyjnego w sprawie aborcji, ponad głowami kobiet". Pytanie, czy chodzi też o te kobiety, którym nie pozwolono się urodzić, bo je zabito.

Prezydent zdewastowanego stołecznego miasta Warszawy, Rafał Trzaskowski, w tych samych dniach mówił, że rozumie emocje i wściekłość, a marszałek

10 DUŻY FORMAT Gazeta Wyborcza Poniedziałek, 23 listopada 2020

Tęczowa POLSKA WALCZĄCA

Pokazać się na paradzie. Wywiesić tęczową flagę. Trenować queer fight. Blokować „homofobus". Osoby LGBT+ opowiadają, czym jest dla nich odwaga, jak walczą o siebie, jak się bronią

Kiedy poznaję Linusa Lewandowskiego, ma podbite oko. Siniak jeszcze nie zdążył dobrze ściemnieć, od ataku nie minęło wiele czasu. Linus oberwał, bo wracał do domu z narzeczonym, trzymając go za rękę. Pod klatką usłyszał za plecami krzyk: „Hej, ty!", a potem, kiedy się obrócił: „Je*ane pedały".

– Podchodzę i pięść kolesia ląduje nad moim okiem – relacjonował mi dzień po ataku przez telefon.

Pytam, dlaczego nie zlekceważył zaczepki. Dlaczego nie poszli z Rafałem po prostu do domu, udając, że jej nie słyszeli. Linus śmieje się. – Mam 1.92 metra wzrostu, wyglądam niefle, jak do kogoś podchodzę, zazwyczaj ucieka. Tym razem nie zadziałało. Po pierwszym ciosie napastnik próbował kolejnych. Po chwili okazało się, że napastników jest więcej. Przyłączyli się.

– Odwracam się i widzę, że na ziemi leży Rafał i trzeci goć go tłucze. Więc wyrywam się, podbiegam do Rafała, a tamci biegną za mną, przewracają na ziemię i mnie tłuką na ziemi – opowiada Linus.

Przyznaje, że nauczył się bić z kolegami już w podstawówce. Ale martwi się o Rafała, on jeszcze tego nie umie.

Pytam, kiedy zaczęli chodzić z Rafałem za rękę po ulicy. – Jak już zdecydowałem się wyoutować, to uznałem, że się z niczym nie będę krył. Odkąd jestem z Rafałem, wszędzie chodzimy, trzymając się za rękę, i tyle. Półtora roku.

W zeszłą Wigilię Rafał i Linus zaręczyli się. Planują ślub, nie wiedzą jeszcze tylko, czy ma być w Holandii, czy w Portugalii. Od niedawna mieszkają na warszawskiej Pradze i tam zaczepki słyszą codziennie.

– Zwykle: „Je*ane pedały". Ale jeden tekst był niezły – relacjonuje Linus. – Facet się zdziwił: „Wy serio jesteście pedałami?". „Tak" – odpowiedziałem. Nie mógł zrozumieć. Miesiąc temu wyładowało przed nami jajko. Może z balkonu? Nie rozglądaliśmy się, uznaliśmy, że będziemy szli dalej, tak jakby nic się nie stało.

OKTAWIA KROMER

TRENINGI BOJOWE

Linus zdecydował się na coming out dwa lata temu, w wieku 25 lat. – W ogóle pierwszy raz seks uprawiałem w wieku 25 lat – mówi. – Wcześniej miałem nadwagę, sam się sobie nie podobałem i zachowywałem się jak człowiek aseksualny. Ale wyprowadziłem się w końcu od rodziców, zacząłem uprawiać sport. Schudłem 20 kilogramów, zacząłem się sobie podobać i od razu za tym poszły jakieś ruchy w tym kierunku.

Treningi założonej przez siebie grupy sportowej – Homokomanda – organizuje od marca 2020 roku. „Homokomandosi" dwa razy w tygodniu spotykają się nad Wisłą, żeby wspólnie poćwiczyć na drążkach i pobiegać, czasem też umawiają się na paintball.

Byłam na jednym z takich paintballowych treningów. Od stóp do głów ubrani w moro, z ciężkimi karabinami na kulki, w maskach, w których z trudem się oddycha, ganialiśmy się pomiędzy drzewami, ostrzeliwaliśmy zza opon i winkli opuszczonego budynku, czasem w ruch szły race zadymiające. Gdy zaczęło się ściemniać, usiedliśmy wokół ogniska, by piec kiełbaski i śpiewać „Płonie ognisko w lesie", „Szła dziewczyna do laseczka"...

– Mamy bojowy wizerunek, faktycznie. Ale nam chodzi o sport. Żadna z nas bojówka – stwierdza Linus, gdy pytam go o „treningi bojowe" Homokomanda. Członkiem grupy można zostać z marszu, wystarczy przyjść na spotkanie, i nie trzeba być osobą LGBT+.

– Jesteśmy tolerancyjni – śmieje się. – Ostatnio była u nas para hetero.

K. WALCZY Z UKRYCIA

– Podziwiam Linusa i jego partnera za ten brak skrępowania, za wolność bycia sobą. Oni nikogo nie udają. Zadrosnczę im, mnie na taką odwagę zwyczajnie nie stać – mówi K.

K. ma 38 lat, jest artystą. Przez połowę swojego życia ukrywał, że jest gejem. Dziś wiedzą o nim znajomi, rodzina, współpracownicy. O czasie przed coming outem mówi „psychiczny przykucr". – Nawet nie chodzi o udawanie. Kosznar polega na tym, że nawet nie czujesz, że udajesz. Aż wydarzy się coś takiego, że już zdajesz sobie z tego sprawę. Obuchem w łeb.

Dla K. to była Parada Równości, na którą prawie siłą wyciągnęli go znajomi. Zawsze bronił się, że to nie jego estetyka. Tęcze, pawie pióra? – Dopiero na marszu zorientowałem się, że nie to najbardziej mi przeszkadzało. Nie zapomnę tego. Idziemy przez plac Zbawiciela, a tam na kawie siedzi dziewczyna, z którą wtedy pracowałem. Wiedziałem: przejdę jeszcze dziesięć metrów i mnie zobaczy. Poczułem skrępowanie. A potem pomyślałem, że tego skrępowania w sobie nie akceptuję. To, że idę w tym pochodzie, to nie jest powód do wstydu.

Miałem kiedyś chłopaka z Londynu. Jak do niego jeździłem, to było dla mnie z jednej strony ekscytujące, z drugiej wstrząsające. On mnie chwytał za rękę i chodziliśmy za rękę po Londynie. I nic. Żadnych reakcji. Ani pozytywnych, ani negatywnych, żadnych. Po prostu nie widziano nas. To było dla mnie bardzo ciekawe doświadczenie.

K. jest jednym z członków Homokomanda. Nie chce jednak ujawniać się w mediach: z twarzą, imieniem i nazwiskiem. Nie powiesi też w oknie tęczowej flagi. Tłumaczy, że mieszka na Pradze-Północ, na drugim piętrze, sam, jest osobą publiczną. Dlatego chce zachować anonimowość. Walczyć chce z ukrycia.

Prowadzi na Facebooku fanpage, który przerodził się w outdoorową kampanię społeczną – Myśląca Mniejszość. To odpowiedź na skierowaną przeciwko społeczności LGBT+ Milczącą Większość, zapoczątkowaną 19 sierpnia na billboardach w Białymstoku. I tu, i tam hasła pisane są na czarnym tle, na tęczowo, częściowo na biało. I tu, i tam często możemy zauważyć nawiązania do religii i cyfry biblijne. Tyle tylko, że przesłanie obu akcji jest zupełnie odwrotne. „Zło dobrem zwyciężaj" – nawołuje na przykład Milcząca Większość, zaznaczając słowo „zło" na tęczowo. Myśląca Mniejszość odpowiada tym samym hasłem, przy czym na tęczowo zaznacza „dobro".

Fanpage Myślącej Mniejszości powstał kilka dni po rozpoczęciu akcji Milczącej Większości i w krótkim czasie zdobył podobną liczbę fanów (8 tysięcy obserwujących – Myśląca Mniejszość, 10 tysięcy – Milcząca Większość).

W pierwszej internetowej zrzutce Myśląca Mniejszość w dwie godziny zebrała 2 tysiące złotych niezbędne do wynajęcia billboardu w centrum Warszawy. Na wynajętym na miesiąc billboardzie na warszawskim skrzyżowaniu ul. Grzybowskiej i al. Jana Pawła II co tydzień zmieniały się hasła. Pierwsze brzmiało: „Nie lękajcie się".

Za pieniądze z kolejnej internetowej zrzutki jej hasła („Wiedza leczy uprzedzenia", „Miłość = miłość", „Człowiek = człowiek") wyświetlane były przez tydzień na 400 ekranach warszawskich autobusów, trzy razy na godzinę, w pięciosekundowych spotach.

– W pewnym momencie zrozumiałem, że jeśli miałbym całe życie udawać kogoś, kim nie jestem, to wolałbym nie żyć. Naprawdę wolę w ogóle nie żyć, niż żyć w takim zakłamaniu – mówi K.

STANISŁAW WYWIESZA FLAGĘ

Stanisław Oszulak, 23 lata, tęczową flagę pierwszy raz powiesił na swoim balkonie 7 sierpnia, w akcie

eprasa.pl 223289eb43

Gazeta Wyborcza Poniedziałek, 23 listopada 2020

DUŻY FORMAT

11

solidarności z zatrzymanymi na Krakowskim Przedmieściu aktywistami LGBT+. Jego współlokatorka wywiesiła w tym samym czasie w oknie obok flagę osób transpłciowych. Stanisław to student ukrainistyki, członek zarządu fundacji Trans-Fuzja. Od lat działa jako jej aktywista. Mieszka na Woli. Jest osobą transpłciową.

„Ty ku... jebana, jebane pedały! Zabiję cię, ku... z drugiego piętra, LGBT popaprańcy" – usłyszał kilka dni później przez uchylone okno. Tak na widok flag wołali dwaj mężczyźni w drodze do pobliskiego monopolowego. Zlekceważył to. Byli pijani.

Kilka godzin później mężczyźni wrócili. „Jebane cioty. Zabijemy cię! Jebać LGBT! Ku... LGBT" – krzyczeli.

– Zadzwoniłem po policję – Stanisław całą sytuację nagrywał telefonem. Policja przyjechała po kilku minutach, ale mężczyźni zdążyli się już oddalić. Odnaleźli się pół godziny od przyjazdu patrolu. Wtedy funkcjonariusze poprosili Stanisława o zejście na dół, wylegitymowanie się i rozpoznanie mężczyzn.

– Jeśli chodzi o stronę policyjną i prawną, to miałem szczęście, że grozili mi śmiercią – mówi Stanisław. – Jakby krzyczeli po prostu „Jebać pedałów", to mógłbym zgłosić policji, że zakłócają ciszę i mir domowy. A przez to, że mnie i mojej współlokatorce grożono śmiercią, jest to karalne i ścigane przez policję. Mam to nagrane, oddałem na płycie DVD, tak jak sobie policja zażyczyła, więc prawdopodobnie sprawcy zostaną ukarani.

W kolejną sobotę pod blokiem pojawili się inni agresorzy. Wołali, że znają kody do jego klatki, mają dostęp do balkonu, z którego będą mogli podpalić flagę. „Szmata ma zniknąć, ku*wa!".

Na nagraniach Stanisława słychać wściekłe wrzaski sąsiada, że muszą na flagę patrzeć: „Ja, ku*wa, wstaję rano, widzę tą, ku*wę szmatę, śniadania nie mogę zjeść, bo ta ku*wa wisi na balkonie". I groźby: „Połowa osiedla chce ich wypie*dolić".

Orszulak ponownie wybrał się na komendę, z nowymi nagraniami, złożyć kolejne oficjalne zawiadomienie.

W połowie września Stanisław i jego współlokatorka zdjęli flagi. Wyjeżdżali na wakacje i nie chcieli narażać mieszkania. W międzyczasie flagę powiesił ich sąsiad z bloku. Obrzucono mu ją jajkami. On także zgłosił to policji.

Jeśli Marsze Równości zostaną zakazane, wyjdziemy na ulice tym bardziej. Nasze wychodzenie na zewnątrz nie jest aktem przemocy. Nie można zakazać nam istnienia

• – Mamy bojowy wizerunek, ale nam chodzi o sport. Żadna z nas bojówka – mówi Linus Lewandowski. „Homokomandosi" dwa razy w tygodniu nad Wisłą ćwiczą na drążkach i biegają, czasem umawiają się na paintball

ZUZANNA GRZYBOWSKA

Artykuł w „Dużym Formacie" (45/1409) z 23 listopada 2020 r.

Senatu Tomasz Grodzki „nie dziwi się" atakom na świątynie. To kilka zdarzeń z ostatnich sześciu tygodni.

PAŁKI, NOŻE, GAZ...

A teraz przypomnijmy sobie dzień 26 października i zajścia spod kościoła św. Aleksandra w Warszawie. Właściwie nie zajścia, tylko szturm na świątynię i jej obrońców. Media liberalne oczywiście starają się ich obrzydzić publiczności, opisując jako „narodowców". To zawsze rezonuje negatywnie w części odbiorców. Można zasiać niepokój, kto jest tu dobrą stroną. Jednak oprócz Straży Narodowej są tam po prostu rozmaici niezrzeszeni katolicy, poruszeni poczuciem obowiązku. Wiem, bo byli tam także moi znajomi. Gdy się modlili, usłyszeli hasło: „Wsadź se w d... ten różaniec". Za obelgą poleciały butelki i petardy.

W Poznaniu 27 października przy ul. Fredry jeden z obrońców kościoła Najświętszego Zbawiciela zostaje ranny. „Nie było żadnych utarczek słownych, użyli gazu, drągów drewnianych, metalowych pałek i noży. Podkreślam, że nic nie poprzedziło ataku, to była intencjonalna napaść". Dziennikarze Radia Poznań po opublikowaniu materiału na ten temat otrzymują pogróżki.

W sobotę 28 listopada przy pl. św. Gertrudy w Krakowie dochodzi do innego zdarzenia. Przeciw obrońcom kościoła napastnicy używają pałek teleskopowych i gazu łzawiącego, a stojący w pobliżu policjant – jak mówią świadkowie – nie reagował. Atakujący odłączyli się od trwającego przemarszu tylko po to, by pobić. Potem cofają się i wchodzą w tłum.

Kilka dni wcześniej policja informuje, że toczy się blisko 90 postępowań w sprawie zniszczenia miejsc kultu, majątku kościelnego, zakłócania kultu religijnego, a nawet uszkodzenia ciała. Ile było sytuacji, które nie zostały zgłoszone, tylko zakończyły się samodzielnym opatrywaniem ran, siniaków? Usuwaniem szkód w parafiach w czynie samoorganizacji? Znam osobiście osoby, które brały udział w takich akcjach, a konsekwencje prawne wobec sprawców nie zostały wyciągnięte.

Praktycznie każdego dnia od 22 października na portalu DoRzeczy.pl publikowałem kolejne udokumentowane informacje o przypadkach ataków na ludzi broniących kościołów lub miejsc kultu. Zalane farbą krzyże, wymazane hasłami politycznymi kapliczki, np. te na drodze krzyżowej w krakowskim parku Lotników, czy śmieci porozrzucane na terenie kościoła parafii św. Jana Kantego w tym samym mieście. 25 listopada zdewastowano krakowski klasztor na Skałce, polski „panteon narodowy", w którym pochowano naszych wybitnych twórców, takich jak Malczewski, Wyspiański czy Miłosz. W Brzezówce zniszczono pomnik dzieci nienarodzonych.

„ŻAL TRAMWAJÓW"

Ataki na kościoły i ich obrońców zauważył we właściwym sobie stylu rzecznik praw obywatelskich Adam Bodnar: „Napięć społecznych nie łagodzi zapowiedź powołania przez niektóre skrajnie prawicowe organizacje specjalnych formacji mających rzekomo bronić miejsc kultu przed protestującymi. Myślę, że nie jestem odosobniony w obawach, iż pojawienie się takich formacji na ulicach polskich miast doprowadzi do poważnych zamieszek i dodatkowo zagrażać będzie bezpieczeństwu i porządkowi publicznemu". Również liberalno-lewicowa kandydatka na rzecznika praw obywatelskich Zuzanna Rudzińska-Bluszcz była łaskawa zapytać: „Na jakiej podstawie prywatne bojówki bronią dostępu do kościołów?". Gdy czytam te słowa, myślę o zwykłych katolikach, którzy narażali się, by miejsca dla nich święte nie były bezczeszczone, by nie dochodziło do łamania praw ludzi wierzących.

W przemoc zaangażowała się posłanka Joanna Scheuring-Wielgus. Wraz

eprasa.pl 223289eb43

z mężem 25 października w czasie mszy stanęli przed ołtarzem w kościele św. Jakuba z transparentami: „Kobieto! Sama umiesz decydować" i „Kobiety powinny mieć prawo do decydowania, czy urodzić, czy nie, a nie państwo w oparciu o ideologię katolicką". RPO nie zwrócił uwagi posłance lewicy, że nie powinna podejmować czynu zagrożonego oskarżeniem z art. 195 par. 1 kk, który mówi o złośliwym przeszkadzaniu publicznemu wykonywaniu aktów religijnych, oraz z art. 255 par. 3 o publicznym pochwalaniu popełnienia przestępstwa, czyli aborcji. Ingerencja przedstawiciela władzy ustawodawczej w konstytucyjne prawa wierzących nie niepokoi rzecznika.

Politycy opozycji w wygładzanych opiniach pomijają wątek ataków na ludzi.

„Ja żałuję oczywiście tramwajów czy tego, że jest niszczona infrastruktura, ale uważam te czyny za usprawiedliwiony wyraz protestu społecznego przeciwko władzy, która nie szanuje poglądów ani praw swoich obywateli. To jest wyraz ogromnego sprzeciwu społeczeństwa. To sprzeciw przeciwko nieudolności rządu w ochronie zdrowia, łamaniu konstytucji" – mówił poseł Lewicy Andrzej Szejna. Czy chodzi o art. 38 konstytucji? Tego poseł nie mówi.

„Warto zapytać, kto pociągał za sznurki, że do czegoś takiego doszło. Jestem przekonany, że Prawo i Sprawiedliwość powinno pokryć te szkody ze swojej subwencji partyjnej. Przecież to Jarosław Kaczyński ponosi za to odpowiedzialność. Nikt inny. To on podpalił Polskę, państwo. Spowodował, że młodzi ludzie dzisiaj wychodzą, protestują. Liczę na to, że prezes PiS zapyta władze Warszawy, jakie są straty – one nie są duże, bo to takie wybryki – i z kasy PiS-u te szkody zostaną pokryte" – mówił Mirosław Suchoń, poseł Koalicji Obywatelskiej. Czyli to PiS wyprowadził ludzi na ulice, żeby zniszczyć miasta w sprzeciwie wobec konstytucyjnej zasady ochrony życia? To zbyt skomplikowane dla mnie.

Wspomnijmy o licznych atakach na biura poselskie PiS i ich dewastacji. Apele takie jak wiceministra Marcina Horały, który napisał, że „czeka na potępienie tego aktu fizycznej agresji ze strony »obrońców kobiet«", dodając, że „wszyscy pracujący w naszym biurze to kobiety", nie spotkały się ze zrozumieniem, nie mówiąc o potępieniu ataku.

Temat ataków na katolików podnosiliśmy na łamach „Do Rzeczy" wielokrotnie. Tu okładka wydania z 5 sierpnia 2019 r.

Głosy prawdy były po stronie opozycyjnych polityków i mediów całkowicie wyjątkowe: „Jeżeli w parlamencie słyszymy pokrzykiwania: »wojna, wojna, wojna«, to przecież na wojnie leje się krew. Do tego nawołują? Nawołują do niszczenia dobra innych? Dobra wspólnego? Przecież kościoły powstały z datków ludzi. To bardzo często zabytkowe miejsca i takie miejsca się dzisiaj niszczy? Platforma i Lewica nawołują do nienawiści do swojego sąsiada" – mówił poseł Koalicji Polskiej Jarosław Sachajko.

Celebryci i znani dziennikarze poparli akty, które były łamaniem prawa i działaniem przemocowym

Także celebryci i znani dziennikarze poparli akty, które były łamaniem prawa i działaniem przemocowym.

„Taki protest według mnie jest absolutnie OK, w granicach prawa i dobrego smaku" – oceniał Tomasz Lis, który opublikował też zdjęcie z akcji zakłócania mszy świętej, co jest oczywiście łamaniem prawa. Dominika Wielowieyska z „Gazety Wyborczej" i TOK FM także prowadziła wywody mające w poważaniu, że w Polsce obowiązuje jakieś prawo. „Tak, nawoływałam do szacunku dla uczuć religijnych innych ludzi. Dziś oskarżenia o profanację mam w głębokim poważaniu wobec ofensywy fanatyków religijnych, którzy za nic mają życie kobiet. Dość!". Paweł Wroński z „Gazety Wyborczej" w mediach społecznościowych – w dyskusji z Jerzym Kwaśniewskim z Ordo Iuris – nazwał jedną z grafik obrazujących płonące kościoły mianem „bardzo interesującej". Na wieść, że Ordo Iuris wystąpiło na drogę karną w związku z nawoływaniem do przemocy przez autorów grafik, Wroński zaczął straszyć adwokata „miejscem w piekle". Swoją drogą moją żonę pewna była dziennikarka mediów Agory także straszyła piekłem za zaangażowanie pro-life.

USPRAWIEDLIWIANIE PRZEMOCY

Czy wobec klimatu tak całkowitej bezkarności może dziwić wypowiedź jednej z liderek Ogólnopolskiego Strajku Kobiet na antenie stacji tvn24: „Nie mam żalu, że tak się stało. To musiało się stać. Kościół musiał usłyszeć, co wierni myślą o jego postawie" – stwierdziła Klementyna Suchanow. Dodała też, że „budynki można wyczyścić" oraz że „wina leży po stronie Kościoła i rządu, który zaognia sytuację. Trochę denerwują mnie tego typu uwagi". Ani słowa o przemocy wobec ludzi.

Redaktor naczelny jezuickiego portalu internetowego dla katolików Piotr Żyłka orzekł, że „Polski Kościół sam jest sobie winien". Jestem w pierwszym rzędzie osób, które chcą rozmawiać o winach Kościoła, ale z pewnością nie jest nią wsparcie udzielone świeckim zaangażowanym w poprawę prawnej ochrony życia ani bycie ofiarą ataków. To ewidentny przykład „victim blaming", czyli sytuacji, gdy np. kobietę obciąża się winą za dokonany na niej gwałt, ponieważ była niewłaściwie ubrana i sprowokowała gwałciciela.

A teraz wyobraźmy sobie sytuację z gatunku political fiction. Liberalny rząd w 2024 r. przeforsowuje zmianę konstytucji i wprowadza aborcję na życzenie oraz tzw. małżeństwa homoseksualne. Jest początek listopada, a 11 listopada na Marszu Niepodległości zbierają się 2 mln uczestników, więcej niż kiedykolwiek. Protestują. Protesty przeciągają się do grudnia. Dochodzi do różnych incydentów, ale są nieliczne i marginalne. Co mówią politycy partii liberalnych i lewicowych? Co dzieje się w mediach od tvn24 przez OKO.press do portalu Krytyki Politycznej? Można

eprasa.pl 223289eb43

się domyślić. Te miliony katolików i ludzi dobrej woli, podobnie jak dziś obrońcy kościołów, stałyby się „faszystami" zagrażającymi prawom człowieka w Polsce, groźbą autorytaryzmu, próbą obalenia demokracji itd. To, co widzimy w Polsce w ostatnich tygodniach, to tylko część długotrwałego procesu przechodzenia liberałów i lewicy od usprawiedliwiania przemocy polegającej na manipulowaniu i sianiu kłamstw do usprawiedliwiania rękoczynów.

Jak w laboratorium praktyki politycznej widzieliśmy w mijającym roku instrumentalne traktowanie polskiej konstytucji, która była dobra, gdy można było atakować rząd. Jednak momentalnie o niej zapomniano, gdy przyszło do realizacji jej art. 38, który brzmi: „Rzeczpospolita Polska zapewnia każdemu człowiekowi prawną ochronę życia". Jeśli przemoc będzie dalej eskalować, może w ogóle pojawi się propozycja, by wprowadzić abolicję dla dopuszczających się jej osób? Przynajmniej w stosunku do grup, które „same sobie są winne".

Cofnijmy się jeszcze nieco w czasie. Ta krystalizująca się przemoc nie zaczęła się wcale 22 października 2020 r. Wtedy zobaczyliśmy wezbrane już siły „demokracji", które z coraz większym trudem ukrywają swoją niezgodę na rzeczywistą przedstawicielską demokrację.

„Z oprawcami nie rozmawia się spokojnie. Z opresyjną władzą się walczy. Na ulicę, bronić obywateli!" – wpis tej treści opublikował swego czasu Władysław Frasyniuk, który wcześniej sam uczestniczył w ulicznych zamieszkach w obronie oskarżonego o pobicie wolontariusza Fundacji Pro-Prawo do Życia Michała Szutowicza znanego jako „Margot".

Sprawa Michała Szutowicza była jawnym przykładem usprawiedliwiania przemocy przez środowiska liberalne i lewicowe. Jego chuligański atak i próbę pobicia wolontariusza Fundacji Pro-Prawo do Życia przedstawiano bez żadnych podstaw jako „ujęcie obywatelskie". „Zdolność do rozróżniania między aktami nieposłuszeństwa obywatelskiego a pospolitymi przestępstwami jest jedną z cech odróżniających współczesne demokracje od dyktatur czy totalitarnych tyranii" – cytował swój tekst sprzed dwóch lat Paweł Marczewski, publicysta związany z „Tygodnikiem Powszechnym" i Fundacją Batorego, podkreślając jego aktualność. Tyle że takie wypowiadane z katedry zdania są całkowicie arbitralnym usprawiedliwianiem „swoich", by w poczuciu słuszności mogli napadać na ludzi, z którymi się nie zgadzają. Przecież w akcji „Margot" chodziło o zastraszenie w stylu działań Antify, by ten konkretny kierowca już nigdy nie zdecydował się na udział w akcji pro-life.

Tego samego napastnika, którego aresztowanie utrudniały środowiska lewicy, prezentowano jako ofiarę państwowej przemocy. List w obronie „Margot" do Ursuli von der Leyen napisały reżyserka Agnieszka Holland, pisarka Olga Tokarczuk i publicystka feministyczna Agnieszka Graff. Na liście poparcia znalazły się nazwiska: Pedro Almodóvara, Margaret Atwood, Yorgosa Lanthimosa, Timothy'ego Snydera, Eda Harrisa, Doroty Masłowskiej, Jana Komasy czy Pawła Pawlikowskiego. Gdyby nie publikowane filmy z miejsc konfrontacji, można by pomyśleć – na podstawie choćby relacji bardzo aktywnej w tamtych dniach poseł Lewicy Agnieszki Dziemianowicz-Bąk – że policja pałowała ludzi jak milicja opozycję w PRL. Zwykle procedury działania policji posłanka opisywała, jak gdyby to były przykłady szczególnego okrucieństwa. Tymczasem zobaczyliśmy agresję uliczną jej przyjaciół, niszczenie mienia publicznego, sprzętu policyjnego i wreszcie słowne, a także fizyczne ataki na funkcjonariuszy, którzy wyraźnie unikali konfrontacji.

ANTIFA NIE ISTNIEJE?

Wyższy poziom rozpraszania odpowiedzialności i trywializacji agresji mogliśmy znaleźć niedawno w tygodniku „Polityka", gdzie Rafał Pankowski

eprasa.pl 223289eb43

ze stowarzyszenia Nigdy Więcej rozmawiał z dziennikarzem Juliuszem Ćwieluchem. Panowie żartowali sobie, ile to kościołów spalili – oczywiście żadnego. Skoro żaden nie spłonął, to nic się nie stało, prawda? Za to chętnie rozprawili się z „mitem" Antify. „Antifa to nie jest żadna organizacja, to idea" – mówi Pankowski. Na pytanie, kto dzielnie bronił Strajku Kobiet przed „naziolami", Pankowski odpowiada: „Myślę, że kobiet bronili ci, którzy uważają, że nikogo nie można prześladować, a co dopiero bić [...]. Antifa to jest wykreowany twór, bo nie ma czegoś takiego jak jedna organizacja" – kontynuuje Pankowski. Działacz formułuje opinię, że Antifa, o której mówił choćby jakiś czas temu Donald Trump, „to żart". Bardzo sprytne odwracanie uwagi – skoro nie ma jednej organizacji, to nie ma też w ogóle bojówek lewicowych i zostają tylko sami ludzie dobrej woli, tacy jak Rafał Pankowski. Prawdziwe medialne czarnoksięstwo. Problem w tym, że osobników ze znakiem trzech skierowanych w lewy dół strzał wciąż się spotyka w roli napastników.

Tego samego napastnika, którego aresztowanie utrudniały środowiska lewicy, prezentowano jako ofiarę państwowej przemocy

Przywołajmy informację sprzed kilku lat opublikowaną na portalu tvn24. „W kawiarni Nowy Wspaniały Świat w Warszawie, gdzie mieści się siedziba »Krytyki Politycznej«, w piątek policja znalazła m.in. pałki, kastety oraz gaz łzawiący – poinformował rzecznik Komendy Głównej Policji Mariusz Sokołowski, zaznaczając, że nikt się do tego nie przyznaje. Policja zapowiada, że sprawdzi na monitoringu, do kogo należy ten arsenał", „Od broni stanowczo odcina się przedstawiciel »Krytyki Politycznej«. Przekonuje, że zostawili ją tam antyfaszyści". A przecież nazwa „Antifa" pochodzi właśnie od antyfaszyzmu. Czy to ta piękna idea ludzi dobrej woli zostawiła te narzędzia przemocy?

Z KIM CHCE WALCZYĆ HOMOKOMANDO

Na koniec chciałbym przywołać celebrujący przemoc tekst pt. „Tęczowa Polska walcząca", który został opublikowany 23 listopada 2020 r. w „Dużym Formacie", reporterskim dodatku do „Gazety Wyborczej". Już sam tytuł jest ciekawy i każe się zastanowić, z kim ta walka. Polska Walcząca zmagała się z niemieckim nazistowskim okupantem, który eksterminował polskich obywateli. To może być jakiś trop. Wszak walka z Kościołem i jego faszystami wciąż trwa. Skoro tak, to może chodzi o walkę z „naszymi okupantami" z felietonu „Boya", czyli z Kościołem i katolikami. Czytając reportaż, długo się niczego o tym nie dowiadujemy, widzimy raczej sentymentalną opowieść o homoseksualistach, którzy spotykają się w sportowym klubie walki i tylko przez przypadek są nazywani Homokomandem. Jak mówią, chodzi o dobre odruchy, gdy ich ktoś nieustannie atakuje.

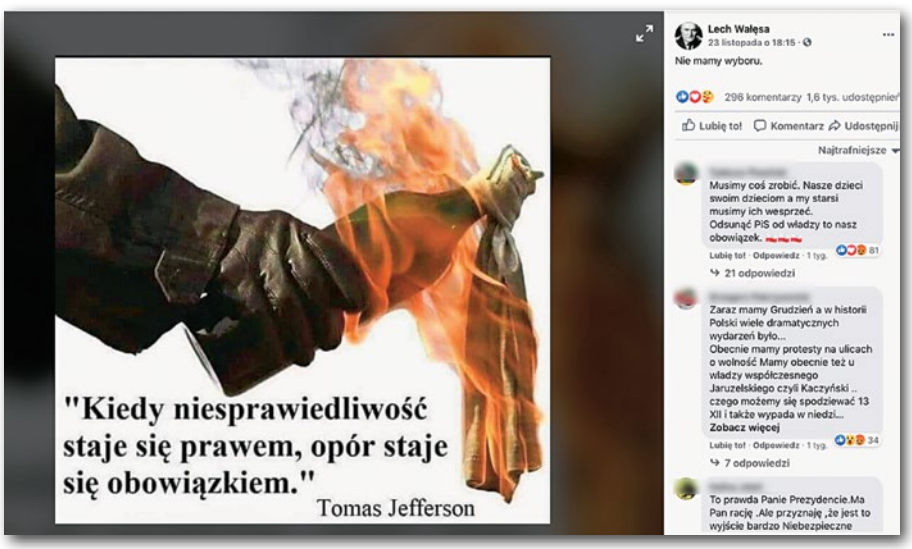

Wszystko utrzymane jest w lukrowych barwach, aż do chwili, gdy w ten romantyczny pejzaż z homoseksualnymi ofiarami społeczeństwa w tle zostaje wpasowana logika lewicowej przemocy: „Jesteśmy całkowicie za Stop Bzdurom, nie uważamy niszczenia homofobicznych furgonetek za złą rzecz". „Homofobicznych", czyli w tym przypadku prezentujących niewygodne dla zaktywizowanych homoseksualistów dane. „Osobom, które stosują przemoc, atakują ciebie, odbiera się broń. A tą bronią są ciężarówki". Wygłaszająca tę opinię osoba dalej postuluje karanie transfobii i homofobii. Czy w zamian proponowałaby powszechną dekryminalizację niszczenia mienia?

W kolejnych akapitach reportażu widzimy już Homokomando w innym entourage'u. Jest w centrum grup animujących proaborcyjną agresję. Widać gardłowanie za zabijaniem najsłabszych, często chorych, już w łonach matek, też jest walka z „homofobią". Jeden z członków deklaruje, że będzie, jeśli trzeba, działać nielegalnie. I taka nielegalna działalność wcale nie będzie oznaczać aktów przemocy. Na to może liczyć, bo to media tworzą fakty, a nikt z głównego nurtu nie piśnie o przemocy Homokomanda. Czy może jednak Antify? Nie ma to znaczenia – jak mówi Rafał Pankowski, nie ma jednej organizacji. Ale przemoc jest.

Zastanówmy się na koniec, jaką wizję odpowiedzialności za Polskę mają ci, którzy kryją przemoc swoich, przemilczają nieprawomyślne ofiary, wprowadzają skrajne ruchy społeczne w stan rewolucyjnego wrzenia, dając im możliwość masowej transmisji nihilistycznych przeżyć? Jakie wspólne dobro i jakie czyny stoją za działaniami Marty Lempart, Klementyny Suchanow, „Margota" czy Homokomanda i wspierających ich mediów, polityków, celebrytów? To proste pytanie trzeba sobie zawsze stawiać w chwilach wątpliwości, czy sprzeciw wobec rewolucji powinien być zdecydowany.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 223289eb43

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

TYLKO U NAS!

Jacek Bartosiak o strategicznym znaczeniu Bramy Smoleńskiej!

Paul Kengor – **Jak Reagan wyzwolił Polskę**
Piotr Włoczyk – **Kulisy zamachu na prezydenta**
Arkadiusz Karbowiak – **CIA i mudżahedini**
Tomasz Stańczyk – **Jak na Litwie wynaradawiano Polaków**
Tony Booth – **Horror na okręcie podwodnym**
Nikołaj Iwanow – **Zdrajca u boku Lenina**
Sławomir Cenckiewicz – **Nowa Mitteleuropa**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl 223289eb43

Ruch Ziobry

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Kamila Baranowska

Posłowie, którym dziś bliżej do poglądów Zbigniewa Ziobry niż Mateusza Morawieckiego, mogą stanowić w PiS już jedną trzecią klubu

To są negocjacje. W negocjacjach nie można być, za przeproszeniem, miękiszonem. Trzeba być twardym, trzeba dbać o interesy Polski" – grzmiał na konferencji prasowej minister sprawiedliwości Zbigniew Ziobro, komentując kwestie powiązania unijnego budżetu z praworządnością i domagając się polskiego weta w tej sprawie.

Słowo „miękiszon" nie padło tam przypadkowo i odniosło skutek taki, jaki miało odnieść – wszyscy uznali, że chodziło o premiera Mateusza Morawieckiego.

To kolejna odsłona wojny wewnątrz obozu rządzącego. A przecież nie minęły nawet dwa miesiące od czasu, gdy na wspólnej konferencji prasowej Jarosław Kaczyński, Mateusz Morawiecki, Zbigniew Ziobro i Jarosław Gowin zapewniali, że Zjednoczona Prawica pozostaje zjednoczona i od tej pory współpraca będzie układać się już tylko dobrze. To wtedy po wielu tygodniach negocjacji i sporów doszło do podpisania nowej umowy koalicyjnej. Wydawało się, że kryzys w obozie rządzącym został zażegnany. Zawieszenie broni nie trwało długo. Nawet jeśli oficjalnie politycy PiS zapewniają, że relacje w koalicji co prawda nie są doskonałe, ale są dobre, to trudno – patrząc na to, co się dzieje – w to uwierzyć.

AMBICJE MINISTRA

Tajemnicą poliszynela jest to, że ambicje Zbigniewa Ziobry sięgają wyżej niż stanowisko ministra sprawiedliwości i prokuratora generalnego. Jednemu z dziennikarzy, który przy okazji targów koalicyjnych sprzed dwóch miesięcy dopytywał, dlaczego tak „jedzie po bandzie", Ziobro miał odpowiedzieć: „Ja skończyłem właśnie 50 lat. Na co mam czekać?" (słowa te przytoczył Piotr Zaremba w „Dzienniku Gazecie Prawnej").

Dzisiaj jedyną osobą, która może stanąć na drodze do realizacji politycznych ambicji ministra sprawiedliwości, jest Mateusz Morawiecki. Z kilku powodów, ale najważniejsze jest to, że właśnie w Morawieckim prezes PiS Jarosław Kaczyński widzi polityka, który mógłby udźwignąć przewodzenie PiS, a może i całej prawicy w dalekiej przyszłości. Ziobro, mając tego świadomość, od samego początku konsekwentnie gra na osłabienie Morawieckiego. Zwykle mało skutecznie. Aż do teraz.

Kwestie unijne to wymarzone pole do ataku na nielubianego premiera. Przecież jednym z kluczowych argumentów za wymianą premier Szydło na premiera Morawieckiego było to, że poukłada relacje z Brukselą, nadszarpnięte reformą wymiaru sprawiedliwości (autorstwa Ziobry, polityka lubi paradoksy), i będzie skuteczniejszy w negocjacjach z europejskimi liderami.

Solidarna Polska w sprawie unijnego budżetu zaatakowała z otwartą przyłbicą już przy okazji lipcowych negocjacji. „Weto albo śmierć" – pisał wtedy europoseł Patryk Jaki. Ziobryści krytykowali premiera za uległość wobec Unii, a jej politycy chętnie opowiadali dziennikarzom, że premier przestraszył się Brukseli, zgodził na wszystko i że będą z tego kłopoty. Otoczenie premiera przekonywało, że sytuację ma pod kontrolą.

Teraz Ziobro triumfuje, wskazując, że od początku miał rację i że już w lipcu

eprasa.pl 223289eb43

należało postawić sprawę na ostrzu noża. Powstaje właśnie narracja, że premier w Brukseli jest nieskuteczny, bo dał się ograć. Narracja, która ma trafić do uszu prezesa Kaczyńskiego i zasiać w nim niepewność. A Morawieckiego postawić pod ścianą i zmusić do tego, co jeszcze bardziej obciąży go wizerunkowo i dorzuci jego rządowi dodatkowy bagaż problemów. Czyli do weta. Chociaż oficjalnie strona polska straszy Unię wetem i utrzymuje, że to realna groźba, to jednak w istocie tego weta nikt w rządzie nie chce. Prawie nikt.

– Nie da się funkcjonować w Unii tak, jak to proponują ziobryści, i oni o tym doskonale wiedzą. W Unii są dwie religie, dwie świętości, to sprawa klimatu i LGBT. Rzucanie się z otwartą przyłbicą na te tematy jest z góry przegraną sprawą. Tu trzeba działać spokojnie i po cichu. Nie wlepkami o „strefach wolnych od LGBT", dodawanymi do prawicowej prasy, ale umiejętną promocją i poparciem dla zdrowych postaw. Tak jak to robią Orbán czy Słoweńcy – wskazuje jeden z polityków prawicy, sympatyzujący z Morawieckim.

„Ktoś tu poczuł krew" – mówią politycy PiS i wskazują, że Morawiecki jest dziś osłabiony jak nigdy. Ma słabe notowania (choć lepsze niż PiS, co zaznaczają jego stronnicy), pandemię na głowie, a TK dołożył mu jeszcze strajki na ulicach. I choć na dwie ostatnie rzeczy, które najbardziej przyczyniają się do spadków w rankingach zaufania, nie miał specjalnie wpływu, to i tak najmocniej za nie obrywa. Do tego stopnia, że w PiS rozpoczął się festiwal plotek o możliwej wymianie premiera, w myśl zasady „na pochyłe drzewo wszystkie kozy skaczą". Powtarzane są argumenty, że PiS po Nowym Roku, najdalej wiosną, będzie potrzebować nowego otwarcia i odcięcia się od niepopularnych decyzji z okresu pandemii. Mówi się, że premiera Morawieckiego mogłaby znów zastąpić Beata Szydło, ale to chyba najmniej prawdopodobny scenariusz. Z prostego powodu – oznaczałby przyznanie się prezesa PiS do błędu, a wiadomo, że tego Kaczyński nie zrobi. Zresztą i sama Szydło pewnie niespecjalnie by chciała. Innym wymienianym w tym kontekście politykiem jest Mariusz Błaszczak, który – jak słyszymy – miał dostać ciche polecenie pracowania nad swoim wizerunkiem, by być w gotowości. – Może być też tak, że prezes po prostu wyciągnie kogoś z kapelusza, zaskakując i nas, i was, dziennikarzy. Nie wykluczam, że ma już kogoś takiego z tyłu głowy – wskazuje polityk PiS.

Ludzie z otoczenia Morawieckiego studzą te nastroje i plotki, które ich zdaniem rozsiewają głównie ziobryści. – Wszystko to bierze się z chęci zaistnienia ministra Ziobry. W rozmowach z Brukselą to premier wiedzie prym, a o jego istnieniu nikt nie pamięta, więc robi, co może, by o sobie przypominać – słyszymy z okolic KPRM. Nasz rozmówca wylicza, że pierwsza konferencja z żądaniem weta odbyła się wtedy, gdy premier Morawiecki wysłał list do Ursuli von der Layen, szefowej KE, i gdy w telefonicznej rozmowie z Angelą Merkel potwierdził gotowość zastosowania weta. Druga konferencja Ziobry (ta z „miękiszonem") odbyła się w dniu, w którym premier jechał do Budapesztu, by rozmawiać z premierem Węgier Viktorem Orbánem o dalszym planie działań. Następna zaś wtedy, gdy Orbán przyjechał do Warszawy, by kontynuować rozmowy. – To wszystko jest bardzo reaktywne, to nie jest żadna ofensywa. Poza tym Ziobro ciągle podkreśla, że musi być weto, ale przecież takie jest oficjalne stanowisko rządu dzisiaj. Gdzie tu rozbieżności? – pyta nasz rozmówca.

Dopytywany o relacje z szefem rządu Ziobro stwierdził, że „w profesjonalnej polityce nie ma miejsca na osobiste emocje, sympatie, antypatie"

PRZEGRUPOWANIE W PIS

– Okazało się, że to jednak oni mieli rację, że Brukseli nie można ufać i trzeba grać ostro, więc trudno się dziwić, że będą o tym przypominać do znudzenia – odpowiada polityk PiS, któremu w tej sprawie bliżej do Ziobry niż Morawieckiego.

A takich polityków w PiS zaczyna być coraz więcej. I wcale nie chodzi o relacje z Brukselą, a przynajmniej nie tylko o to. Morawiecki jest wciąż traktowany w PiS jak ciało obce. Chociaż były momenty, gdy odwracał to wrażenie na swoją korzyść, gdy PiS-owcy zaczynali wierzyć, że może rzeczywiście osoba z zewnątrz będzie wartością dodaną, to teraz, gdy jest osłabiony, znów wraca stary katalog zastrzeżeń – „że nie jest jednym z nas, że nic nie wie o wyborcach PiS, bo nie jest jak oni, że nie rozumie ludzi, nie zna oczekiwań wyborców prawicy, bo jest bankowcem, a nie politykiem". Całkiem spora grupa polityków PiS jest zdania, że partia, z której Morawiecki chce zrobić centroprawicę, która mogłaby rządzić latami, traci swoją prawicową tożsamość. Jeden z naszych rozmówców szacuje, że posłowie, którym dziś bliżej do poglądów Ziobry niż Morawieckiego, to mniej więcej jedna trzecia klubu PiS.

Ten problem dostrzegł już Jarosław Kaczyński, który postanowił z większą uwagą zająć się prawą flanką i ją na nowo zagospodarować. Tak w partii odczytywane jest powołanie do rządu Przemysława Czarnka, który zasłynął radykalnymi wypowiedziami i który dostał zielone światło, by nie tonować języka ani stylu swoich wypowiedzi. Tak też jest odczytywane niespodziewane odgrzanie tematu aborcji.

Zbigniew Ziobro widzi te ruchy, więc także dociska pedał gazu, wiedząc, że to gra o przyszłość. Ziobro musi mieć świadomość, że cierpliwość Kaczyńskiego ma swoje granice, ale wie też, że prezes PiS nie ma obecnie żadnego dobrego ruchu. Nie zaryzykuje wcześniejszych wyborów, a rząd mniejszościowy oznacza paraliż wszelkich działań.

Taktyką Ziobry, obok osłabiania Morawieckiego także w oczach prezesa, jest dziś odróżnianie się za wszelką cenę od PiS, na każdym polu. Po co? – Kaczyński jest cięty na obu koalicjantów, źle się o nich wyraża na zamkniętych spotkaniach. Gowinowi pamięta sprawę wyborów prezydenckich, Ziobrze całokształt. Bez względu na to, co zapisano w umowie koalicyjnej, wspólny start PiS, Solidarnej Polski i Porozumienia wcale nie jest przesądzony – tłumaczy dobrze poinformowany polityk PiS.

Następnego dnia po tym, jak Zbigniew Ziobro mówił na konferencji prasowej, że w negocjacjach z Unią nie można być „miękiszonem", tłumaczył w Radiu Plus, że określenie to odnosił do opozycji i mediów, a nie premiera. A dopytywany o relacje z szefem rządu stwierdził, że „w profesjonalnej polityce nie ma miejsca na osobiste emocje, sympatie, antypatie".

Patrząc na polską politykę w ostatnich tygodniach, można odnieść całkiem odmienne wrażenie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 223289eb43

FOT. MATEUSZ MAREK/PAP

Z senatorem Janem Marią Jackowskim z Klubu Parlamentarnego PiS
rozmawia Ryszard Gromadzki

Nie jestem dysydentem

RYSZARD GROMADZKI: Wbrew stanowisku Zjednoczonej Prawicy głosował pan przeciw wprowadzeniu dodatkowej niedzieli handlowej – 6 grudnia. Dlaczego?

JAN MARIA JACKOWSKI: Pilnuję zobowiązań programowych PiS. A to było sprzeczne z naszym programem, w którym popieraliśmy niedzielne wolne, porozumiewając się w tej sprawie z NSZZ „Solidarność". Na mocy zawartego kompromisu obecnie i tak są otwarte dla handlu dwie ostatnie niedziele przed Bożym Narodzeniem. W sytuacji szalejącej pandemii nie było uzasadnione wprowadzenie trzeciej niedzieli handlowej w grudniu. To dzięki realizacji i wierności programowi wygraliśmy wybory w 2019 r.

To jednak niejedyna sprawa, która dzieli pana z kierownictwem partii. Pan był bardzo krytyczny wobec tzw. piątki dla zwierząt.

To prawda. Mówię o propozycjach dotyczących rolnictwa, a nie ochronie zwierząt domowych, bo to zupełnie inna sprawa. Ta ustawa była w sprzeczności z naszym programem z roku 2015, z roku 2019 i z naszym programem rolnym. Jestem senatorem ziemi ciechanowskiej, to okręg rolniczy. Znam problematykę rolniczą i nastroje rolników. Od razu było dla mnie jasne, że ta ustawa potężnie by w nich uderzała, gdyby była przyjęta w takiej formie, w jakiej wyszła z Sejmu. Uderzałaby w eksport polskiego rolnictwa i w całą polską gospodarkę. Nie chodzi tylko o tych, którzy hodują żywiec na mięso z uboju rytualnego, to dotyczy także producentów pasz i całego zaplecza rolnictwa. Wreszcie uderzałaby też w banki spółdzielcze, które to kredytują. Jednym słowem – cały ciąg zależności i wzajemnych powiązań, które mają wpływ na całą gospodarkę.

Proszę zauważyć, że mieliśmy rację, krytykując tę ustawę, dlatego

eprasa.pl 223289eb43

że, po pierwsze, były potężne protesty rolnicze, po drugie – obóz Zjednoczonej Prawicy ostatecznie wycofał się z lansowania tej ustawy. Trafiła ona do tzw. zamrażarki sejmowej, co najlepiej pokazuje, że grupa, która się sprzeciwiała tej ustawie, miała merytoryczną rację. Mleko już się jednak rozlało, straciliśmy wiarygodność w wielu środowiskach rolniczych. A to dzięki rolnikom wygraliśmy wybory i prezydent Duda wygrał wybory.

22 października Trybunał Konstytucyjny uznał nieważność tzw. przesłanki eugenicznej jako niezgodnej z konstytucją. Wyroku nie ogłoszono do tej pory. Dlaczego tak się dzieje? Przedstawiciele rządu tłumaczą, że czekają na uzasadnienie TK, ale takie stawianie sprawy jest przecież niezgodne z prawem.

Niewątpliwie ocieramy się o delikt konstytucyjny i tak naprawdę z tego tytułu może wiązać się to z odpowiedzialnością prawną tych osób, które bezpośrednio za tę sytuację odpowiadają.

Czyli mówiąc wprost – premiera Morawieckiego?

W latach 2005–2007 byłem sędzią Trybunału Stanu i znam te procedury. O ile postawienie zarzutów dotyczących na przykład braku dyscypliny finansowej, podjęcia jakichś wadliwych decyzji czy tak jak w przypadku Emila Wąsacza sprawy sprzedaży Domów Centrum to kwestia ocenna i w takich sytuacjach postępowanie przed Trybunałem Stanu było zawiłe, pełne skomplikowanych procedur prawnych, których Sejm, stawiając daną osobę w stan oskarżenia, musi dopełnić, żeby w ogóle TS rozpoczął procedurę, o tyle w przypadku braku publikacji wyroku, z którą mamy do czynienia obecnie, sprawa jest jasna, a procedury bardzo klarowne. Premier został niepotrzebnie narażony na odpowiedzialność konstytucyjną i to taką ewidentną. Ponadto brak publikacji wyroku nie uspokoił nastrojów społecznych, nie doprowadził do zaniku manifestacji ulicznych. Nawet przeciwnicy tego wyroku domagają się jego publikacji, nie wspominając o tych, którzy go popierają czy się z nim zgadzają.

W powszechnym odczuciu zwłoka w publikacji wyroku Trybunału Konstytucyjnego to skutek strachu ze strony rządzących przed protestami, które łączy wspólne motto: „Strajk kobiet". Co dalej z tą sprawą? Z kręgów rządowych słyszymy nawet głosy o potrzebie zmiany konstytucji, która pozwoliłaby stworzyć obejście prawne dla ratowania tzw. kompromisu aborcyjnego.

Po pierwsze, trudno mówić o kompromisie aborcyjnym, bo on był przecież złamany w 1996 r., kiedy SLD przeforsował liberalizację prawa do aborcji poprzez wprowadzenie tzw. przesłanki społecznej. Notabene ta ustawa była zaskarżona do ówczesnego Trybunału Konstytucyjnego, który absolutnie odrzucił taką możliwość. To ciekawy dokument. Obecny wyrok Trybunału jest jak najbardziej konsekwentny w tej linii orzeczniczej przy interpretacji konstytucji, zwłaszcza art. 38 oraz innych artykułów. Sądzę, że w tej chwil w Polsce nie ma atmosfery do dyskusji o jakichkolwiek zmianach w konstytucji, pomijając, że jest potrzebna większość dwóch trzecich w obu izbach, żeby taką zmianę przeprowadzić. Myślę, że gdyby rząd czy posłowie z nim związani zaangażowali się w tego rodzaju inicjatywę, to efekt byłby absolutnie odwrotny do zamierzonego i osłabiłoby to obóz rządzący.

Jak pan ocenia propozycję prezydenta wprowadzającą pewne korekty do ustawy o ochronie życia poczętego – w istocie sankcjonujące utrzymywanie przesłanki eugenicznej?

Projekt zaproponowany przez prezydenta jest przede wszystkim bardzo nieprecyzyjny od strony prawnej. To budzi sprzeciw nie tylko obrońców życia, lecz także zwolenników aborcji, ponieważ zapisy tej ustawy są wyjątkowo rozmyte. Powiem tak: jednym z głównych argumentów podnoszonych w trakcie dyskusji o karze śmierci przez jej przeciwników był argument dotyczący tego, że ok. 10 proc. wyroków wykonano na ludziach niewinnych. Tutaj pan prezydent proponuje przesłankę, w oparciu o którą nie wiadomo, czy przy okazji stosowania tej ustawy nie pozbawiano by życia dzieci nienarodzonych, które mają pełne prawo do życia. Z tego punktu widzenia ta propozycja była przedwczesna, a do tego – jak widać – nie osiągnęła swojego celu politycznego. W moim przekonaniu została ogłoszona po to, by rozładować napięcie społeczne wokół wyroku Trybunału Konstytucyjnego. Tak się nie stało, bo krytykują ją zarówno zwolennicy obrony życia poczętego, jak i ci, którzy domagają się liberalizacji prawa do aborcji.

Nadal identyfikuje się pan ze środowiskiem politycznym Prawa i Sprawiedliwości? Czy to, co dzieli pana i PiS, to efekt przewartościowań, które dokonują się w tej partii? Na przykład syndromu „tłustych kotów", który skutkuje utratą słuchu społecznego?

To racja, niestety, problem oderwania od rzeczywistości jest coraz większy. Jedna z postaci w książce Kazimierza Moczarskiego „Rozmowy z katem" mówiła, że nic tak nie oddziela „władzy" od „ludu" jak dętki limuzyn samochodowych. I coś w tym jest. W mojej ocenie pojawia się coraz więcej rys przy realizacji programu, z którym szliśmy do wyborów w 2015 czy w 2019 r. Programu, który dał nam bezprecedensowe zwycięstwo, owocujące bezwzględną większością w Sejmie w obydwu kadencjach. Ten przykład z „furteczką" w postaci niedzieli handlowej 6 grudnia czy „piątką dla zwierząt" najlepiej pokazuje, że mamy do czynienia z odwołaniem się do koniunkturalizmu i relatywizmu, otwarcia się na tzw. nowe środowiska, mruganie okiem do lewicy i brania w nawias własnego programu oraz deklarowanych wartości. Myślę, że to chybione próby. W przeszłości jako poseł AWS byłem świadkiem, jak ta formacja odchodziła od programu, a w efekcie utraciła społeczną wiarygodność. Jak to się skończyło w 2001 r., wszyscy wiemy. Wtedy też mówiono, że konieczne jest zwrócenie się do centrum, odejście od programu, dostosowanie się do oczekiwań społecznych itd. Widzę pewną sprzeczność, bo jeśli mamy już jakiś wizerunek społeczny ukształtowany na podstawie programu, który głosiliśmy, tego, co zrobiliśmy – a ten dorobek szczególnie poprzedniej kadencji jest absolutnie pozytywny, zwłaszcza w aspekcie spraw społecznych – to takie eksperymenty czy nerwowe ruchy pod wpływem słabnących sondaży, zagrywki socjotechniczne adresowane do innych środowisk powodują, że traci się tych, którzy są wiernymi wyborcami o poglądach prawicowych, a nie zyskuje się nowych.

Czuje się pan już dysydentem w Zjednoczonej Prawicy?

Nie. Czuję się osobą, która patrzy ideowo na politykę i uważa, że w polityce trzeba być wiarygodnym i wiernym tym wartościom, z którymi się idzie do wyborów, dzięki którym uzyskuje się mandat w systemie demokratycznym. Być może moja wiara jest zbyt idealistyczna, ale i realistyczna!

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 223289eb43

Żywot dandysa bez happy endu

Piotr Semka

Każdy woli pamiętać tego Marcina Króla, którego najbardziej lubił. No dobrze, ale jak posklejać te dwie połówki bogatego życiorysu zmarłego niedawno intelektualisty?

FOT. ANDRZEJ ŚWIETLIK/FORUM

Ta śmierć skłaniała do wielkich słów. „Zmarł prof. Marcin Król, jeden z najważniejszych polskich intelektualistów, historyk idei, liberał, obrońca wolności, zasad liberalnej demokracji oraz równocześnie propagator mądrego polskiego patriotyzmu" – tak żegnał profesora portal OKO.press. Agata Bielik-Robson podkreślała: „Marcin Król, mój mistrz, wiedział, że liberalna zmiana wprowadzona nakazem budzi tylko opór". Z kolei socjolog Ireneusz Krzemiński pisał z patosem: „Jego ostatnie wystąpienia były krzykiem". Reakcje ze strony konserwatywnej sprowadzały się raczej do podkreślania jego ogromnego znaczenia dla przypomnienia myśli konserwatywnej w latach 70. i 80. z dość taktownym ominięciem ostatnich trzech dekad publicznej aktywności filozofa. Robert Kostro, były działacz opozycyjnego Ruchu Młodej Polski, żegnał go tak: „Żal po Marcinie Królu. Jego eseje i książki, obok tekstów Wojciecha Karpińskiego [...] na przełomie lat 70. i 80. przywracały i odświeżały nielewicowe tradycje intelektualne. »Sylwetki polityczne XIX wieku«, »Style politycznego myślenia«, »Ład utajony", »Konserwatyści a niepodległość« i wreszcie znakomita »Podróż romantyczna« to były pozycje bardzo ważne dla mojego pokolenia. Późniejsze teksty nie bardzo mnie poruszały, ale też śledziłem nie mniej uważnie".

Jak więc widać, każdy woli pamiętać tego Marcina Króla, którego najbardziej lubił. No dobrze, ale jak posklejać te dwie połówki bogatego życiorysu?

W jakiej tonacji pisać o Marcinie Królu? Być może po prostu opisując wszystkie etapy jego politycznej ewolucji. Robert Kostro wskazuje trafnie, że wielu z publicystów czy myślicieli, którzy uważali Marcina Króla za swego nauczyciela lub mentora, potem wybierało zazwyczaj własną drogę, najczęściej odmienną w stosunku do wyborów swojego mistrza.

KANDYDAT NA ANTY-MICHNIKA

Pierwszy raz spotkałem go w kuluarach Okrągłego Stołu. Słyszałem o nim wiele bardzo dobrych opinii już wcześniej, więc jako 23-latek przyglądający się warszawskiej polityce chłonąłem wrażenia i opinie z zapałem nowicjusza. Marcin Król ubrany w marynarkę w angielską kratkę, w kwiecie swoich 45 lat czarował damy i jawił się jako przykuwający uwagę intelektualista.

Pamiętam, że wiele osób widziało w nim wtedy kogoś, kto rzuci wyzwanie Adamowi Michnikowi w rywalizacji o rząd dusz nad niezależną inteligencją. Byli niemal rówieśnikami. Król, rocznik '44, był jedynie dwa lata starszy od Michnika. Ludzie, którzy zwracali uwagę na niuanse warszawskich salonów, wskazywali mi na wiele – jak im się wtedy wydawało – różnic między Królem a środowiskiem lewicujących „komandosów". Król pochodził z tradycyjnej antykomunistycznej warszawskiej rodziny, przypominając w tym względzie braci Karpińskich – Jakuba i Wojciecha – z którymi zwiąże go serdeczna przyjaźń. A jednocześnie miał za sobą bardzo błyskotliwą karierę uniwersytecką. Jego praca magisterska z filozofii „Absolut epistemologiczny i komunikacja intersubiektywna u Kartezjusza i Husserla" była uważana za jedną z najbardziej interesujących w ówczesnym czasie. Proponował mu asystenturę sam Leszek Kołakowski, ale, jak tłumaczył Król, interesowała go bardziej filozofia polityczna i wolał pozostać w katedrze Niny Assorodobraj-Kuli i Jerzego Szackiego.

Ten okres swojego kontaktu ze środowiskiem marksistowskich rewizjonistów tak opisywał we wspomnieniach: „W tym krótkim okresie 1964–1968 sporo czasu spędzaliśmy na wieczornych spotkaniach, które odbywały się z reguły w domach. Nie były to zabawy w SPATiF-ie, jaki opisuje Janusz Głowacki. Leszek [Kołakowski – przyp. P.S.] nie ubóstwiał lokali, zatem spotykaliśmy się u tych, którzy mieli własne mieszkania, co w tamtych czasach wcale nie było częste. [...] Nie prowadzono poważnych rozmów, raczej szydzono z władzy i jej głupoty, cieszono się tym, że udało się coś przemycić przez cenzurę. Znacznej części atrakcji dostarczały liczne samochody UB, które jeździły za sporą częścią uczestników, więc potem stały do nocy i czekały beznadziejnie. Jak teraz wiem, podsłuchiwano na ogół te spotkania, ale jakość sprzętu była tak marna, że zapiski z tych podsłuchów są albo niezrozumiałe, albo absurdalne".

Ten świat dosyć elitarnego i przez pewien czas niezbyt groźnego kontestowania epoki Gomułki skończył się w marcu 1968 r. Był jednym z paru asystentów, którzy dołączyli do delegacji studenckiej, która podjęła rozmowy z władzami uczelni 8 marca 1968 r. Nie został aresztowany w pierwszej fali zatrzymań, która skupiła się na „komandosach", czyli w środowisku lewicy laickiej. Dzięki temu mógł wspierać komitet studencki, który prowadził dalsze protesty. Zatrzymany został dopiero 10 kwietnia 1968 r. Postawiono mu bardzo groźny wówczas zarzut organizacji nielegalnych zgromadzeń, który potencjalnie groził bardzo wysokim wyrokiem. Jednak ostatecznie władze zrezygnowały z włączenia go do puli studentów i pracowników naukowych przeznaczonych do procesów pokazowych. Zwolniono go bez procesu po trzech miesiącach.

Lata 70. to okres jego błyskotliwego rozbłysku intelektualnego na polu historii idei politycznych. W 1971 r. obronił pracę doktorską poświęconą świadomości historycznej w ideologii jakobinów. Trafił do Instytutu Filozofii i Socjologii Polskiej Akademii Nauk. Jego teksty poświęcone myślicielom politycznym w ramach cyklu „Od Mochnackiego do Piłsudskiego. Sylwetki polityczne XIX wieku" – które pisał razem z Wojciechem Karpińskim – doskonale trafiały w zainteresowania pokolenia ówczesnych młodych niepodległościowców, np. ze środowiska Ruchu Młodej Polski. Teksty Króla w „Tygodniku Powszechnym" czytano wówczas z wypiekami na twarzy. A jednocześnie tej sławie, którą zdobywał w opozycyjnym salonie, towarzyszyły przykłady osobistej odwagi. Na pewno wymagało jej podpisanie w 1975 r. tzw. Listu 59, listu intelektualistów, którzy sprzeciwiali się wpisaniu do Konstytucji PRL sojuszu ze Związkiem Sowieckim.

W warunkach pewnego liberalizmu epoki Gierka nie oznaczało to jednak zablokowania możliwości kariery naukowej. W 1977 r. zdobył tytuł doktora habilitowanego, a potem wyjechał na półtoraroczne stypendium na Uniwersytecie Yale. Po powrocie do kraju jesienią 1978 r. staje się opiekunem pracy doktorskiej Aleksandra Halla „Polska myśl polityczna na przełomie XIX i XX wieku".

W odróżnieniu od Halla w bezpośrednią politykę się jednak nie angażuje. Odpowiada mu – jak się zdaje – status kogoś, kto jest punktem odniesienia w ideowych sporach opozycji, ale sam nie chce przekroczyć granicy między historykiem idei a politykiem opozycji. To, na co się decyduje, to w końcu stworzenie w 1978 r. wraz z Wojciechem Karpińskim podziemnego kwartalnika „Res Publica".

Król od opozycyjnej bieżączki woli wypuszczać się na poszukiwania w dziedzinie myśli liberalnej i konserwatywnej, przypominając takich klasyków jak Alexis de Tocqueville, ale jednocześnie demonstrować pewien dystans wobec haseł niepodległościowego aktywizmu. Ogromne wrażenie na młodym środowisku kontestatorów, którzy dystansują się od trady-

eprasa.pl 223289eb43

cji Michnika i Kuronia, wywiera wydana przez Króla w 1979 r. na emigracji książka „Style politycznego działania. Wokół »Buntu Młodych« i »Polityki«". Młodzi chłonęli to, co uważali za oddanie sprawiedliwości niemarksistowskim korzeniom działań opozycyjnych, ale mniej uważnie podchodzili do wyraźnego u Króla podkreślania, że ideologia konserwatywna niespecjalnie pasuje do aktualnej akcji politycznej. Formalnie Król współpracował z Polskim Porozumieniem Niepodległościowym, ale znów wolał raczej nawiązywać do myśli Jeana Monneta, twórcy idei integracji europejskiej, niż wróżyć, kiedy upadnie ZSRS. Był doradcą NSZZ „Solidarność" Regionu Mazowsze, ale jak wspominają go intelektualiści skupieni wokół związku, więcej uwagi skupiał na próbach przeniesienia do oficjalnego obiegu swojego ukochanego pisma „Res Publica". Bez skutku.

Lata po ogłoszeniu stanu wojennego to okres zainteresowania Marcina Króla myślą polityczną Stańczyków. Można było w tym zauważyć modny wówczas po prawej stronie rys pewnego dystansu wobec działania podziemnej Solidarności i oswajania się z myślą, że można z komunistyczną władzą zawierać jakieś częściowe kompromisy na rzecz zmian modernizacyjnych. Wiązała się z tym jego aktywność w grupie tzw. publicystów politycznych, którzy szukali nisz w oficjalnym systemie dla promowania prywatnej inicjatywy i autonomii kultury. To już bardzo blisko do Klubu Myśli Politycznej Dziekania, który przyciągnął do siebie wiele nazwisk z obszarów konserwatywnej myśli, choć specjalnego sukcesu nie odniósł.

ARCYODSTĘPCA LAT 80.

Te próby wyjścia z klinczu władza kontra podziemna Solidarność skłoniły Marcina Króla do podjęcia prób legalizacji „Res Publiki". Władze przyjęły tę ofertę, ale upokorzyły niegdysiejszego bohatera Marca '68, wysuwając do rozmów na temat legalizacji pisma Jerzego Urbana. „Res Publica" rzeczywiście zaczęła się ukazywać legalnie, ale Król zapłacił za to sporą cenę. Jak wspominał Andrzej Horubała, na Króla posypały się wówczas gromy ze strony Adama Michnika, który pryncypialnie potępił jego negocjacje z komunistami. „Wściekły Adam Michnik wyrzucił ze swoich imienin członków redakcji »Res Publiki« – Tomasza Jastruna i Michała Komara – jak wspominał Horubała. Był Marcin Król wielką nadzieją prawej strony. Z pociągłą twarzą, z książką Hannah Arendt pod pachą w tweedowej marynarce z uśmiechem lekceważenia dla ideologicznych szaleństw niósł nadzieję".

Ta nadzieja nigdy się jednak niczym konkretnym nie zakończyła. Król, który poczuł się zagrożony wygnaniem z warszawskiego opozycyjnego salonu, zaczął dbać o to, by naprawić stosunki z Michnikiem. Jego doradzanie stronie solidarnościowej przy Okrągłym Stole było wstępem do roli doradcy premiera Tadeusza Mazowieckiego, po wrześniu 1989 r. Podobnie jak jego były uczeń Aleksander Hall obaj utonęli w poparciu dla Mazowieckiego jako jedynej nadziei dla przyszłości Polski. To dlatego Król całkowicie bezrefleksyjnie wsparł program Leszka Balcerowicza. Trzeba było wygranej Wałęsy w wyborach 1990 r., by Król zrozumiał, jak bardzo polska rzeczywistość polityczna różni się od świata jego esejów z historii myśli politycznej. W latach 90. powraca do pracy naukowej i tutaj odnosi wiele sukcesów. W latach 1996–2012 (z krótką przerwą w latach 2002–2005) był dziekanem Wydziału Stosowanych Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego. W 1999 r. otrzymuje tytuł profesora nauk humanistycznych. Wraca na łono salonu, nad którym nieformalny patronat wciąż sprawuje Adam Michnik. Symbolem tego pojednania jest przyjęcie przez Króla funkcji przewodniczącego rady Fundacji im. Stefana Batorego. Pewną satysfakcję daje mu po 2000 r. błyskotliwa kariera Roberta Krasowskiego, który z dumą uważa się za jego wychowanka. Król zasypuje swoimi tekstami dodatek do „Dziennika Polska-Europa-Świat" o nazwie „Europa". Teksty Króla przestają mieć jednak jakikolwiek odkrywczy charakter. To coraz bardziej schematyczne pouczenia, że wszyscy Polacy powinni doceniać ład europejski i liberalny. Król jest bardzo niechętny praktyce politycznej Jarosława Kaczyńskiego i jako odtrutkę proponuje mądrze pomyślany populizm reprezentowany przez Tuska.

Król, który poczuł się zagrożony wygnaniem z warszawskiego opozycyjnego salonu, zaczął dbać o to, by naprawić stosunki z Michnikiem

W 2014 r. na chwilę zaskakuje czymś nowym i ogłasza „Byliśmy głupi". Tak nazywa się głośny wywiad w „Gazecie Wyborczej", którego myśli rozwija w wydanej w 2015 r. książce o tym samym tytule. W największym skrócie, książka „Byliśmy głupi" jest swoistą ekspiacją za okres jego bezwarunkowego wspierania reformy Balcerowicza. Król ubolewa nad wojną na górze w 1990 r., która doprowadziła do rozmycia się legendy Solidarności, zauważa, że reforma Balcerowicza pozostawiła biednych ludzi bez perspektyw, i wreszcie ubolewa nad zanikiem idei, które mogłyby połączyć Polaków. Jak pisał: „Z jednej strony była Polska inteligencka, z drugiej komunistyczna, a w środku? Nie wiadomo, co było w środku. Ludzie, którzy trwali. Kto mógł przypuścić, że właśnie ten środek zostanie najgorzej potraktowany".

Ten okres przewartościowań nie trwał jednak długo.

Wraz z dojściem do władzy Jarosława Kaczyńskiego Król znów zaczął lansować tezę o polskim chamie, który dochodzi do głosu. Przez kolejne lata po podwójnym zwycięstwie PiS w wyborach prezydenckich i sejmowych był już stałym gościem TVN i bywalcem łamów „Gazety Wyborczej" czy „Newsweeka" w roli mędrca, który załamuje ręce nad końcem polskiej demokracji. Całe sekwencje tekstów obracały się wokół jednego tematu: „Jakim cudem do władzy mogli dojść barbarzyńcy spod znaku PiS?".

Co ciekawe, ten były piewca konserwatyzmu zaczął gorąco wspierać wizję jakiejś wielkiej rewolty, która obaliłaby rządy „kaczyzmu". We wrześniu 2019 r. pisał: „Nie wierzę w zmiany ewolucyjne. [...] W ten sposób się nie zmienia społeczeństw. Mentalność może się zmienić tylko w sposób rewolucyjny. Co jakiś czas zjawiają się ludzie, którzy mają poczucie, że chcą wpływać na bieg rzeczy, i wtedy muszą doprowadzić do zasadniczej zmiany, czyli obalić stary porządek". Te słowa dobrze pokazują, jak dużą metamorfozę przeszedł Marcin Król w ciągu ponad 50 lat swojej aktywności publicznej.

Teraz, po śmierci, żegnany był jako patron intelektualnego sprzeciwu wobec rządów PiS. Jego zaciekawienie konserwatywnym światem idei XIX w. zamieniło się po 1989 r. w dość jałową obronę uprzywilejowania świata, który znał z lat 70. i 80. W tym sensie istotnie był konserwatystą, ale w rozumieniu przedstawiciela lobby, które nie chce żadnych koncesji mogących umniejszyć pełnię posiadania swojej kasty.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 223289eb43

MECENAS KONCERTU

Enea

eprasa.pl 223289eb43

FOT. JACEK DOMIŃSKI/REPORTER

Rafał A. Ziemkiewicz

Koalicja Polska się skończyła. W oczach przeciętnego wyborcy PSL pozostaje wiejską przybudówką do PO, a Kukiz stał się... właściwie już nie wiadomo kim

Rozwód z rozsądku?

Czasy, gdy wypowiedzi i poczynania Pawła Kukiza były uważnie śledzone i szeroko komentowane, minęły już – i raczej nie ma do nich powrotu. Zerwanie przez PSL współpracy z grupą Kukiza i zakończenie projektu Koalicja Polska (przy oskarżeniach polityków, że tak naprawdę to Kukiz „wypisał się" z tego projektu, i to już dawno) nikomu nie podniosły ciśnienia. Być może dlatego, że od początku nikt w trwałość tego związku nie wierzył.

Chociaż przecież „małżeństwa z rozsądku", a takim była niewątpliwie Koalicja Polska, trwają zwykle długo – co najmniej tak długo jak wiążące je interesy. Koalicję zawiązano, bo samodzielnie zarówno Kukiz'15, jak i PSL miały niewielkie szanse na przekroczenie progu wyborczego, a odmienność elektoratów – w pierwszym przypadku niemal wyłącznie w miastach, w drugim na wsi – czyniła je względem siebie niekonkurencyjnymi. Tak jest nadal. W niektórych sondażach nie przekraczały zresztą progu nawet pod wspólnym szyldem.

Faktem jest jednak, że jeśli z przyłączenia ruchu Kukiza do ludowców miała powstać jakaś nowa i bardziej atrakcyjna dla wyborców jakość, to takim nadziejom ostatni rok zdecydowanie zaprzeczył. Doraźny polityczny byt nie zdołał się zakorzenić w świadomości Polaków ani znaleźć dla siebie miejsca na bipolarnej scenie politycznej. W oczach przeciętnego wyborcy PSL pozostaje wiejską przybudówką PO, a Kukiz stał się właściwie, już nie wiadomo kim. Byłym trybunem ludowym, który głosił, że nie chce być politykiem i będzie walczył z systemem, by po kilku latach braku sukcesów w tej walce, by pozostać w polityce, przystąpić do partii uważanej przez wszystkich za modelowy produkt „systemu" i prezentującej wyraziście wszystkie jego patologie.

POWRÓT PSL

Jak zwykle w takich przypadkach padają z obu stron wzajemne oskarżenia o zdradę, niewdzięczność, cyniczne wykorzystanie szczerych intencji i nadużywanie budżetowej dotacji – widać, że te złe emocje gromadziły się już od dawna. Nie można jednak wykluczyć, że rozstanie spowodowane zostało nie tylko wzajemnym zniechęceniem, lecz także polityczną rachubą. PSL mogło uznać, że Kukiz nie

eprasa.pl 223289eb43

pasuje do jego nowej strategii i przyniesie w przyszłości więcej szkody niż pożytku – a jeśli się rozstawać i próbować na nowo zawalczyć o popularność umożliwiającą samodzielne wejście do Sejmu, to lepiej teraz, gdy do wyborów jeszcze daleko.

Jako oficjalny pretekst rozstania wskazali liderzy PSL głosowanie przez Pawła Kukiza i jego posłów za sejmową uchwałą popierającą stanowisko rządu w sporze z Unią Europejską o powiązanie wypłat funduszy z arbitralną oceną praworządności. W tym samym czasie w Senacie przedstawiciele PSL głosowali za uchwałą o wymowie dokładnie przeciwnej, potępiającą stanowisko rządu. Ironia tej sytuacji tkwi w porównaniu oficjalnej przyczyny zerwania koalicji z powodami jej niegdysiejszego zawiązania. Kto jeszcze pamięta, że nazwa „Koalicja Polska", biało-czerwone logo zamiast zielonego oraz przyłączenie Kukiza, postrzeganego jako polityka o wrażliwości patriotycznej, były podjętą przed wyborami parlamentarnymi rozpaczliwą próbą ustawienia się w kontrze do Koalicji Europejskiej, bytu powołanego na o kilka miesięcy wcześniejsze wybory do PE? Udział w tamtej „europejskiej" koalicji, razem z partiami skrajnej lewicy, kosztował PSL utratę zaufania swojego tradycyjnego elektoratu i zagrażał zniknięciem z ogólnopolskiej sceny politycznej. „Rebranding" okazał się jednak udany, Kukiz zdjął z ludowców odium „tęczowych gumofilców" i dał im drugie życie, choć o wyborczym sukcesie trudno mówić (chyba że było nim samo przetrwanie).

Teraz, jak pokazuje głosowanie w Senacie, PSL najwyraźniej zdecydowało się wrócić do grona tworzącego dawniej Koalicję Europejską. Można się domyślić, że kwestia weta wobec europejskiego budżetu obudziła w ludowcach nadzieję na ponowne ustawienie się w roli „jedynego obrońcy polskiej wsi". Rolnictwo jest uzależnione od Unii i jej pieniędzy jak żadna inna dziedzina gospodarki, więc wetowanie przez PiS budżetu można przedstawić jako uderzenie w jego najbardziej żywotne interesy.

Powrót do obozu „byle nie PiS" próbują ludowcy tym razem osłonić wizerunkowo, pozując na partię z większymi uczestnikami tego obozu, POKO i Lewicą, skłóconą. Stąd, wspierając antyrządową uchwałę Senatu (skądinąd horrendalną), która bez jego głosów w ogóle nie mogłaby być przyjęta, ogłosili jednocześnie, że „opozycyjnej większości w Senacie już nie ma", a to z powodu zdrady PO i Lewicy, jaką było ich jednogłośne, silniejsze niż w samym PiS, poparcie tzw. piątki dla zwierząt.

CIEŃ DAWNEJ POTĘGI

Czy elektorat tę grę „kupi", a jeśli tak, to czy wystarczy go, by partia Kosiniaka-Kamysza odgrywała nadal jakąś rolę w polityce – trudno ocenić. Dzisiejsze PSL to zaledwie cień dawnej potęgi z czasów, kiedy Waldemar Pawlak z przewrotnym uśmiechem zapowiadał dziennikarzom, że „wybory wygra nasz koalicjant". Linia „żadnych układów z PiS" wynikała z racjonalnych przesłanek, nie ideowych bynajmniej, po prostu po tym, jak Kaczyński za swych pierwszych rządów zniszczył Samoobronę i LPR, ludowcy uznali, że jest on polityczną modliszką, która każdego koalicjanta prędzej czy później pożre w taki sam sposób. Wieloletnie trzymanie się tej linii zepchnęło jednak PSL do przeciwnego narożnika – do roli przystawki liberalnej lewicy. Brutalnie pokazały to wybory prezydenckie, w których Kosiniak-Kamysz był tylko „rezerwowym" kandydatem anty-PiS, i gdy chybioną kandydaturę Kidawy-Błońskiej wymieniła PO na Trzaskowskiego, jego notowania natychmiast spadły sromotnie. Ta wymiana, warto pamiętać, odbyła się dzięki porozumieniu zawartemu przez PO z PiS (rządzący ocenili bowiem, trafnie, że urzędujący prezydent łatwiej wygra w drugiej turze z prezydentem Warszawy niż z prezesem PSL) i w tym cała sprawa, że PO, choć też jest zakładnikiem własnej histerycznej propagandy, takie porozumienie zawrzeć mogła – a PSL nie. A w każdym razie nie odważył się nawet spróbować.

Możliwe, że skoro znaczenie Kukiza okazało się za małe, ludowcy poszukają teraz nowego partnera w Hołowni

Możliwe, że skoro znaczenie Kukiza okazało się za małe, ludowcy poszukają teraz nowego partnera w zajmującym jego dawną polityczną niszę „antypartyjności" Hołowni. Ten ostatni jest jednak pod każdym względem enigmą, sondażowe sukcesy, jakie przyniosły mu zadymy Marty Lempart, są zapewne chwilowe – poza tym Hołownia, choć może jeszcze tego nie wie, ma ten sam kłopot. W przeciwieństwie do Kukiza, który przynajmniej na początku umiał znaleźć wyborców po obu stronach plemiennej wojny (co zresztą spowodowało klęskę Bronisława Komorowskiego), Hołownia obsługuje tylko elektorat anty-PiS i sam wyrzekł się zdolności do przyciągania rozczarowanych zwolenników władzy. Może więc jako sojusznik przydać się co najwyżej do rozgrywek wewnątrz obozu liberalno-lewicowego. Jeśli w ogóle zechce się z PSL wiązać, bo na razie nie ma w tym żadnego interesu.

Przyszłość PSL i tak rysuje się ciekawiej niż w przypadku Kukiza. Wydaje się, że na jego politycznej drodze ogromnie zaciążyła jedna rozmowa z Jarosławem Kaczyńskim, którą sam Kukiz wielokrotnie potem cytował. Ta, w której Kaczyński przypominał mu, że też, gdy pierwszy raz wszedł do Sejmu, w ciągu kadencji połowa partii mu się rozeszła, za drugim razem wszedł tylko sam z listy innej partii (Ruchu Odbudowy Polski) i wróżono mu koniec kariery, a przecież teraz rządzi. Jeśli Kukiz naprawdę widzi szansę na to, że w podobnie spektakularny sposób wróci jeszcze do wielkiej gry, to znaczy, że brak mu kontaktu z rzeczywistością i przede wszystkim – obiektywnej samooceny. W Jarosławie Kaczyńskim, czy się go lubi, czy nie, trzeba docenić tytana pracy, poświęcającego latami całą energię oraz czas partii, i choć czasem ulegającego emocjom, to na co dzień rozgrywającego kolejne etapy gry niczym komputer. Kukiz, chimeryczny i zmienny w nastrojach, niekiedy nadaktywny, niekiedy znikający na całe dnie, niepotrafiący ukryć swego emocjonalnego stosunku do innych, jest jego osobowościowym przeciwieństwem. Jest też zaprzeczeniem cech, które tworzą skutecznego gabinetowego gracza. Na początku kariery ta jego odmienność była atutem, ale w tradycyjnie rozumianej polityce bardzo przeszkadza.

Widać już zresztą, że o ile poszczególni posłowie dawnego Kukiz'15 kuszeni są zarówno przez PiS, jak i przez Konfederację, o tyle samego Kukiza nikt namawiać do przystąpienia tu czy tam nie zamierza. Zbyt silne jest przekonanie, że „nie da się z nim poważnie umawiać". Nawet gdyby jego posłowie pozostali mu wierni, nawet gdyby doszło do nich jeszcze kilku ewentualnych uciekinierów z innych partii, pozostała mu rola, jaką w Sejmie III kadencji odkrywał Kaczyński – ale raczej bez perspektywy triumfalnego powrotu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 223289eb43

Piotr Gociek

Kto się boi Gmyza

FOT. KRYSTIAN MAJ/FORUM

„Postawienie kolejnych zarzutów to kwestia nieodległego czasu" – mówił o sprawie Romana Giertycha w mediach prok. Bogdan Święczkowski. Mecenas tymczasem wyjechał do Włoch i domaga się więzienia dla dziennikarza „Do Rzeczy"

Mam za sobą kilkadziesiąt w większości wygranych procesów związanych z wykonywaniem przeze mnie zawodu dziennikarza. Dzisiaj jednak jest przełom. Roman Giertych żąda w prywatnym akcie oskarżenia nie tylko pieniędzy, lecz także kary bezwzględnego więzienia" – napisał na Twitterze 30 listopada dziennikarz „Do Rzeczy" i TVP, Cezary Gmyz. Szybko odezwała się druga strona: „Jak Pan okaże skruchę, wyda swoich Mocodawców i przeprosi, to może zgodzimy się na rok prac społecznych" – odpowiedział Giertych (pisownia oryginalna).

Sprawa dotyczy słów wypowiedzianych przez Gmyza w „Serwisie Info" 15 października 2020 r. Reporter przybliżał naonczas widzom kulisy sprawy Giertycha, zatrzymanego tego dnia przez Centralne Biuro Antykorupcyjne. W prywatnym akcie oskarżenia mecenas wylicza sformułowania, które – jego zdaniem – były pomówieniem „Romana Giertycha o takie postępowanie, które mogło poniżyć go w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla zawodu adwokata". Sprawa znana jest dobrze także czytelnikom „Do Rzeczy", przypomnę pokrótce, że wraz z Giertychem zatrzymano wtedy jednego z najbogatszych Polaków Ryszarda Krauzego, a śledztwo CBA dotyczyło domniemania wyprowadzenia pieniędzy ze spółek Polnord i Prokom Investments.

ARTYKUŁ 212 WCIĄŻ DZIAŁA

Nie pierwszy to w III RP akt oskarżenia składany przez osobnika urażonego tym, co na swój temat usłyszał lub przeczytał. Nowość polega na tym, że oprócz 200 tys. zł nawiązki Giertych domaga się dla Gmyza kary jednego roku pozbawienia wolności. Mecenas czyni to w dodatku na podstawie niesławnego art. 212 Kodeksu karnego, powszechnie krytykowanego jako instrument dławienia debaty publicznej i wolności słowa w Polsce. Helsińska Fundacja Praw Człowieka od dawna monitoruje sprawy wytaczane za pomocą tego instrumentu, nie kryjąc swej krytycznej opinii [odsyłam choćby do zapisu webinarium „Dlaczego należy wykreślić zniesławienie (art. 212) z kodeksu karnego?", przy okazji którego HFPC zaznaczała: „Nasz głos w sprawie dekryminalizacji zniesławienia jest podyktowany zaniepokojeniem o standardy przestrzegania wolności słowa w Polsce, w szczególności w zakresie stosowania instytucji zniesławienia wobec komentatorów życia publicznego"].

eprasa.pl 223289eb43

Kiedy wiosną 2019 r. Sejm miał rozszerzyć treść art. 212 (ostatecznie się z tego wycofano), Stowarzyszenie Dziennikarzy Polskich wydało oświadczenie, w którym było zaniepokojone „utrzymaniem represji w sprawach dotyczących wolności słowa i wyrażania opinii". Obowiązujące dziś prawo stanowi w § 1: „Kto pomawia inną osobę, grupę osób, instytucję, osobę prawną lub jednostkę organizacyjną niemającą osobowości prawnej o takie postępowanie lub właściwości, które mogą poniżyć ją w opinii publicznej lub narazić na utratę zaufania potrzebnego dla danego stanowiska, zawodu lub rodzaju działalności, podlega grzywnie albo karze ograniczenia wolności", a w § 2 precyzuje: „Jeżeli sprawca dopuszcza się czynu określonego w § 1 za pomocą środków masowego komunikowania, podlega grzywnie, karze ograniczenia wolności albo pozbawienia wolności do roku".

– Mecenas Giertych jako pierwszy zdecydował się wnioskować o karę więzienia dla mnie, jest to ewenement w historii art. 212 – mówi „Do Rzeczy" Cezary Gmyz. – Nigdy do tej pory nie słyszałem, by ktokolwiek o taką karę wnioskował. Nawet w głośnej sprawie red. Andrzeja Marka z Polic nie zapadł wyrok więzienia. Za kraty trafił, bo nie wykonał wyroku zasądzonego przez sąd.

Pytany o to, jakich największych sankcji żądano dotąd wobec niego, Gmyz odpowiada: – Było to chyba jakieś 100 tys. zł. Jednak nigdy nie zasądzono mi nawet żadnej nawiązki, odszkodowania czy zadośćuczynienia.

CO GROZI DZIENNIKARZOM ŚLEDCZYM

Dziennikarz śledczy, ujawniający niewygodne fakty, wyciągający na światło dzienne rozmaite afery, musi się liczyć z kontrakcją bohaterów swoich tekstów. Często, gdy sprawa dotyczy dużych firm lub wpływowych postaci życia publicznego, stają przeciwko niemu potężne kancelarie adwokackie i – najkrócej mówiąc – wielkie pieniądze. Wielkich graczy stać bowiem na to, by sądzić się latami, licząc między innymi na to, że pozwy z art. 212 kk nadszarpną także reputację dziennikarza czy komentatora, czyli w efekcie wzmocnią ich własną pozycję w sporze.

Czy Gmyzowi udowodniono kiedykolwiek nierzetelność w tekście lub relacji telewizyjnej? – Przegrałem do tej pory z Janem Pińskim za wpis na Twitterze, z Bedryjem i z Szymowskim. Bez świadczeń pieniężnych – odpowiada dziennikarz „Do Rzeczy" i TVP. – Wygrywałem natomiast z zawodnikami wagi ciężkiej. Szefem ABW Krzysztofem Bondarykiem czy Tomaszem Turowskim (Gmyz ujawnił agenturalną przeszłość Turowskiego, polskiego dyplomaty, który brał udział w przygotowaniach lotu do Smoleńska w kwietniu 2010 r. – przyp. P.G.).

Pamiętam zdumienie na twarzach ludzi, którzy przychodzili na spotkania autorskie. Była wiosna roku 2013, jeździliśmy po Polsce, promując napisaną wspólnie książkę „Zawód: dziennikarz śledczy". Podział ról był taki jak w publikacji: ja pytałem, Cezary szeroko odpowiadał. Zdumienie widzów – którym dzielili się często w rozmowach po spotkaniu – zamykało się w jednym zdaniu: „Myśmy tego wszystkiego nie wiedzieli!".

Znaczenie było podwójne. Nie wiedzieli zbyt wiele o Cezarym Gmyzie, kojarzonym wtedy oczywiście jako wieloletni autor „Rzeczpospolitej", z której wyrzucony został przez Grzegorza Hajdarowicza za artykuł „Trotyl na wraku tupolewa", a także współzałożyciel tygodnika „Do Rzeczy".

Gmyz tymczasem miał za sobą już wtedy trzy dekady dziennikarskiej kariery, podczas której widział wszystko, był wszędzie, spotkał każdego – jeśli przesadzam, to tylko odrobinę. A zdobyta przez niego wiedza była o tyle unikatowa, że jako dziennikarz śledczy zdołał w tym czasie przyjrzeć się z bliska niemal wszystkim aferom, jakie wstrząsały III Rzecząpospolitą. Ba, niektóre z nich zostały ujawnione właśnie dzięki jego mrówczej pracy. Zainteresowanych odsyłam do książki.

Drugie znaczenie zdania: „Myśmy tego wszystkiego nie wiedzieli!" jest smutniejsze – prawdziwa historia III RP wciąż zostaje w dużym stopniu zakryta. Dotyczy to zarówno jej poczęcia w wyniku szemranych interesów oraz działalności służb PRL, jak i rozmaitych ponurych praktyk z jej historii. – Ile razy natrafiam na wielką aferę gospodarczą – mówił na przykład Gmyz – tyle razy okazuje się, że o jej bohaterach można bardzo wiele poczytać w aktach Instytutu Pamięci Narodowej.

Autor „Do Rzeczy" od dekad bada archiwa IPN, jest także jednym z najlepszych specjalistów w Polsce (jeśli nie najlepszym) w kwestii odkrywania prawdy o skali penetracji przez SB Kościoła katolickiego w Polsce i w Watykanie.

Wrogów ma zatem wielu, ale żaden dotąd nie chciał zamknąć go w więzieniu – zapamiętajmy zatem niechlubną rolę mec. Romana Giertycha w czarnej historii relacji między politycznymi celebrytami III RP a dziennikarzami. Trudno nie widzieć w działaniach Giertycha próby odwrócenia uwagi opinii publicznej od jego kłopotów z CBA – jednej z wielu, bo zapowiedział także pozwanie szefa Prokuratury Regionalnej w Poznaniu, która postawiła mu zarzuty, oraz innych osób mówiących o tym, że mecenas podejrzany jest o przestępstwo.

„Intencją Romana G. było wywołanie szumu medialnego i wywieranie nacisków na prokuraturę. A to już jest skandaliczne" – komentował w „Rzeczpospolitej" Bogdan Święczkowski, pierwszy zastępca prokuratora generalnego. – Wolałbym, żeby pan G. zaczął od odbierania wezwań i stawiania się na przesłuchania.

– Mijają właśnie trzy lata od chwili, kiedy Giertych złożył na mnie doniesienie do niemieckiej prokuratury za zacytowanie słów: „Giertych do wora, wór do jeziora" – opowiada Gmyz. – Niemcy zignorowali to zawiadomienie. Giertych próbuje więc dopaść mnie w inny sposób.

W uzasadnieniu aktu oskarżenia złożonego przez Giertycha czytamy między innymi, że podejmuje on wspomniane kroki, bo cieszy się w Polsce powszechnym zaufaniem. – Zadałem sobie trud, by prześledzić wskaźniki zaufania do niego. Jest to oczywiste kłamstwo – odpowiada Gmyz. – Jest wręcz przeciwnie. Giertych należy do osób, które w Polsce cieszą się najmniejszym zaufaniem. W żadnym badaniu w historii zaufanie do Giertycha nie było większe od poziomu nieufności do niego.

Podczas debaty zorganizowanej w marcu 2019 r. przez Adama Bodnara, Rzecznika Praw Obywatelskich, red. Jacek Żakowski z „Polityki" mówił: „Eskalacja używania art. 212 jest niepokojąca […]. Tak naprawdę rozstrzygamy między reputacją a wolnością. A jeśli tak się postawi sprawę, to widzimy, że wolność jest ważniejsza. Nie możemy w imię ochrony reputacji niszczyć naszej wspólnej politycznej wolności". Czekam zatem na oburzenie Żakowskiego i wystąpienie w obronie Gmyza.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 223289eb43

Łukasz Zboralski

Podczas zdalnej edukacji nauczyciele zamieniają naukę w koszmar. Przenieśli manię sprawdzania wiedzy do zdalnego nauczania. Eksperci i rodzice są przerażeni, bo skutki tej „polskiej szkoły" będą straszliwe

FOT. ADOBE STOCK

Edukacja opresyjna

Już wiosenny lockdown był dla najmłodszych Polaków trudny. Chaos, nauczyciele na szybko uczący się tego, jak w ogóle korzystać z narzędzi do zdalnej edukacji. Urwane kontakty z rówieśnikami.

Od września miało być inaczej. Jednak druga fala koronawirusa znów wyrwała dzieci ze szkół i usadziła przed komputerami w domach. Nauczyciele wiedzą już lepiej, jak korzystać z nowych technologii. Jednak nie zmienili swoich metod, pasujących raczej do XIX-wiecznej szkoły. W normalnej klasie dzieci jeszcze jakoś to znosiły. Zasypanie ich e-sprawdzianami spowodowało już kompletną katastrofę.

JAK WYKAŃCZA E-SPRAWDZIAN

Efekty takiego nauczania będą opłakane. I rodzice już widzą ich skutki. Część z nich jest zrozpaczona, część próbuje interweniować w szkołach. Nauka przerodziła się bowiem w kontrolę.

– Przez trzy tygodnie miałem w sumie kilkanaście sprawdzianów lub klasówek. Prawie nie pamiętam dnia, żebym nie musiał rozwiązywać czegoś na ocenę – mówi „Do Rzeczy" 14-letni Piotr, uczeń jednej z podwarszawskich podstawówek. – Czasem chce mi się płakać, bo elektroniczny sprawdzian wygląda tak, że jest ograniczony czas na każde pytanie i często nie można już wrócić do poprzedniego. Albo na przykład w połowie sprawdzianu z biologii stało się coś z moim połączeniem internetowym i mnie z tego quizu wyrzuciło. Musiałem zaczynać od nowa, a czasu miałem już tylko połowę – opowiada. I dodaje: – W klasie, w normalnej szkole takie rzeczy są dużo łatwiejsze. Tu nigdy nie wiem, czy nie zawiesi mi się Windows albo czy wystarczy mi czasu. Dostaję gorsze oceny...

Anna, mama ucznia z VI klasy szkoły podstawowej w stolicy, ma podobne doświadczenia: – Październik to był dramat. Nauczyciele sprawdzali, czego nasze dzieci nauczyły się w poprzednim półroczu. Miały non stop testy diagnozujące, sprawdziany, kartkówki. I oczywiście wszystko to na ocenę. Teraz nadal syn ma średnio trzy sprawdziany tygodniowo. Dostaje link i musi przez 30 minut wypełnić test.

W szkołach niepublicznych dzieci wcale nie mają lżej. – Moja 11-letnia córka jest w prywatnej szkole. Zajęcia ma od godz. 8.30 do 15.20. A potem jeszcze ma się uczyć – odrabiać lekcje oraz przygotowywać się do kartkówek i sprawdzianów. A elektroniczne sprawdziany ma co najmniej trzy tygodniowo. To jest horror – opowiada pan Adam (imię zmienio-

eprasa.pl 223289eb43

ne), biznesmen z branży informatycznej z Warszawy. Zauważył, że po zakończeniu wszystkich zadań jego córka już nie ma czasu wyjść na powietrze z domu, na dworze jest zwykle ciemno. – Ja wiem, że w pandemii wszystko będzie inaczej, i uważam, że ten rok w edukacji i tak będzie trochę stracony – tłumaczy. – Jednak zamiast błyskotliwie wykształconej córki w tak drastyczny sposób wolałbym mieć córkę zdrową psychicznie i fizycznie. To jest dla mnie ważniejsze – dodaje i zapowiada interwencję w szkole.

POGŁĘBIANIE ZŁA

Takich dzieci i rodziców jest w Polsce więcej. I przeżywają jeszcze trudniejsze chwile. Uczniowie w dużych miastach mają bowiem zwykle jeszcze relatywnie dobre łącza internetowe w domu. Ci z zamożniejszych rodzin mają też do dyspozycji własne komputery. Wśród mniej zamożnych i mieszkających w małych ośrodkach pojawia się w ogóle problem braku dostępu do edukacji.

A dzieci i bez tego przeżywają podczas pandemii trudny czas. Raport Fundacji „Dajemy Dzieciom Siłę" wskazuje, że prawie co trzeci respondent w wieku 13–17 lat przyznawał, że podczas pandemii jego samopoczucie się pogorszyło. Częściej skarżyły się na to dziewczęta. 33,4 proc. badanych oceniło, że podczas pandemii nie jest zadowolone ze swojego życia.

Wiemy też z wcześniejszego raportu ONZ o stanie zdrowia psychicznego podczas pandemii, że dzieci przeżywają poważne kłopoty. Rodzice z Włoch i Hiszpanii zgłaszali, że obserwowali u swoich podopiecznych: problemy z koncentracją (77 proc.), drażliwość (39 proc.), niepokój (39 proc.) i nerwowość (38 proc.). Prawie co trzecie dziecko skarżyło się też na poczucie samotności.

Przestarzałe metody polskiej szkoły (zamiast nauki, która zachęca do pogłębiania wiedzy i wspólnych projektów, podawanie wiedzy i kontrolowanie, czy uczeń ją przyswoił) na pewno samopoczucia dzieciom i młodzieży nie poprawiają.

– System edukacji nie spisuje się najlepiej w tych pandemicznych czasach z różnych powodów – mówi „Do Rzeczy" dr Aleksandra Piotrowska, psycholog dziecięcy. – Nauczyciele poddawani są różnego rodzaju naciskom, bo muszą mieć podstawę do wystawienia oceny okresowej. To prowadzi do tej obłędnej częstości przeprowadzania różnego rodzaju sprawdzianów. Nie rozumiem, dlaczego tak postępujemy. W tych czasach powinniśmy nie tylko mocno zredukować wymagania treściowe wobec uczniów, lecz także właśnie zmienić ten charakterystyczny dla polskiej szkoły system opresji przejawiający się olbrzymią liczbą klasówek – tłumaczy. Doktor Piotrowska ostrzega, że takie traktowanie dzieci nie pozostanie bez wpływu na ich psychikę. I chodzi nie tylko o stres, który teraz przeżywają, lecz także o kształtowanie ich późniejszego stosunku do szkoły, edukacji szkolnej czy w ogóle wiedzy jako takiej. – Te koszta, które muszą ponosić dzieci i ich rodzice, kiedy próbują sprostać oczekiwaniom nauczycieli, na pewno nie są warte tego, by formalności stało się zadość, czyli żeby nauczyciel miał wystarczającą liczbę ocen cząstkowych do wystawienia oceny semestralnej – ocenia dr Piotrowska. – Serdecznie współczuję i dzieciom, i ich rodzicom.

SENS TESTOWANIA

Eksperci widzą ten problem polskiej szkoły, ale obawiają się, żeby znów nie wylać dziecka z kąpielą. – Samo testowanie jest praktyczną metodą, zwłaszcza w nauczaniu zdalnym, bo można to łatwo wykonać i zautomatyzować ten proces. Jest to jedna z najskuteczniejszych metod pogłębiania wiedzy i pomocy w jej zapamiętywaniu. Z tym że nie można tego robić na ocenę – mówi dr Maciej Jakubowski z Evidence Institute, były wiceminister edukacji. – Chodzi o sam proces, o wyciąganie tego z pamięci uczniów. Jeśli robi się to na ocenę zdalnie, wówczas psuje to cały efekt. Dzieci pod presją ściągają, przepisują z notatek. To staje się nierzetelne. I w dodatku czego tym uczymy dzieci? – pyta. I opowiada, że na szkoleniach nauczycieli przekonuje ich, by testowali dzieci po to, aby otrzymywać informację zwrotną, zbiorową o ich umiejętnościach i wiedzy. Łatwo mogą zobaczyć, z czym jest problem, i na tym się skupić, by lekcje uczynić najbardziej efektywnymi.

Trzeba nauczycielom o tym przypominać, bo po wprowadzeniu do systemu edukacyjnego w Polsce testów diagnostycznych szkoły zaczęły postrzegać je jako narzędzie do oceniania dzieci oraz do oceniania efektywności pracy nauczycieli. To ogromne skrzywienie, z którym nie wiadomo, czy kiedykolwiek się uporamy.

Doktor Jakubowski przestrzega jednak przed skrajnym działaniem w drugą stronę. – Słyszymy często, że szkołę trzeba wywrócić i w ogóle odejść od testowania i oceniania. To jest zupełna bzdura – mówi. – Mówienie, że testy w ogóle są bez sensu, pokazuje nieznajomość współczesnych badań edukacyjnych dotyczących skuteczności nauczania. A niestety takie opinie są dziś popularne wśród ekspertów edukacyjnych.

Łatwego wyjścia z nadmiernego testowania na ocenę nie będzie. Doktor Radosław Kaczan, psycholog z SWPS w Warszawie, wskazuje, że podczas zdalnej edukacji dzieci nie tworzą takiej grupy, jaką budują, przebywając ze sobą osobiście. – W normalnie funkcjonującej szkole grupa uczniów może się przeciwstawić, gdy zostaje potraktowana źle, np. w kontekście nadmiernego natężenia sprawdzianów – mówi dr Kaczan. – Mogą też solidarnie wystąpić w obronie ich zdaniem kogoś źle potraktowanego, ocenionego przeciw nauczycielowi, dyrektorowi czy w ogóle instytucji. A obecnie są trochę sami. Mogą mieć poczucie, że jeśli ich coś dotyka, to dotyczy tylko ich, bo coś z nimi jest nie tak. A to nieprawda. Do tego rozumienia przydaje się grupa, dobry przyjaciel. To mnie w tej zdalnej edukacji martwi – wyjaśnia. Dodaje jednak: – Dzieci zawsze szukają wyjścia z sytuacji, mam nadzieję, że będą się próbować temu przeciwstawiać.

Pomóc mogłyby instytucje, które o dzieci powinny dbać. Jednak na pytanie, co w tej sprawie może zrobić rzecznik praw dziecka, nie dostaliśmy odpowiedzi od jego biura.

O interwencję pytaliśmy też Ministerstwo Edukacji Narodowej. Kuratorzy mogliby bardzo szybko w elektronicznych dziennikach sprawdzić, jak mocno testuje się uczniów w szkołach na oceny. I zalecić umiar.

MEN odpisało jednak, że zostawiło dyrektorom wolną rękę co do sposobu organizacji zdalnego nauczania. Ministerstwo przyznaje, że otrzymuje różne sygnały od rodziców, uczniów i nauczycieli. Zarówno te dotyczące nadmiernego obciążenia, jak i za małej liczby godzin pracy uczniów. Daje jednak jasno do zrozumienia, że rodzice powinni ten problem rozwiązywać z dyrektorami placówek. „W przypadku jakichkolwiek nieprawidłowości lub wątpliwości dotyczących prawidłowości działań nauczycieli, uczniowie/rodzice powinni informować o tym dyrektora szkoły. W przypadku braku działań ze strony dyrektora szkoły rodzice/pełnoletni uczniowie mogą zgłosić sprawę do kuratora oświaty" – odpisała nam Anna Ostrowska, rzecznik MEN. Dla rodziców i uczniów to jasny sygnał – zostaliście z tym sami.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 223289eb43

Z zakazami w ciuciubabkę

Agnieszka Niewińska

Zamiast kwater dla turystów wynajem schowka na narty z możliwością ich pilnowania, zamiast siłowni i klubu fitness – Kościół Zdrowego Ciała. Pomysłów na obejście obostrzeń nie brakuje

Po tygodniach zdalnej pracy i szkoły on-line niejeden rodzic marzy choćby o weekendowym wyjeździe i chwilach spędzonych na łonie natury. I chociaż w świetle obowiązujących przepisów wyjazd turystyczny z noclegiem jest niemożliwy, bo hotele i pensjonaty nie mogą przyjmować turystów, to wyjeżdżających nie brakuje. Okazuje się, że da się znaleźć nocleg w atrakcyjnych turystycznie miejscach Polski. – Spędziliśmy z dziećmi kilka dni w chacie w górach – opowiada Ewa, 30-latka z Warszawy. – Z rezerwacją nie było problemu, ale pobyt był na tzw. nielegalu. Właściciele nie prosili o żadne oświadczenie o podróży służbowej. Liczą na to, że goście na nich nie doniosą – mówi.

PILNOWANIE NART

Hotele mają prawo przyjmować na nocleg osoby podróżujące służbowo. Wystarczy podpisać stosowne oświadczenie. Efekt jest taki, że nagle pojawiło się bardzo wielu podróżujących służbowo. Kiedy pod koniec listopada zaczęły ruszać pierwsze wyciągi narciarskie, na Zakopiance przybyło samochodów z „podróżującymi służbowo". Włodarze górskich kurortów zapowiadają, że takich wyjazdów będzie przybywać. – Jeśli rząd nie złagodzi obostrzeń dla narciarzy, to wzrośnie liczba wyjazdów służbowych w góry. Przecież hotele mogą obsługiwać legalnie takie osoby. To zresztą już się dzieje. Turystyka biznesowa w kurortach górskich rośnie w siłę. Są różne pomysły na zakwaterowanie: organizowane są różnego rodzaju zawody sportowe, których uczestnicy poznają np. zasady gry w szachy, i konferencje miłośników nart biegowych – mówił onet.pl prezydent Wisły Tomasz Bujok.

Są i bardziej kreatywne pomysły na omijanie hotelowych zakazów. Grzegorz Schabiński z Jasła jest właścicielem kompleksu hotelowo-restauracyjno-narciarskiego U Schabińskiej Chyrowa Ski. Turystom zaoferował wynajem schowków na narty. „Minister [Piotr Patkowski, wiceminister finansów – przyp. red.] mówi, żeby się przebranżowić, bo nasze biznesy są niedochodowe, więc ja z dnia na dzień się przebranżowiłem i zamiast hotelowego pokoju mam schowek na narty. W tym schowku każdy może sobie pilnować nart, leżąc na łóżeczku przed telewizorem" – opowiada w udostępnionym w sieci wideo. W ofercie ma „schowki" jedno-, dwu-, trzy- i czteroosobowe.

Schabiński pomysłowością w obchodzeniu przepisów wykazał się już podczas pierwszej fali epidemii. Restauracje były zamknięte, ale te działające przy hotelach mogły wydawać posiłki swoim gościom. Schabiński wpadł na pomysł, żeby przychodzący do restauracji U Schabińskiej dopłacali złotówkę za wynajem pokoju hotelowego i już jako goście hotelowi zgodnie z literą prawa mogli skosztować podawanych w lokalu dań.

– To nie ja jestem kreatywny. To rząd, wprowadzając durne przepisy, zmusza mnie, przedsiębiorcę, do szukania rozwiązań. Zarządzam biznesem, jestem za niego odpowiedzialny, więc muszę szukać wyjścia z tej sytuacji – mówi „Do Rzeczy" Schabiński.

Na „schowki" ma już dużo rezerwacji. Kontroli się nie boi. – Tylko Boga się boję. Działam zgodnie z prawem. Sam minister kazał się nam przebranżawiać – mówi. I zaprasza do swojej stacji narciarskiej. – Narciarstwo to teraz najbezpieczniejszy sport. Narciarze mają rękawice, maski,

eprasa.pl 223289eb43

FOT. ADOBE STOCK

gogle, jeżdżą w dużej odległości od siebie. Nikt mi nie powie, że kiedy na 12-hektarowym stoku jest 120 narciarzy, to jest to mniej bezpieczne niż zakupy w sklepie, w którym na 1 tys. mkw. jest 500 osób.

WALKA O PRZETRWANIE

Po tym, jak premier ponownie ogłosił zamknięcie siłowni i fitness clubów, wielu przedsiębiorców szukało sposobu na obejście zakazu. Siłownia Frick Gym z Iławy ogłosiła, że ci, którzy mieli karnety na siłownie, stali się „pacjentami na rehabilitacji".

Głośno zrobiło się o krakowskim Atlantic Sports, którego właściciele też zdecydowali, że mimo obostrzeń będą otwarci dla klientów. „Skoro nie mogą funkcjonować siłownie – w miejsce naszej od dzisiaj otwieramy SKLEP ATLANTIC ze sprzętem do ćwiczeń" – poinformował Atlantic Sports na Facebooku i zaprosił klientów do odpłatnego testowania klubowych maszyn do ćwiczeń. Dla korzystających z zajęć fitness club też przygotował fortel. „Od dzisiaj ruszają w naszym klubie zgromadzenia religijne członków związku pn. Kościół Zdrowego Ciała. Trudno uwierzyć? W tym świecie wszystko jest przecież możliwe. Oświecony Olek i Czcigodna Gosia zapraszają dzisiaj na wyjątkowe wydarzenia religijne".

Szybko w klubie pojawiła się policja. Obyło się bez kar. – Przestrzegamy zasad sanitarnych. Byliśmy jedyną otwartą siłownią, więc zainteresowanie było spore, ale wpuszczaliśmy tylko tyle osób, na ile pozwalał limit – mówi Marta Jamróz, menedżerka Atlantic Sports. – Musieliśmy szukać jakiegoś rozwiązania, żeby się nie zamykać. Działamy w sercu Krakowa, więc koszty działalności są wysokie, a w momencie ogłoszenia zakazu działalności nikt nie mówił o żadnej pomocy dla nas. Prowadzimy też hotel, który teraz świeci pustkami. Zdarzają się może dwie rezerwacje podróżujących służbowo w miesiącu. W tej chwili walczymy o przetrwanie – podkreśla Jamróz i dodaje, że zamieszanie wprowadza rząd. – Najpierw nakazał zamknięcie siłowni i fitness clubów, a potem zaczął otwierać furtki, kiedy mogą one jednak działać. Żeby zinterpretować rozporządzenie, musieliśmy skorzystać ze wsparcia prawników. W dodatku zostało ono opublikowane o godz. 22, dwie godziny przed wejściem w życie. Jesteśmy klubem całodobowym, nie wiedzieliśmy, jak ułożyć grafik pracowników, czy po północy będziemy mogli jeszcze działać – opowiada. I dodaje: – W tej chwili mogą się u nas odbywać zajęcia zorganizowane z trenerem i zawody sportowe. Frekwencja w klubie jest na poziomie 40–50 proc. tego, co było wcześniej. Nasza sytuacja jest trudna.

Coraz więcej osób dowiaduje się o furtkach umożliwiających powrót do obiektów sportowych i z nich korzysta. – Mąż na siłownię wrócił po krótkiej przerwie. Okazało się, że może podpisać oświadczenie, iż przygotowuje się do zawodów, i normalnie ćwiczyć. A że biega w półmaratonach, jego wyniki są w sieci, to ma nawet podkładkę – opowiada Aleksandra z Warszawy.

Specjalna postarzająca maska mająca pozwolić na robienie zakupu w godzinach dla seniorów to internetowy żart, ale nie brakuje tych, którzy i to ograniczenie próbują omijać. Jeden ze sklepów sieci Żabka zaproponował, żeby w czasie godzin dla seniorów klienci, którzy nie należą do tej grupy, robili zakupy przez aplikację, a zapakowane artykuły odbierali przed wejściem do sklepu. Sieć odcięła się jednak od tej metody, poinformowała, że to inicjatywa jednego z franczyzobiorców.

Z kolei kiedy rząd ogłosił, że liczba osób robiących zakupy w sklepach będzie uzależniona od liczby kas, internauci donosili o sieciach handlowych, które zaczęły wyciągać z magazynów dodatkowe kasy. Poznańska biedronka została ukarana mandatem w wysokości 30 tys. zł, bo dostawiła „mobilną" kasę umieszczoną na sklepowym wózku.

W kraju obowiązuje zakaz organizowania uroczystości rodzinnych takich jak wesela, chrzciny czy konsolacje, ale zdeterminowani znajdą sposób nawet na 50-osobową imprezę. Reporterzy Polsat News wcielili się w narzeczonych pragnących zorganizować wesele. Wyposażeni w ukryte kamery odwiedzili kilka sal weselnych. Okazało się, że da się je zorganizować. – Tu można z 50 osób ustawić, rolety pozasłaniać. Przyjeżdżacie samochodami, później światła wyłączamy, bramy zamykamy na kłody z jednej strony, z drugiej strony i robimy – usłyszeli w jednym z lokali. – Na dwóch imprezach były nawet fajerwerki i też nie było nic zgłoszone, policja nie przyjechała – uspokajała pracownica, z którą rozmawiali reporterzy.

CZAS EGOCENTRYZMU

Sejm przed ponad miesiącem przyjął ustawę antycovidową, wedle której przedsiębiorcy łamiący obostrzenia mogą stracić pieniądze z pomocy publicznej, a także unijne dotacje. Wielu przedsiębiorców bardziej obawia się bankructwa.

Psychologa społecznego dr. Ireneusza Siudema kombinatorstwo w dobie pandemii nie dziwi. – Dbałość o samego siebie leży w naturze człowieka – mówi. – Dużą dozę egocentryzmu mamy jako dzieci. Z upływem lat, kiedy dorastamy, zdobywamy wykształcenie, dojrzałość we współżyciu społecznym, nad egocentryzm przedkładamy bezpieczeństwo i dobro innych. Badania psychologiczne wskazują jednak, że są od tej reguły wyjątki. Powracamy do egocentryzmu w sytuacji kryzysu, zagrożenia. Żeby nie doznać uszczerbku, kombinujemy, naginamy przepisy – wyjaśnia dr Siudem. I dodaje: – Oczywiście nie dotyczy to wszystkich. Dojrzałość społeczno-emocjonalna pozwala na wyzbycie się egocentryzmu nawet w sytuacji kryzysowej. Badania pokazują jednak, że współczesne społeczeństwa są coraz mniej dojrzałe, coraz gorzej radzą sobie w trudnych sytuacjach. Wiele osób podziwia pomysłowość obchodzących przepisy, ale biorąc pod uwagę sytuację pandemii, kombinowanie jest niezbyt etyczne.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 223289eb43

Święta pokrótce

Piotr Gociek

Nigdy dotąd na półkach księgarskich w Polsce nie pojawiło się jednocześnie tak wiele antologii świątecznych opowiadań – od romansu do kryminału, od grozy do fantastyki

I oto jest już z nami pierwszy z wigilijnych cudów: zmartwychwstanie krótkiej formy, które dokonuje się właśnie w księgarniach. Autorzy i czytelnicy opowiadań od lat żyją w ciężkich czasach, magazyny literackie zdechły lub zdychają, wydawcy kręcą nosem na krótkie historie, domagając się powieści grubych jak cegły, najlepiej od razu pogrupowanych w trylogie. A tu niespodziewanie na półkach wysyp świątecznych antologii (i szerzej, wszelkich związanych z Wigilią i ze świętami Bożego Narodzenia premier). I wszystkie znajdują chętnych nabywców – czyżbyśmy lekturami już teraz zaczęli sobie rekompensować nienormalne święta czasów nowej normalności?

Oferta bogatsza niż w poprzednich latach, choć chwilami mocno zaskakująca, bo chociaż od dawien dawna jestem fanatycznym pożeraczem świątecznych nowości wszelkiego rodzaju, to niektóre z premier jednak mnie zaskoczyły. „Grzeszne święta" (Akurat) czy „Niegrzeczne święta" (Wydawnictwo Kobiece) kuszą seksem z choinką w tle, „Zakochany Święty Mikołaj" (Filia) to bardziej propozycja obyczajowo-romansowa. Znak czasów, wszak kończący się rok zapisze się niestety w historii polskiej popkultury jako ten, w którym w roli symbolu ekspansji naszych produktów serial „Wiedźmin" został zastąpiony na Netflixie filmem „365 dni" na podstawie książkopodobnego produktu Blanki Lipińskiej.

DUCHY PRZY STOLE

Przeglądam jednak swoją obszerną kolekcję świątecznych antologii z różnych zakątków świata i myślę: „Ech, nie ma się co obruszać". No bo skoro mieliśmy już zbiory o wampirach i wilkołakach albo o zwierzętach obdarzonych paranormalnymi zdolnościami, to historyjki o tym, co zimą robią pan z panią, wydają się wręcz staromodne. Niemal tak staromodne jak kojarzenie wigilijnych i świątecznych spotkań z obżarstwem, z którego to stereotypu z kolei skorzystali autorzy zgrupowani w antologii „Wigilijne opowieści" (W.A.B./GW Foksal). Tutaj każde opowiadanie z 12 opatrzone jest przepisem kulinarnym, w końcu potraw na wigilijnym stole ma być właśnie 12.

W chłodne wieczory nic tak nie rozgrzewa jak zimny trup. Odnotujmy zatem na półkach wigilijne nowe opowieści kryminalne. W przypadku zbioru „Świąteczne tajemnice. Najlepsze świąteczne opowieści kryminalne" (Zysk i S-ka, selekcjoner Otto Penzler, weteran podobnych przedsięwzięć) są to opowieści nowe dla polskiego czytelnika, ale tak poza tym cenione i czytane wcześniej w świecie anglosaskim, gdzie rozmaite zbiory thrillerów, chillerów czy crime stories to licząca wiele dekad księgarska tradycja świąteczna. Traktuję tę książkę jako ulubiony ciąg dalszy zbioru z ubiegłego roku („Cicha noc. Świąteczne zbrodnie" tegoż samego wydawcy), w którym znalazły się jedynie teksty klasyczne, z Chestertonem i Conan Doyle'em włącznie. W owym czasie odpowiedzią współczesną i polską dla tych, którzy gustują z innym typie kryminału, była polska antologia „Zabójcze święta" (Skarpa Warszawska). Obydwa tytuły wciąż są w sprzedaży.

Skoro padło już słowo „klasyka" – co roku któreś z wydawnictw bierze na siebie obowiązek przypomnienia także polskich dokonań sprzed lat, a mamy się czym pochwalić, bo chadzały w tej kategorii najznamienitsze pióra. W tym

eprasa.pl 223289eb43

roku rolę kustosza tradycji przyjęło na siebie wydawnictwo WasPos i przedstawiło antologię „Świąteczna noc", w której Bolesław Prus, Eliza Orzeszkowa, Maria Dąbrowska, Maria Rodziewiczówna czy Władysław Reymont konkurują z Antonim Czechowem, H.Ch. Andersenem, Lucy Maud Montgomery czy Karolem Dickensem. A skoro mowa o Dickensie, to jakże mogę pominąć to, że wreszcie dostępny jest po polsku obszerny czterotomowy zbiór jego wigiijnych opowieści (Zysk i S-ka) – napisał bardzo wiele (nie tylko tę o skąpym Scrooge'u), w tym sporo mocno odjechanych, choćby wyjęta z „Klubu Pickwicka" „Opowieść o goblinach, które podkradły zakrystiana". Dickens był wszak ojcem założycielem tego specyficznego, uroczego, sentymentalnego i pouczającego podgatunku, jakim są opowieści wigilijne. Znalazł licznych naśladowców niemal zaraz po tym, jak jego opowiadania drukowane co roku w grudniowych magazynach zdobyły wielką popularność.

„Kolęda prozą", po którą tak chętnie sięgają twórcy filmów kinowych i telewizyjnych, była opowieścią o duchach. Z historii na różne sposoby wracających do zjaw, z którymi spotyka się Scrooge, dałoby się ułożyć osobną obszerną książkę. Znalazłyby się w niej zarówno klasyczne opowieści grozy, jak i zupełnie współczesne interpretacje. Nic więc dziwnego, że wielce spodobał mi się w tym roku zbiór „Z duchami przy wigilijnym stole" (Zysk i S-ka), przy czym już sam tytuł tego wyboru mam za bardziej przewrotny i wieloznaczny, niż zdaje się na pierwszy rzut oka. Czyż za każdym razem, gdy spotykamy się z bliskimi przy wigilijnym stole, nie mamy poczucia, że duchy naszych przodków, duchy poprzednich pokoleń zaglądają nam przez ramię? Zostawiamy też puste nakrycie dla zawsze nieobecnego, a niespodziewanego gościa. Duchem są z nami ci, którzy na czas nie dotarli. I myślę sobie, że w czasie pandemii, świątecznych restrykcji i przygotowań do składania życzeń on-line ten symbol nabiera dodatkowego znaczenia. Wydaje mi się to równie ważne, jak ważni są autorzy przypomniani w tej antologii, wśród nich Henry James i Walter Scott.

Skoro opowieści o duchach, to fantastyka. Nie będę też ukrywał, że zrosły się w moim umyśle (i w moim sercu) od czasu, gdy w pewien wigilijny wieczór po wieczerzy, siedząc wśród ciszy i śniegu (cisza była w pokoju, śnieg za oknem, tak – miewaliśmy wtedy bardzo śnieżne święta), przeczytałem pierwsze zdania „Władcy Pierścieni". Wybłagałem ten prezent u rodziców i wcale nie było łatwo go zdobyć. W owych czasach (wczesne lata 80.) trylogia Tolkiena była wydawniczym rarytasem kupowanym za ciężkie pieniądze na aukcjach w klubach miłośników fantastyki albo na targowiskach. Ale od czegóż ma się zaprzyjaźnionych antykwariuszy? Po latach lektura Tolkiena stała się jednym z moich świątecznych rytuałów, który przetrwał do dziś. W odróżnieniu od obyczaju rozbijania czterech orzechów, by sprawdzić, co ich wnętrze – zdrowe lub zgniłe – zwiastuje mi na cztery kolejne kwartały nadchodzącego roku. Zawsze z radością witam więc w przedświąteczny czas wznowienia jeśli nie „Władcy Pierścieni", to innych opowieści prof. Tolkiena, a jeszcze bardziej cieszy mnie, kiedy znajdują tak liczne grono nabywców – jestem pewien, że nie inaczej będzie w tym roku.

FANTASTYCZNE ŚWIĘTA

Na koniec chwila prywaty – sam spróbowałem przyłożyć grudniową porą rękę do zbożnego dzieła mnożenia świątecznych wigilijnych opowieści. I tak powstała antologia „Fantastyczne opowieści wigilijne" (Zysk i S-ka), pierwszy w języku polskim zbiór świątecznych opowiadań reprezentujących rozmaite rodzaje fantastyki: fantasy, science fiction, cyberpunk, horror, fantastyczną satyrę. Pojedyncze teksty tego rodzaju bywały czasem ozdobą świątecznych magazynów branżowych, ja spróbowałem zebrać te, które szczególnie ujęły mnie za serce. Wśród autorów mistrzowie gatunku: Connie Willis, Orson Scott Card, Joe Haldeman, zapomniana niec, lecz świetna Janet Kagan. I oczywiście Polacy – od Marka Oramusa do Łukasza Orbitowskiego (jest i opowiadanie niżej podpisanego). Część z nich to premiery, inne stały się już świąteczną klasyką.

Wiele świątecznych filmów lub książek to historie odpowiednio zaśnieżone, urocze, lecz jednowymiarowe, stawiające sobie tylko jedno zadanie: by bezwstydnie sentymentalnymi metodami wprawić nas w dobry nastrój. Nie chciałem się do tego ograniczać. Książka jest najlepszym prezentem, ale tylko jeśli zmusza do myślenia. Zapraszam do sprawdzenia, na ile udało się to zarówno mnie, jak i pozostałym autorom tegorocznych zbiorów opowieści wigilijnych.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 223289eb43

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PIOTR GOCIEK

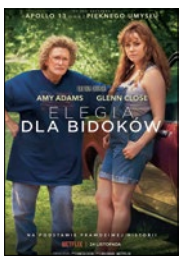

★★★☆☆☆
REŻ. RON HOWARD
„ELEGIA DLA BIDOKÓW" („HILLBILLY ELEGY")
USA 2020
wyst. Gabriel Basso, Owen Asztalos, Amy Adams, Glenn Close

OGLĄDANIE NA ŻĄDANIE

Pusty przebieg

Niedobrany okazał się to związek: rozpieszczony liberał z Hollywood, Ron Howard, zabrał się za ekranizację książki J.D. Vance'a „Elegia dla bidoków" – książki, która opisuje celnie fenomen białej biedoty z amerykańskiego tzw. pasa rdzy. Dla wyborców Trumpa hollywoodzkie elity nie mają nic prócz pogardy, dobre więc i to, że przynajmniej od tego się Howard wstrzymał. Co już wystarczyło, by salony zarzuciły mu nadmierną sympatię dla rednecków z Kentucky i Ohio. Sprawa jest poważniejsza: on ich po prostu nie jest w stanie zrozumieć.

J.D. Vance napisał autobiografię połączoną z esejem o współczesnej Ameryce i wyszła mu książka wybitna. Opowiedział w niej nie tylko o własnym wysiłku wydobycia się z pułapki ubóstwa (zaczął od marines, skończył w Yale), lecz także świetnie przeanalizował fenomen marginalizowanej, niedostrzeganej z perspektywy Los Angeles czy Nowego Jorku biedoty. Ron Howard przerobił książkę na ckliwą opowiastkę o dorastaniu, a poza nawiasem opowieści pozostawił to, co w „Elegii dla bidoków" było naprawdę odkrywcze i ciekawe. Może było to przedsięwzięcie skazane na niepowodzenie ze względu na nieodpowiednią formę? Coś mi mówi, że jako serial albo porządny dokument sprawdziłoby się lepiej. Sięgnijcie sami po literacki oryginał, książkę wznowiono przy okazji premiery filmu – jest dużo, dużo lepsza.

Na ekranie widzimy zaś sporo zmarnowanego potencjału. Amy Adams jako matka głównego bohatera, balansująca nieustannie między opiekuńczością i szaleństwem, wydaje się nakreślona zbyt grubą krechą. Babcia małego J.D., którą gra Glenn Close, jest niemal karykaturalna. Na szczęście dają radę Gabriel Basso oraz Owen Asztalos wcielający się w głównego bohatera (odpowiednio: dorosłego oraz nastoletniego). Tak naprawdę najbardziej w pamięci pozostają dwie sceny: porównanie pejzażu kwitnącej przemysłowej Ameryki sprzed półwiecza i ponurej teraźniejszości zrujnowanych fabryk czy opustoszałych miast oraz elegancka kolacja, podczas której nieszczęsny student z Kentucky odkrywa, jak zdegustowani są jego osobą, pochodzeniem i obyczajami „starzy, wykształceni, bogaci z wielkich ośrodków". ©℗

NOWE SERIALE: „MAŁY TOPÓR"

Antologia pięciu pełnometrażowych filmów o życiu afrokaraibskiej mniejszości w Londynie. Rzecz budzi uznanie dla zręczności i talentu reżysera (Steve McQueen to laureat Oscara za film „Zniewolony"), bo są to opowieści pulsujące emocjami i świetnymi obserwacjami obyczajowymi. Z drugiej strony – historie ześlizgują się w stronę amerykańskich klisz kina antyrasistowskiego, ale akurat taki cel sobie twórca postawił: na różne sposoby opowiedzieć o przełamywaniu niechęci i odzyskiwaniu godności. Ogląda się najlepiej tam, gdzie jest najmniej ideologii. ©℗ ***Piotr Gociek***

• ***reż. Steve McQueen „Mały topór" („Small Axe"), Wielka Brytania 2020***

NA MAŁYM EKRANIE TAKŻE:

• *reż. David Fincher* ***„Mank",*** *USA 2020*

• *sezon 1* ***„Ziemia niczyja" („No Man's Land"),*** *Francja/Izrael 2020*

• *reż. Christoph Waltz* ***„Układ idealny" („Georgetown"),*** *USA 2019*

eprasa.pl 223289eb43

Amerykanie w Londynie

To musiało się stać, dziwne tylko, że tak późno. Romantyczna komedia, nakręcona ćwierć wieku temu za 4,5 mln dol., zarobiła prawie 246 mln, zdobywając w kręgach wiecznych nastolatków status filmu kultowego. Krytycy dostrzegli w niej przewrotną pochwałę instytucji małżeństwa, Tadeusz Sobolewski uznał, że dzieło Newella i Curtisa ma w sobie coś z „Pożegnań" Dygata i Hasa. Serial, sprokurowany przez Amerykanów, na podobną taryfę ulgową nie ma co liczyć, bo zasypała nas lawina śmieszno-sentymentalnych fabuł.

Zaczyna się, oczywiście, od serii przekleństw, w tle znów pobrzmiewa „Love Is All Around", na chwilę pojawia się Andie MacDowell.

★★★☆☆☆

„CZTERY WESELA I POGRZEB" („FOUR WEDDINGS AND A FUNERAL")
USA 2019

wyst. Nathalie Emmanuel, Nikesh Patel, Rebecca Rittenhouse

Homoseksualiści tym razem snują się na drugim planie. Odważne sceny, jeśli były, wypadły w montażu. Piętnowane są: seksizm, rasizm, snobizm i sztywniactwo. Promowane – związki międzyrasowe oraz islam. Reszta to banał. Bankier chce zostać aktorem, nauczyciel pisarzem, politycy hipokryzję mają we krwi.

O tym, że jankesom podoba się Londyn, a zwłaszcza Notting Hill, też wiadomo od dawna. Nathalie Emmanuel jest trochę lepszą aktorką, niż można by sądzić po jej występie w „Grze o tron". Inni też się starają, ale tak stereotypowych postaci nie ożywiliby nawet Małgorzata Kożuchowska do spółki z Piotrem Adamczykiem. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

PRZYZNAJ SIĘ!

Skończyły się pomysły? Zawsze można sięgnąć po cudze. Roman Polański popełnił swego czasu film „Śmierć i dziewczyna", inspirowany sztuką Ariela Dorfmana. Igrał w nim z pojęciem winy i kary. Ofiara dopada kata. Jednak czy jest on nim naprawdę? Maja, która cudem przeżyła pobyt w niemieckim obozie i wyemigrowała do USA, też jest w rozterce. Sposób, w jaki Thomas gwiżdże na psa, wydał się jej znajomy, lecz domniemany esesman chodzi w dżinsach, ma normalną rodzinę i mocne papiery. Nic dziwnego, że mąż Mai czuje się skołowany. Rzecz dzieje się za prezydentury Kennedy'ego, więc przy okazji możemy podziwiać oldskulowe auta, ciuchy i fryzury tudzież kłęby dymu z papierosów. Noomi Rapace, która znów gra Cygankę, to aktorska ekstraklasa, jednak reżyser rzuca jej kłody pod nogi, stosując chwyty rodem z tuzinkowego dreszczowca. Finał mile zaskakuje, choć Polański chyba uznałby go za błąd w sztuce.

★★★☆☆☆

REŻ. YUVAL ADLER
„SEKRETY Z PRZESZŁOŚCI" („THE SECRETS WE KEEP")
USA 2020, MONOLITH FILMS

wyst. Noomi Rapace, Joel Kinnaman, Chris Messina

DAMA W OPAŁACH

Zaczyna się od wybuchu Etny, a potem napięcie stale rośnie. Kartagińczycy składają ofiary z ludzi, słonie Hannibala przeprawiają się przez Alpy, Archimedes pali nieprzyjacielską flotę, Scypion szykuje się do decydującej bitwy. Urodziwą patrycjuszkę porwaną przez piratów i sprzedaną jako niewolnicę ratuje z opresji przystojny rzymski szpieg. Oto „Cabiria" – pierwszy blockbuster w dziejach kina i matka wszystkich kostiumowych superprodukcji. Obdarzony herkulesową mocą Maciste stał się królem włoskiej popkultury. Współautor scenariusza, poeta Gabriele d'Annunzio, celował wyżej, ale wszystkie pomysły ukradł mu Benito Mussolini. Kiedy film obejrzał (w Białym Domu) prezydent Wilson z rodziną, Hollywood przystąpił do kontrataku. Dziś „Cabiria" jest szacownym zabytkiem, Italia żyje przeszłością, a niestrudzeni Amerykanie konstruują coraz fajniejsze zabawki. ©℗ ***recenzuje Wiesław Chełminiak***

★★★☆☆☆

REŻ. GIOVANNI PASTRONE
„CABIRIA"
WŁOCHY 1914

wyst. Umberto Mozzato, Bartolomeo Pagano, Francesca Bertini

GRA TYGODNIA: „FOOTBALL MANAGER 2021"

★★★★★★

Siedemnaście lat minęło od pierwszej odsłony „Managera Piłkarskiego", a pewne rzeczy pozostają niezmienne – król jest tylko jeden. Chociaż nie ma realnej konkurencji na rynku, to co roku staje się lepszy. Edycja na sezon 2020/2021 to nie tylko rozbudowanie realizmu transferów zawodników, gestów, które podczas rozmowy z dziennikarzami i piłkarzami wykonuje trener, czy usprawnień taktycznych oraz graficznych, lecz także… uwzględnienie w grze koronawirusa. Pandemia wpływa na budżet drużyny, przerwy w rozgrywkach, zmienia również ich dynamikę. Jeśli ktoś dysponuje nadmiarem czasu, to pozycja obowiązkowa. ©℗

Marcin Makowski

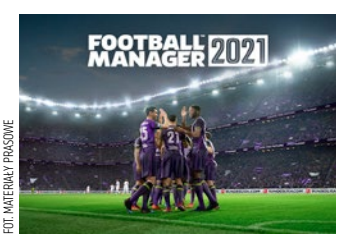

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

- ***Gatunek:*** *Symulator*
- ***Platforma:*** *PC/XONE/XSX*
- ***Producent, dystrybutor:*** *SEGA/Cenega*
- ***PEGI:*** *3+*

eprasa.pl 223289eb43

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Gordyjski węzeł poezji

Poeta Janusz Drzewucki krytykę literacką uprawia, jak sam twierdzi, od roku 1985, czyli od 35 lat. Jeśli tak jest rzeczywiście, to mogę powiedzieć, że kibicuję tej jego aktywności twórczej niewiele krócej, bo od lat 90., gdy znaleźliśmy się razem w zespole redakcyjnym „Rzeczpospolitej". Tutaj od razu zaznaczę, że wcale nie byłem admiratorem jego pisania o literaturze w tamtym dzienniku; przeszkadzał mi z zasady afirmatywny ton, a może jeszcze bardziej pewien pedantyzm tekstów o omawianych książkach, odwoływanie się do innych tytułów danych autorów (prawie zawsze z podaniem dat), co sprawiało, że krótka, z konieczności, gazetowa recenzja przypominała czasem rozszerzoną notę biograficzną. Zupełnie inaczej odbierałem dłuższe teksty krytycznoliterackie twórcy „Podróży na południe", te, które czytałem w weekendowym dodatku „Rzeczpospolitej" – „Plus Minus" – i w miesięczniku „Twórczość", którego jest redaktorem od 1996 r. W esejach, w których mógł Drzewucki szerzej odetchnąć, wykazać zarówno swoją erudycję, jak i jakże przydatną w pisaniu o poezji wrażliwość, przede wszystkim estetyczną, ale nie tylko, jawił się jako prawdziwy znawca sztuki wierszowania, zaciekawiał nieoczywistymi sądami, imponował głębią przemyśleń, a – bywało – olśniewał językową maestrią.

Nic dziwnego, że z dużymi nadziejami sięgnąłem po najnowszą książkę tego autora, wydaną przez PIW „Muzykę sfer", rzecz – jak głosi podtytuł – o poetkach i poetach, a dokładniej o pięciu poetkach i 13 poetach. Nie licząc tych rymopisów, których nazwiska pojawiają się w tych tekstach niejako między wierszami. Już na wstępie Drzewucki zastrzega, że jako krytyk literacki korzysta z przywileju, niedostępnego historykom literatury, by pisać nie o wszystkich, tylko o wybranych twórcach, tych, których wybrał według swego uznania i na swoją odpowiedzialność. Jako czytelnik nie muszę jego wyborów akceptować, ale uszanować – jak najbardziej.

FOT. MICHAŁ WÓZNIAK/EAST NEWS

Zgodnie z obowiązującymi normami, a i z modą, jako że do znudzenia powtarza się nam, że „poezja jest kobietą", rozpoczyna autor swą książkę od piszących pań: szkiców o Wisławie Szymborskiej, Julii Hartwig, Urszuli Kozioł, Krystynie Miłobędzkiej i Ewie Lipskiej. Z największym zainteresowaniem przeczytałem ten pierwszy, podziwiając elegancję Janusza Drzewuckiego omawiającego m.in. tomik juweniliów Szymborskiej „Czarna piosenka" z wierszami – cytuję – „skażonymi doktryną socrealizmu". Nie do końca natomiast zgadzam się z nadto entuzjastyczną oceną „Rymowanek dla dużych dzieci" naszej noblistki, puentowaną, jakoby przy ich lekturze pogodzi się „młode pokolenie ze starym, profesura ze studenterią, prawica z lewicą, a niewykluczone, że również euroentuzjaści z eurosceptykami". To jednak przesada, gdy przywoła się taki oto „moskalik":

Kto powiedział, że Murzyni korzystają czasem z wanny, tego chromym się uczyni pod katedrą Marii Panny.

W drugiej części zbioru – moim zdaniem najlepszej – zajmuje się Janusz Drzewucki naszymi „olimpijczykami": Zbigniewem Herbertem, Czesławem Miłoszem, Tadeuszem Różewiczem i, jak pisze, „najwybitniejszym żyjącym i tworzącym dzisiaj w Polsce poetą" – Jarosławem Markiem Rymkiewiczem. Autor „Muzyki sfer" wielokrotnie już wcześniej udowodnił, że jak mało kto potrafi celnie pisać o literaturze lotów najwyższych. Teraz dobitnie przekonuje o tym swoim wyjątkowym talencie. A już bez reszty uwielbiam go, kiedy, zdawałoby się, kłopotliwe kwestie rozcina niczym Aleksander Macedoński węzeł gordyjski. I pisze tak na przykład: „Niezależnie od tego, które z zamieszczonych w »Utworach rozproszonych« teksty uznamy za lepsze lub gorsze, za bardzo dobre, dostateczne lub wręcz za słabe, trzeba pamiętać, że ich znaczenie tkwi nade wszystko w tym, że są to wiersze Zbigniewa Herberta. Po prostu". Tę drugą, wyśmienitą część książki Drzewuckiego uzupełniają szkice o twórczości nieco zapomnianych poetów, Mariana Grześczaka i Kazimierza Hoffmana.

Wreszcie część trzecia i ostatnia poświęcona jest poetom, o których – powiada autor (62-letni) – w czasach młodości mówili on i jego rówieśnicy – „nasi bracia starsi". Zalicza do nich Krzysztofa Karaska, Juliana Kornhausera, Jerzego Kronholda, Leszka Aleksandra Moczulskiego (szczególne podziękowania za ten szkic), Jana Polkowskiego i Leszka Szarugę. O wszystkich bohaterach „Muzyki sfer" ma do powiedzenia nade wszystko to, że to oni właśnie – poetki i poeci – dają mu „gwarancję tyleż artystycznej, co intelektualnej przygody, przygody bez końca". ©℗

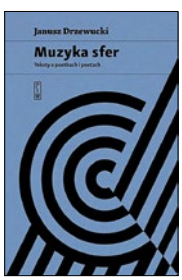

★★★★★★

JANUSZ DRZEWUCKI „MUZYKA SFER. TEKSTY O POETKACH I POETACH"
PIW, WARSZAWA 2020

eprasa.pl 223289eb43

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Dwa upadki

Jesień, czas nagród. Tegoroczną nagrodę „Do Rzeczy" Strażnik Pamięci (w kategorii Twórca), a także Nagrodę im. Józefa Mackiewicza otrzymał prof. Wojciech Roszkowski, na którego podziemnych podręcznikach historii Polski douczałem się w latach 80. (ówczesny pseudonim autora to Andrzej Albert). Roszkowski obdarzony jest rzadką umiejętnością opowiadania w prosty sposób o rzeczach skomplikowanych. A w przypadku książki „Roztrzaskane lustro. Upadek cywilizacji zachodniej" także o rzeczach niewesołych.

Lekkość stylu, warsztat znakomitego historyka i bystre spojrzenie przenikliwego obserwatora rzeczywistości są w przypadku Roszkowskiego uzupełnione także jego doświadczeniem z kadencji w europarlamencie. Wcześniej „Roztrzaskane lustro" uznane zostało przez redakcję „Magazynu Literackiego KSIĄŻKI" za najlepszą publikację humanistyczną dekady. Warto pamiętać, że ukazała się niedawno kontynuacja tej publikacji, książka „Bunt barbarzyńców. 105 pytań o przyszłość naszej cywilizacji".

„Moja Jugosławia" Gorana Vojnovicia to powieść o innym upadku. W książce nagrodzonej tegorocznym Angelusem (nagroda literacka Europy Środkowej) słoweński pisarz wraca do chwili rozpadu komunistycznej Jugosławii. Ten moment definiuje życie głównego bohatera, który niemal dwie dekady później rozpoczyna prywatne śledztwo w sprawie ojca. Rzekomo zabitego na wojnie, teraz jednak okazuje się, że poszukiwanego za zbrodnie wojenne i dlatego żyjącego w ukryciu.

Vojnović stworzył katalog wzajemnych pretensji, uraz i mitologii narodów siłą skupionych niegdyś pod berłem Tity, pochylając się jednocześnie ze współczuciem nad ofiarami utopii. „Moja Jugosławia" jest książką o kłamstwach: kłamie rodzina głównego bohatera, kłamią kamraci ojca, pytanie, czy i pamięć nie oszukuje nas bardziej, niż jesteśmy to w stanie przyznać. Największym kłamstwem był jednak fałsz zjednoczonej wielonarodowej socjalistycznej ojczyzny. Za to kłamstwo – jak zwykle w historii bywa – przyszło wszystkim krwawo zapłacić. Powieść Vojnovicia jest świetnie napisana, wzruszająca i jednocześnie okrutna – znak wielkiej literatury. ©℗

★★★★★☆
WOJCIECH ROSZKOWSKI „ROZTRZASKANE LUSTRO" BIAŁY KRUK 2019

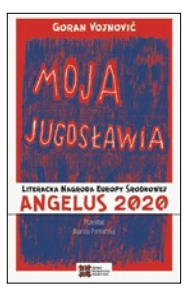

★★★★★☆
GORAN VOJNOVIĆ „MOJA JUGOSŁAWIA" WYDAWNICTWO AKADEMICKIE SEDNO 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Barwnie napisana opowieść o ideologii, która przyniosła śmierć milionom ofiar. Sporo o samym Mao, fascynujący rozdział o Afryce, świetne nakreślenie źródeł i przestroga, bo maoizm wciąż ma wyznawców, nie tylko w Chinach.

JULIA LOWELL „MAOIZM. HISTORIA GLOBALNA" PIW

Jedna z najlepszych książek non-fiction o wojnie w Wietnamie – historia bitwy, która oznaczała początek końca amerykańskiej interwencji, ale także zapisała się w annałach jako 77 dni wielkiego męstwa US Marine Corps.

GREGG JONES „OSTATNI BASTION W KHE SANH" VESPER

Tytuł uznany za najlepszą książkę reportażową roku 2020 przez „Magazyn Literacki KSIĄŻKI". Autor w latach 80. zajął się na Dalekim Wschodzie handlem i przemytem, z kolei w roku 2018 przewędrował pieszo przez Indie.

CEZARY BOROWY „SPOWIEDŹ HANA SOLO"

Tym razem sprawa jest osobista: dawna kochanka Mocka utraciła dwoje dzieci – kto odpowiada za ich zniknięcie? Oprócz tego, jak to u Krajewskiego, kroi się dużo grubsza intryga. Breslau noir na najwyższym poziomie. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

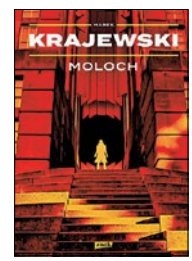

MAREK KRAJEWSKI „MOLOCH" ZNAK

KOMIKS TYGODNIA: „ANDZIA"

Niezwykłe przedsięwzięcie – komiksowe w sposób charakterystyczny dla prehistorii gatunku: rymowanemu słowu towarzyszy cudowna warstwa graficzna. „Andzia" to zbiór dydaktycznych, acz mocno surrealistycznych utworów biskupa kamienieckiego Piotra Mańkowskiego (1866–1933). Zilustrował je Przemysław Truściński, jeden z najlepszych polskich rysowników, spokrewniony z bp. Mańkowskim, który „jeździł do domu rodzinnego, żeby odpocząć, ale przeszkadzała mu w tym bratanica, Andzia. Te wiersze dotyczą właśnie jej i to jest totalny hardcore" – opowiadał Truściński w jednym z wywiadów. ©℗ ***poleca Piotr Gociek***

BISKUP PIOTR MAŃKOWSKI, PRZEMYSŁAW TRUŚCIŃSKI „ANDZIA" TIMOF I CISI WSPÓLNICY 2020

eprasa.pl 223289eb43

Pod kocem do lata

FOT. DAGMARA SZEWCZUK@DAGSOON-SCALED

Monika Wydrzyńska i Mikołaj Trybulec poznali się w szkole muzycznej na dyplomie z wokalistyki jazzowej ich wspólnej koleżanki. Monika śpiewała tam chórki, a Mikołaj grał na basie. – Potem nasze losy zaczęły się przeplatać. Dwa lata temu Mikołaj zaczął produkować muzykę i stworzył swoje domowe studio. Zaproponował mi wtedy wspólne robienie muzyki. Zaczęliśmy się wymieniać inspiracjami, a potem pisać muzykę – opowiadała Monika Wydrzyńska w wywiadzie z 2018 r. dla portalu musicis.pl.

Tak powstał duet Linia Nocna. Pierwszy singiel „Znikam na chwilę" miał być balonem próbnym („[chcieliśmy] sprawdzić, czy może zaistnieć w mediach, radiostacjach. Sporo czekaliśmy na ten moment i miał on być w pewien sposób decydujący o kolejnych krokach" – mówił dla musicis.pl Mikołaj), a dalej wszystko potoczyło się już szybko. Debiutancka płyta duetu, „Znikam na chwilę", ukazała się wiosną 2018 r., została nominowana do Fryderyków w kategorii Album Roku – Elektronika.

Drugi album, „Szepty i dropy", trafił do serwisów streamingowych w ubiegłym tygodniu. W jednej z piosenek jest gość – Kuba Badach („Gdziekolwiek"). „Dla Ciebie jestem sobą" pochodzi z kolei z repertuaru Kabaretu Starszych Panów. – Przy tej płycie zrobiło nam się coś takiego, że nie mamy już takich podziałów tworzenia piosenki, gdzie ja to robię, a Miki robi tamto, tylko nam się to wszystko wymieszało. Teksty piszemy razem, a produkcyjnie ja się staram więcej mówić niż przy poprzedniej płycie – mówi Monika Wydrzyńska. Co z tego wyszło? W napisanym wspólnie „Poniedziałku", który prawdopodobnie będzie jednym z singli, „Mimi" śpiewa: „Album wprost na zimę, szepty i gitarka / Gdyby mnie ktoś szukał, pod kocem do lata". ©℗ ***Radosław Wojtas***

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Dla córki i taty

Siódmy studyjny album amerykańskiej wokalistki przynosi jej bardziej rockowe, by nie powiedzieć – drapieżne oblicze. I nieźle jej to wychodzi.

28-letnia dziś córka Billy'ego Raya Cyrusa, gwiazdora muzyki country, rozpoczęła wielką karierę od głównej roli w disnejowskim serialu „Hannah Montana". Początkowo śpiewała popowe pioseneczki skierowane do niewymagających nastolatek. W 2008 r. albumem „Breakout" zerwała z wizerunkiem serialowej bohaterki. Dwa lata później zarabiała już 48 mln dol. rocznie, dzięki czemu była najbogatszą nastolatką w Ameryce.

Kolorystycznie okładka „Plastikowych serc" nawiązuje do albumu „Kiss Me Deadly" angielskich punkowców Generation X. To nie przypadek, bo gościem na płycie jest Billy Idol, który od Miley jest starszy o… 37 lat. Aby zachować równowagę, jest też duet Cyrus z weteranką Joan Jett (ta od „I Love Rock'n'Roll). Jeśli do tego dodamy covery piosenek Blondie i The Cranberries, to można mieć wrażenie, że otrzymujemy nostalgiczny album poprockowy. Nie do końca, bo pozostałe piosenki mają wprawdzie rockowy pazur, ale brzmią nowocześnie. „Midnight Sky" była wielkim przebojem ostatniego lata, a na płycie jest też duet z popularną Duą Lipą („Prisoner").

Cóż, Miley Cyrus nie odkrywa nieznanych lądów, ale czasem warto porozmawiać przy muzyce z młodszym pokoleniem i odnaleźć wspólne tematy. „Plastic Hearts" jest do tego dobrym pretekstem. ©℗

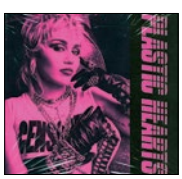

★★★★★★

MILEY CYRUS
„PLASTIC HEARTS"
RCA

★★★★★★

FANFARA AWANTURA
„PRAWDZIWIE POLSKIE TECHNO"
NOPAPER

Po latach udawania Cyganów orkiestra Michała Fetlera rozbiła bank. Siedem instrumentów dętych, klawisz i dziewczę za perkusją! Melodie ludowe grane w rytmie techno przez poznaniaków po prosu miażdżą. Taneczne emocje, jazzowa perfekcja i folkowa naturalność.

★★★★★★

NICK CAVE
„IDIOT PRAYER"
BAD SEED LTD

Internetowy koncert bez widzów zarejestrowany w londyńskiej Alexandra Palace. Na scenie tylko On i fortepian. 85-minutowa podróż przez karierę. 22 utwory w intymnych aranżacjach. Cave nie jest wirtuozem klawiszy, ale jest mistrzem nastroju. Jego baryton wystarczy za całą orkiestrę. ©℗

eprasa.pl 223289eb43

Biedna Sabina

Barbara Kurzaj jako Sabina w serialu „Barwy szczęścia" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Krzysztof Masłoń

Zrodzimych seriali pokazywanych, z uporem z pewnością godnym lepszej sprawy, w największych krajowych telewizjach, bezkonkurencyjnymi okazują się „Barbara i Jan" oraz „Kapitan Sowa na tropie". Oba wprawdzie nieźle znane, jako że premierę miały w tym samym roku 1965, zdążyły więc trwale zapisać się we wdzięcznej pamięci widzów, wciąż jednak na nowo zachwycają tym głównie, że pierwszy kończy się po siedmiu odcinkach, a drugi po ośmiu. W przeciwieństwie do „Na Wspólnej" czy „Klanu", które to dawno przekroczyły granicę 3 tys. odcinków. Ludzie, rok ma 365 dni!

W „Na Wspólnej" mieliśmy ostatnio planowany atak terrorystyczny, pijanego myśliwego, awanturę w redakcji i wiele pomniejszych wydarzeń, takich jak zgubienie siostry w drodze do przedszkola. Słowem, normalna nienormalność. W „Klanie" obnosimy jeszcze żałobę, jako że odszedł doktor Koziełło, a że w wypadku zginęła również Zyta Chojnicka, smutno jest niemożliwie i chyba dopiero w nadchodzącym, 24. roku żywota „Klanu" zrobi się weselej, choć czas ponury i nawet wprowadzający do serialu nieco radości Feliks obawia się, że ma koronawirusa. W niespodzianki obfituje za to sztandarowa produkcja Canal Plus, sławny już „Król", w którym niegdysiejsza podpora sagi rodu Lubiczów – Rysiek (ten od: „Dzieci, rączki!"), a następnie głównie odtwórca ról księży katolickich z cywilnymi antraktami w rodzaju ojca tytułowego bohatera internetowego „Jonasza z II b", przeobraża się w homoseksualistę. Nadto wyrazistego, choć daleko mu jeszcze do innej postaci z tegoż serialowego dzieła – lesbijki Stanisławy Tabaczyńskiej, w której zdumieni telewidzowie rozpoznali aż za dobrze im znaną Sabinę z „Barw szczęścia". Biedna kobieta nie dość, że najpierw kazano jej mieć dziecko z pederastą, to następny jej wybranek zeszedł był, ona sama wpadła w alkoholizm, a teraz wciśnięto kobiecie oprychówkę na głowę i musi udawać nie dość, że kochającą inaczej, to jeszcze socjalistkę. Ktoś powie wprawdzie, że i tak niech się cieszy, bo mogłaby być jeszcze w „Królu" seksualną wyrobnicą w burdelu zarządzanym przez Ryfkę Kij, ale to marna pociecha.

W pokazywanym w mniej może popularnej, ale przecież serialowo niezgorszej Telewizji Puls, „Lombardzie" zagościła natomiast sama Kisielowa z „M jak miłość". Ekspansywną paniusię nazwano tam Filomeną Kociubińską, co brzmi prawie tak samo ładnie jak Hermenegilda Kociubińska, a paralele wiodące wprost do Gałczyńskiego i „Zielonej Gęsi" też się liczą. Jeszcze trochę, a gród nad Odrą, słynący nie tylko z Panoramy Racławickiej i z noblistki Tokarczuk, lecz także z uczelni zwanej w przeszłości m.in. Schlesische Friedrich-Wilhelms-Universität zu Breslau czy Uniwersytetem im. Bolesława Bieruta, no i przede wszystkim z realizowanego tu od 21 lat sitcomu „Świat według Kiepskich" doczeka się kolejnej serialowej ekspozycji godnej jego powikłanej historii. Pytanie tylko, czy oczekiwaniom tym sprosta wykonawca głównej roli, którego pamięta się, niestety, nie tylko jako Henia Lermaszewskiego z „Domu", lecz także jako Wieśka z „Graczyków" i Zbyszka, kolegę Bercika, ze „Świętej wojny". A były to produkcje z gatunku tych, które śnią się po nocach.

Nie śni się raczej, a mógłby czy nawet powinien, psychopatyczny morderca z serialu TVN „Szadź". Dzieło to posiada ogromną zaletę, gdyż skończyło się właśnie na siódmym odcinku, ale zła wiadomość to ta, że przewidywany jest sezon drugi. Zdawałoby się, że Maciej Stuhr w roli zbrodniarza się nie sprawdza, to przecież taki miły, sympatyczny i dowcipny człowiek, że tylko do rany go przyłożyć, ale że gra w „Szadzi" religioznawcę, to i jego patologiczne inklinacje stają się zrozumiałe. A ci, którym wciąż za mało popisów w serialach naszych gwiazd, wpatrzeni są – mam przynajmniej taką nadzieję – w również TVN-owe „Królestwo kobiet" – nie mylić, broń Boże, z „Koroną królów". W „Królestwie kobiet" podziwiamy samą Krystynę Jandę jako Inezę, a jako Robert Klin zaistniał także Artur Żmijewski. Nie pomylić z „Ojcem Mateuszem", bo jeden serial nadawany jest w czwartki, a drugi w niedziele. A w „Pytaniu na śniadanie" – to o dziwo nie serial – Kingę Zduńską. Damy radę? No pewnie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 223289eb43

Europrzegrani

Angela Merkel, Emmanuel Macron i Mateusz Morawiecki w czasie lipcowego szczytu UE

FOT. KRYSTIAN MAJ/KPRM

Łukasz Warzecha

Wbrew opowieści o eurosceptycznym PiS to właśnie politycy tej formacji co najmniej trzykrotnie godzili się na proponowane przez inne państwa UE rozwiązania, których skutki dla Polski są lub mogą być złe

Decyzje podejmowano zwykle z przekonaniem, że skoro ostateczny termin ich realizacji jest odległy, to jeszcze dużo się może wydarzyć. To będzie historia trzech takich pułapek, z których pierwsza pokazuje już, że są to całkowicie płonne nadzieje, a zagrożenie jest realne.

Hasło „Nicea albo śmierć!" mówi coś już tylko koneserom i historykom polskiej polityki. Przypomnijmy zatem – był to okrzyk wzniesiony przez Jana Rokitę, wtedy posła Platformy Obywatelskiej, z trybuny sejmowej w 2003 r., a więc jeszcze przed przystąpieniem Polski do UE. Chodziło o to, jak w poszerzonej już Unii będzie wyglądał podział głosów w Radzie UE. Zgodnie z traktatem z Nicei, podpisanym w 2001 r., Polska po przystąpieniu miałaby znaczącą siłę głosu, równą 27, zaledwie o dwa głosy mniej niż Niemcy, a tyle samo co Hiszpania. To pozwoliłoby nam bardzo skutecznie wywierać wpływ na kształt wspólnoty. Jednak już wówczas wśród „starych" państw UE pojawiły się pomysły, żeby siłę głosu nowych krajów – wszystkie przyjmowane wówczas państwa Europy Środkowej miałyby ok. 90 głosów – zmniejszyć i rozmyć.

W 2005 r. na prezydenta został wybrany Lech Kaczyński, a kilka miesięcy później wybory parlamentarne wygrało Prawo i Sprawiedliwość. Tymczasem w UE trwała batalia w sprawie nowych reguł traktatowych. Zaprojektowany pod kierunkiem byłego prezydenta Francji Valéry'ego Giscarda d'Estaing traktat konstytucyjny został odrzucony w referendach w dwóch „starych" państwach UE: we Francji i w Holandii właśnie w roku 2005. Wtedy postanowiono go „przepakować", nakleić mu nową etykietę i sprzedać już nie jako „konstytucję dla Europy", lecz jako dokument, który potem stał się znany jako traktat lizboński. W tej sprawie przyspieszenie nastąpiło na początku roku 2007.

LIZBOŃSKA NAIWNOŚĆ

Nowy traktat miał skończyć z naszą mocną pozycją, wprowadzając system większości kwalifikowanej w niemal wszystkich sprawach (poza tymi najbardziej podstawowymi dla suwerenności). Do podjęcia decyzji potrzeba by teraz 55 proc. państw członkowskich, lecz nie mniej niż 15, gromadzących zarazem co najmniej 65 proc. ludności UE. To rozwiązanie ewidentnie preferowało kraje starej UE, szczególnie najliczniejsze na kontynencie Niemcy.

Decyzje w sprawie akceptacji traktatu podejmował jeszcze rząd PiS, a główną rolę odgrywał prezydent Lech Kaczyński. Jego doradca, Marek Cichocki (tzw. szerpa w terminologii unijnej), opowiadał się przeciwko nowemu rozwiązaniu i w zamian proponował koncepcję tzw. systemu pierwiastkowego, sytuującego Polskę pod względem siły głosu pomiędzy traktatem nicejskim a nową koncepcją. „Pierwiastek" popierali też szerpa Jaro-

eprasa.pl 223289eb43

sława Kaczyńskiego, wtedy premiera, Ewa Ośniecka-Tamecka, a także Jacek Saryusz-Wolski, wówczas europoseł PO.

Brukselski szczyt, na którym zapadły ostateczne decyzje, a na którym Polskę reprezentował Lech Kaczyński, miał dramatyczny przebieg. Ostatecznie skończyło się zgodą prezydenta na nowy system podwójnej większości z zastrzeżeniem tzw. kompromisu z Joaniny. To zastrzeżenie pozwoliło odłożyć wejście podwójnej większości do 2017 r.

Lech Kaczyński wracał do Polski z poczuciem, że wygrał, tymczasem na miejscu spadła na niego fala krytyki. Sprawa traktatu lizbońskiego była dla zmarłego pod Smoleńskiem prezydenta zadrą do końca życia i do końca swojej decyzji bronił. W wywiadzie rzece, który z nim przeprowadziłem tuż przed kwietniem 2010 r., mówił tak:

„Czułem się zwycięzcą. Zresztą miało to potwierdzenie w wielu opiniach. Następnego dnia prasa niemiecka napisała, że Polska upokorzyła Europę. Gdy później wytykano mi, że nie podpisuję traktatu lizbońskiego, zwykle łączono to ze stwierdzeniem, że ze szczytu wyszedłem przecież jako wygrywający. […] Miałem powody do zadowolenia. […] Otóż w dniu, gdy zakończył się szczyt w Brukseli, w tej kwestii Polska włożyła już stopę w drzwi. Okazaliśmy się państwem bardzo ważnym i trzeba było iść za ciosem.

Kiedy dotarło do Pana, że w kraju wcale nie jest Pan witany jak zwycięzca?

[…] Myślałem, że weszliśmy na inny poziom polityki europejskiej, że będziemy naprawdę liczącym się państwem. Jednym słowem – uważałem, że jesteśmy na bardzo dobrej drodze. A później w ciągu paru dni zaczęły się ataki na rezultat szczytu […]. Czułem się w tej sytuacji fatalnie: wszyscy w Europie uważali, że to było wielkie zwycięstwo, że Polska jest największym wygranym, a tutaj opinia była zgoła odmienna. Zostaliśmy uznani za pokonanych we własnym kraju, i to nie przez środowiska wrogie, tylko te, które nam teoretycznie sprzyjały".

Lech Kaczyński powtarzał jeszcze w marcu 2010 r., że rok 2017 jest daleko. Mówił mi: „Od dzisiaj mamy jeszcze siedem lat. W Unii Europejskiej to bardzo długo. Co się będzie działo w roku 2017, jaka będzie dynamika polityczna – nie wiadomo. Widać, że Unia trzeszczy już teraz w związku z kryzysem i sytuacją w strefie euro. Planowanie w UE na dwie dekady naprzód jest naiwnością".

Patrząc z dzisiejszej perspektywy, widzimy, że jeśli ktoś tu był naiwny, to raczej politycy, którzy zgodzili się w naszym imieniu na system podwójnej większości.

Jeśli ktoś miał nadzieję, że pod rządami PiS nasz kraj zakwestionuje unijną politykę klimatyczną, to musiał się mocno rozczarować. Nie zostały przez Warszawę podane w wątpliwość nie tylko jej chwiejne założenia, lecz także jej konkretne elementy, które nieuchronnie muszą skutkować pauperyzacją Polaków. I nie chodzi tutaj o najczęściej wspominaną sprawę rezygnacji z górnictwa, którego opłacalność i tak była nikła lub ujemna. Przede wszystkim idzie o cenę energii dla przeciętnego gospodarstwa domowego czy firmy, o nieuchronny związany z tym wzrost cen, a także o pośrednie skutki wprowadzanych regulacji – na przykład w postaci wyraźnego wzrostu cen samochodów, wyposażanych w coraz marniejszej jakości wysilone silniczki spalinowe czy forsowanie elektromobilności.

KLIMATYCZNE ZABÓJSTWO

Przede wszystkim jednak to właśnie rząd premiera Morawieckiego zgodził się co do zasady na przyjęcie celu neutralności klimatycznej UE, wyznaczonej przez absurdalne porozumienie paryskie (generujące gigantyczne koszty), z tym że ten termin nie byłby w przypadku Polski wiążący. Nie oznacza to jednak wyłączenia Polski z całego systemu, a przede wszystkim nie oznacza, że Polska w jakikolwiek sposób była w stanie wpłynąć na podszyte fanatyzmem, ale też bardzo konkretnymi interesami założenia polityki klimatycznej.

Co gorsza, politycy UE sprawiają wrażenie, jakby w tej sprawie wpadli w stupor, wciąż bowiem na agendzie jest podwyższanie zakładanych celów. Kolejne tego dotyczące decyzje mają zapaść na najbliższym szczycie Rady Europejskiej, na którym Polska będzie musiała się bronić również na froncie praworządności. W ten zaś sposób mamy aż dwa fronty do obsadzenia.

Jeśli ktokolwiek sądził, że w sprawie klimatu da się sprawy przeczekać, tak jak mieliśmy przeczekać skutki systemu głosowania podwójną większością, to może się zdziwić. W opublikowanym niedawno raporcie Warsaw Enterprise Institute „Drogi nowy ład" przywołano analizę firmy McKinsey, która oceniła koszt osiągnięcia przez nasz kraj neutralności klimatycznej na 857 mld euro, czyli prawie 4 bln zł! Cały polski roczny PKB w normalnych, czyli nieepidemicznych czasach to trochę ponad 2 bln zł.

KOLEJNA PUŁAPKA

Skoro zaś mowa o nadchodzącym szczycie Rady Europejskiej, to czeka na nas tam kolejna pułapka w postaci sprawy powiązania funduszy UE – w tym pieniędzy z funduszu odbudowy – z praworządnością czy może raczej tym, co zostanie za nią uznane na podstawie bardzo ogólnikowych zapisów. Problem w tym, że Polska na ogólną zasadę zgodziła się jeszcze w lipcu. Gdy dzisiaj pan premier mówi, że godziliśmy się przecież na coś innego, zarazem ma rację i jej nie ma. Faktycznie, zaproponowana w wakacje koncepcja była stosunkowo wąska i sprowadzała się, ogólnie rzecz biorąc, do tego, żeby kraje UE mogły mieć pewność, iż wydawanie wspólnotowych pieniędzy odbywa się w należyty sposób i że sądownictwo państw członkowskich jest w stanie ten proces odpowiednio kontrolować. Tyle że propozycja Komisji Europejskiej musiała przejść proces oceny w Parlamencie Europejskim i nietrudno było przewidzieć skutki tej procedury, znając skład izby i jej nastawienie wobec obecnego polskiego rządu, a także wcześniejsze działania PE w sprawie sytuacji w polskim sądownictwie. Rezultatem okazała się propozycja idąca znacznie dalej niż pierwotna.

W ten sposób znaleźliśmy się w sytuacji, gdy każde wyjście jest złe. Zgoda na koncepcję powiązania pieniędzy z praworządnością w obecnej postaci to ogromne ryzyko bezprecedensowej interwencji w kwestie należące dotychczas do sfery wyłącznej suwerenności krajów członkowskich. Brak tej zgody może z kolei oznaczać odcięcie przynajmniej od funduszy na odbudowę po epidemii, a tym samym – kolejne obciążenia dla polskich podatników, którzy i tak już od nowego roku będą dociskani nowymi opłatami, daninami, podatkami.

Lekcja z Nicei niczego nas, jak widać, nie nauczyła. UE ma swoją wewnętrzną dynamikę, a – jak mówi chińskie przysłowie – nawet najdalsza droga zaczyna się od pierwszego kroku. Jeżeli w Unii tego pierwszego kroku nie zablokujemy, to później w zasadzie zawsze tracimy kontrolę nad sytuacją i pozostaje nam już tylko robić dobrą minę do złej gry.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 223289eb43

FOT. ADOBE STOCK

Z Tomaszem Sommerem, redaktorem naczelnym tygodnika „Najwyższy Czas!"
rozmawia Maciej Pieczyński

Unia przekupuje nas funduszami

MACIEJ PIECZYŃSKI: W 2002 r. wraz z Miłoszem Marczukiem napisał pan książkę pt. „Poza Unią jest życie". Dwa lata przed akcesją przestrzegaliście przed wejściem do UE...

TOMASZ SOMMER: Książka powstała w czasie, gdy nad Wisłą absolutnie dominowała prounijna propaganda. Tylko moje środowisko, skupione wokół tygodnika „Najwyższy Czas!", miało z UE problem. Przekornie postanowiliśmy zorganizować konferencję na temat eurointegracji. Do udziału zaprosiliśmy słynnego antysowieckiego dysydenta Władimira Bukowskiego, dowiedziałem się bowiem, że ma on bardzo negatywne zdanie o Unii. Bukowski dowodził, że Wspólnota po przejściu od Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej do UE zmieniła swój charakter. Z układu państw odrębnych, niezależnych, ale chcących działać na wspólnym rynku zaczęła przemieniać się w organizm federalny, zunifikowany. Trzeba pamiętać, że w traktatach rzymskich nie było o tym mowy... Pogłębienie integracji postulował m.in. Spinelli, ale to wciąż była tzw. Europa Schumanna, Europa ojczyzn. Centralizacja była więc niezgodna z oficjalnym kierunkiem. Bukowski pokazał mi dokumenty z archiwum Gorbaczowa, które wskazywały na to, że już pod koniec lat 70. i w latach 80. został sformułowany plan konwergencji Związku Sowieckiego i EWG, które docelowo miały się połączyć. Emanacją tych dążeń był projekt „Wspólny europejski dom".

Chyba nie sugeruje pan, że UE jest w jakiejś mierze kontynuacją Związku Sowieckiego?

Idea połączenia systemów była mocno promowana, głównie przez Gorbaczowa. Projekt nie doszedł do skutku, ponieważ w pewnym momencie ZSRS się zawalił. Eurolewicy pozostało wówczas jedno płuco tego „europejskiego domu". Postanowiła więc doprowadzić do jego najściślejszej centralizacji. Miejsce dla Polski było tam przewidziane już w latach 80. Reformy Balcerowicza i późniejsze były tak pomyślane, aby wprowadzić nad Wisłą dokładnie takie same systemy podatkowe, taki sam wymiar sprawiedliwości czy ustrój samorządu jak w krajach europejskich. Dobrym przykładem jest podatek VAT, który stanowi jedną z podstaw budżetu unijnego – wcale nie musieliśmy go wprowadzać. Konkluzja naszych rozmów z Bukowskim była taka – nie należy wchodzić do UE. Ledwo wyszliśmy z ery RWPG, a już mamy wchodzić do podobnie scentralizowanego bloku?! Lepiej pożyć samemu przez jakiś czas.

W pańskiej książce pojawia się pomysł, żeby nie przystępować do UE, lecz jedynie do Europejskiego Obszaru Gospodarczego.

Takie rozwiązanie pozwalałoby Polsce korzystać z dobrodziejstw wspólnego rynku, bez konieczności spełniania wygórowanych wymogów.

Ale wtedy nie korzystalibyśmy z dotacji unijnych.

Nie ma takiej możliwości, by ktoś nas wiecznie sponsorował. Z reguły każda dotacja jest jedynie na zachętę. Potem zaczynają się schody.

W książce pisał pan, że Polska w pierwszych latach obecności w UE dopłaci. Bilans wychodzi taki, że przez 16 lat dostaliśmy 181 mld euro, wpłaciliśmy 58 mld. Czy te cyfry nie mówią same za siebie?

Wyliczenia, które pan przedstawia, to unijne kłamstwo założycielskie. Tak zestawione liczby nie oddają prawdziwej struktury przepływów. Składkę płaci się od razu, natomiast dotacje wpływają po paru latach.

Ale wpływają...

Nie zawsze wiadomo, kiedy wpłyną i w jakim stopniu. Według informacji „Deutsche Welle" Morawiecki i Orbán tak ostro grają w sprawie nowego budżetu, bo Polska i Węgry wciąż jeszcze nie mają wypłaconych po ok. 50 mld euro z poprzedniej perspektywy, do której wrócimy w przypadku weta. Unia zwyczajnie zalega z dotacjami.

My też możemy zwlekać z wpłatami.

Nie. Wpłaty są dokonywane rok do roku, zgodnie z terminami, na podstawie ustawy budżetowej. To klasyczne unijne podejście – jeśli chodzi o zobowiązania państw członkowskich wobec centrali, to Bruksela jest bardzo skrupulatna. Zobowiązania centrali wobec państw członkowskich to z kolei w dużej mierze jedynie propaganda, realnej pomocy jest niewiele. UE to tylko koszty.

Ale przecież fundusze unijne trafiają do Polski, w ramach polityki spójności czy Wspólnej Polityki Rolnej... Stymulują gospodarkę.

To jest wszystko oczywiście nieprawda. Przed integracją działały tzw. fundusze przedakcesyjne. Przeanalizowali-

eprasa.pl 223289eb43

śmy, na co idą te środki. I to było jedno wielkie marnotrawstwo. Fundusze przedakcesyjne i fundusze spójności były wpisywane niby jako dotacja. Zgłosił się wtedy do nas Niemiec, który był doradcą przedakcesyjnym, a poza tym działaczem SPD. Wyrzucili go z pracy, gdy stał się zbyt antyunijny. Opowiadał nam, że środki przeznaczone na doradztwo przedakcesyjne, czyli na wypłatę dla niego, zaksięgowano jako pomoc dla Polski. Nie ma żadnej uczciwej, dogłębnej analizy, która pokazałaby, na co idą pieniądze unijne.

Przecież jest mnóstwo inwestycji w Polsce zrealizowanych z funduszy unijnych. Niemal w każdej miejscowości znaleźć można las tabliczek z informacją o finansowaniu z UE. Wydaje się wręcz, że gdyby nie Bruksela, nie mielibyśmy infrastruktury.

Tak, ale nigdy Unia nie finansuje w 100 proc., zawsze jedynie współfinansuje. A potem okazuje się, że w ramach tego unijnego udziału inwestycję realizuje jakaś niemiecka firma.

Co by było z polską gospodarką, gdyby nie fundusze UE?

Przecież są takie kraje jak Chiny.

Ale to potęga gospodarcza.

Nie do końca. Kiedy my startowaliśmy do UE, a oni przyspieszali ze swoimi reformami, mieliśmy wyższe PKB per capita. Dopiero niedawno nas wyprzedzili. I jednak to oni zbudowali drogi, superszybkie koleje. Poza tym oni sami decydują, co budują, a my musimy liczyć się z opinią brukselskiej centrali.

Euroentuzjasta odpowiedziałby panu, że jesteśmy jednak małym, słabym krajem o potencjale o wiele niższym od chińskiego, nie powinniśmy zatem gardzić Unią i jej pieniędzmi.

Argument finansowy jest absurdalny. Jeżeli ktoś nam płaci za członkostwo w UE, to jest to przekupstwo. Należy zapytać: A dlaczego ktoś chce nas przekupić? Nie za ładne oczy przecież. Szczególnie że według prounijnej elity jesteśmy „brzydką panną na wydaniu". Nikt nikomu pieniędzy za darmo nie daje. Pieniądze, których samemu się nie wypracuje, zawsze są marnotrawione.

A jak ewentualny polexit wpłynąłby na polską gospodarkę?

My jesteśmy przede wszystkim bardzo mocno połączeni gospodarczo z Niemcami. Przy czym w tym tandemie cały czas zajmujemy pozycję peryferyjną i podwykonawczą.

I czy to się zmieni, jeśli wyjdziemy z UE?

To zasadnicze pytanie: Czy Polska po doświadczeniach drugiej wojny światowej i komunizmu jest w stanie podjąć próbę gospodarczego zrównania się z Niemcami? Musimy spróbować przestać być jedynie podwykonawcą.

Ale może warto zostać w UE i zmieniać ją od środka?

Dobrze pan wie, że nie da się tego zrobić, zwłaszcza po wprowadzeniu traktatu lizbońskiego. Traktat nicejski pozwalał jeszcze na pewne zmiany, bo na wielu poziomach działało liberum veto.

Można budować koalicję państw, rozszerzać swoje wpływy.

To jest tylko takie gadanie. Nie mamy poparcia większości państw, nie mamy też możliwości blokady decyzji większości. Gdyby w UE, jak niegdyś w EWG, panowała zasada jednomyślności, wszyscy musieliby się dogadać ze wszystkimi. Od kiedy jednak decyzje zaczęto podejmować większością kwalifikowaną, kompromis nikomu już nie jest potrzebny. Nie trzeba niczego uzgadniać, wystarczy przegłosować. Niemcy i tak zawsze zbudują wokół siebie większość.

Czy w naszej sytuacji, przy naszym położeniu geopolitycznym, możemy sobie pozwolić na neutralność?

Jeszcze w okresie przedakcesyjnym byłem na jednym ze spotkań z Danutą Hübner. Przekonywała, że żaden kraj nigdy nie wyjdzie z UE. Przekonywałem, że przecież Grenlandia wyszła. W odpowiedzi usłyszałem uściślenie: „Żaden poważny kraj nie opuści Unii". Aż tu nagle brexit. Wielka Brytania opuściła zresztą Unię w bardzo ciekawy sposób – gdy okazało się, że nie może się dogadać z Brukselą co do warunków, po prostu wyszła, bez oglądania się na procedury unijne. I nagle okazało się, że cała ta traktatowa propaganda nie ma sensu, bo gdy przychodzi kryzys, porozumienie przestaje być możliwe. Przykład Wielkiej Brytanii udowodnił, że poważne państwo nie ma interesu, by być w UE. A jeśli UE to się nie podoba, to poważne państwo może po prostu trzasnąć drzwiami.

Często ze strony euroentuzjastów pojawiają się tezy, że wyjście z UE jest na rękę Moskwie.

USA w ostatnich latach jako swojego głównego wroga postrzegają Chiny. Siłą rzeczy potencjalnym sojusznikiem w okrążaniu Państwa Środka jest dla Amerykanów Rosja. Jeżeli więc ktoś chce walczyć z Chinami, to musi porozumieć się z Moskwą. W tym momencie idea, dla której powstało NATO, traci swój sens. Z kolei UE jest skrajnie ambiwalentna w tej kwestii. Takie państwa jak Francja, Niemcy czy Włochy cały czas sprawiają wrażenie, że chcą się z Putinem przyjaźnić. W związku z tym jedyna alternatywa, jaka nam pozostaje, to realizacja koncepcji Trójmorza czy Międzymorza. To jest naturalny sojusz, wynikający z geografii. Skoro w XIV w. Polska była w stanie puścić w niepamięć waśnie z Litwinami i sprzymierzyć się z Jagiełłą, to może warto to powtórzyć i wrócić do czasów świetności I Rzeczypospolitej, zamiast opierać się na Berlinie czy Brukseli…

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Tomasz Sommer – redaktor naczelny tygodnika „Najwyższy Czas!".

eprasa.pl 223289eb43

Czas deklaracji, czas decyzji

Marsz dla Życia i Rodziny we wrześniu tego roku w Warszawie FOT. MATEUSZ GROCHOCKI/EAST NEWS

Kaja Godek

Przyszedł czas na konkretne decyzje rządzących, które pokażą, ile zostało z przedwyborczych deklaracji o obronie wartości

W ostatnich tygodniach staje się jasne, że państwo musi zdecydować, jakie wartości przyjmuje jako zasadę swojego funkcjonowania. Nie da się bowiem balansować pomiędzy wartościami a antywartościami. Widać to szczególnie silnie w chwili, gdy rząd próbuje połączyć ochronę życia z wojującym aborcjonizmem oraz dbanie o małżeństwo i rodzinę z przypodobaniem się homolobby. Skutki tych manewrów są opłakane.

Po trzech latach zwłoki Trybunał Konstytucyjny orzekł wreszcie, że aborcja dzieci podejrzanych o chorobę jest niezgodna z konstytucją. Od strony prawnej sprawa była dość prosta i właściwie każdy zapytany o nią ekspert mówił mniej więcej to samo. Różnica dotyczyła jedynie osobistego stosunku pytanych do meritum sprawy – prawnicy proliferzy o niezgodności aborcji z ustawą zasadniczą mówili z satysfakcją i nadzieją, prawnicy o proweniencji lewicowej – ze strachem. Chyba nikt nie spodziewał się, że wyrok Trybunału może być inny.

Nigdy dość przypominać, że obowiązująca konstytucja nie jest bynajmniej dziełem radykalnej prawicy, ale postkomunistycznej większości, która w latach 1993–1997 zasiadała w parlamencie. Podpisana przez prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego, brzmienie zapisu o ochronie życia zawdzięcza... Markowi Borowskiemu. Gdy formułowano art. 38 ustawy zasadniczej („Rzeczpospolita Polska zapewnia każdemu człowiekowi prawną ochronę życia"), ówczesny polityk SLD osobiście przekonywał na Komisji Konstytucyjnej Zgromadzenia Narodowego, że płód też jest człowiekiem.

DEKLARACJE TO ZA MAŁO

Mimo to po 22 października w obozie władzy zapanował chaos. A już po kilku dniach politycy zaczęli kombinować, jak harmonijnie połączyć w jednej ustawie postulaty aborcjonistów wraz z potwierdzoną przez TK gwarancją prawnej ochrony życia. Stworzono klincz, który będzie trwał tak długo, aż rząd opowie się po którejś ze stron.

Nie ma wątpliwości, że ustawa złożona po drodze przez Andrzeja Dudę to de facto powtórne wprowadzenie do prawodawstwa praktyk eugenicznych niezgodnych z konstytucją. Popularna opinia, że da się określić, które wady wrodzone są śmiertelne, a które nie, jest nieuzasadniona. Nawet proaborcyjne media przywołują tu wypowiedzi swoich specjalistów i wskazują, że także zespół Downa można uznać za wadę letalną ze względu na podwyższone ryzyko poronienia lub śmierci dziecka krótko po porodzie. Blisko 30 lat obowiązywania obecnej ustawy aborcyjnej pokazuje natomiast, że każde sformułowanie rozszczelniające prawną ochronę życia jest następnie wykorzystywane przez lewicę do tego, aby stopniowo zwiększać możliwości przeprowadzenia aborcji. Sztandarowym przykładem może tu być choćby słynna historia Agaty z Lu-

eprasa.pl 223289eb43

blina. Czternastolatka miała rzekomo być ofiarą gwałtu, a gdy okazało się, że zaszła w ciążę w wyniku dobrowolnego stosunku z rówieśnikiem, lewicowe autorytety zakrzyknęły, że przecież współżycie z osobą poniżej 15. roku życia też jest czynem zabronionym, a więc aborcja się należy. Podobną strategię przyjmie lewica wobec ustawy prezydenckiej, jeśli parlament zechce wprowadzić ją w życie.

W tym kontekście szczególnie złowrogo brzmią tłumaczenia pracowników kancelarii premiera, że zwłoka w publikacji wyroku Trybunału Konstytucyjnego jest podyktowana obawą, aby nie powstała „próżnia prawna". Trybunał jest przecież od tego, aby niekonstytucyjne przepisy usuwać, tak więc jego praca polega w jakiejś części właśnie na tworzeniu „próżni prawnej". Analogiczna „próżnia" powstała po orzeczeniu TK z maja 1997 r., gdy z ustawy aborcyjnej usunięto możliwość dokonania aborcji z uwagi na trudną sytuację życiową matki. W przypadku przepisów o aborcji „próżnia" oznacza uratowane dzieci...

Opowiedzenie się za konkretną aksjologią nie może się odbywać tylko w obszarze deklaracji, w czym polscy politycy są mistrzami. Dzisiaj walka o konserwatywną agendę odbywa się przede wszystkim w sferze legislacji. Nieprawdą jest, że trzeba czekać na mityczną zmianę nastrojów społecznych. Przede wszystkim dlatego, że to właśnie prawo ma zdolność formowania sumień obywateli. Gdy w 1993 r. delegalizowano aborcję ze względu na trudną sytuację osobistą matki, mniej więcej połowa Polaków uważała, że powinna być ona dopuszczalna. W maju 2016 r. już 80 proc. Polaków uważało, że aborcja w tym przypadku jest nie do zaakceptowania. Obowiązywanie konkretnego przepisu zmieniło świadomość społeczną bardziej niż jakakolwiek oddolna kampania. Zmiana prawa poprzedza zmianę opinii publicznej, a nie odwrotnie. Dlatego chwiejność przedstawicieli obozu władzy – powodowana rzekomo wsłuchiwaniem się w nastroje społeczne – nie daje się obronić. Rząd ma zresztą poważne środki do tego, aby świadomość społeczną kształtować. Pod względem obrony fundamentalnych wartości narzędzia takie jak publiczna telewizja czy publiczne radio od lat są słabo wykorzystywane. Wreszcie od rozwiązań legislacyjnych zależy kształt społeczeństwa, dlatego że to na ścieżce legislacji można kształtować prawo, które np. zakaże sponsorowania z pieniędzy podatnika lewackich organizacji czy faktycznie spluralizuje media, obecnie w znacznej części będące narzędziem destabilizacji kraju i realizacji interesów obcego kapitału, a nie żadną oazą wolności.

PRZESUWANIE GRANIC

Problem obecnego kryzysu to nie jest problem dysproporcji sił – choć ona występuje – lewicowe organizacje przez lata niehamowane i rozwijające się na dotacjach rządowych, samorządowych i unijnych dokonują którejś z kolei próby rewolty. Wierzą w to, co robią, i są zdeterminowane. Tymczasem nominalna prawica wierzy w konieczność dziejową – nieubłagany postęp lewicowej agendy, którą być może przez jakiś czas można hamować, ale już na pewno nie zawracać. Politycy, którzy obiecują pilnować konserwatywnych postulatów, gdy tylko dojdą do stanowisk, cofają się. Oddają pole nawet wtedy, gdy wygrywają kolejne wybory z rzędu i mają cały aparat państwowy za sobą.

W listopadzie do Sejmu wpłynął projekt #StopLGBT podpisany przez 200 tys. obywateli. Realizuje on inną konstytucyjną wartość, zasadę ochrony rodziny, w organizacji zgromadzeń publicznych. Jego przepisy są raczej niekontrowersyjne (zakaz manifestowania nago, głoszenia, że płeć jest niezwiązana z biologią, domagania się legalizacji homozwiązków i homoadopcji). Warto zresztą zauważyć, że atak homolobby na projekt nie dotyczy w ogóle jego merytorycznej zawartości. Nie ma czego krytykować. Jednak środowisko gejów i lesbijek słusznie boi się zapisów ustawy, bo tzw. parady równości to narzędzie do przesuwania granic akceptacji społecznej oraz sposób na rekrutację młodzieży do politycznego ruchu homoseksualnego. W obliczu dążenia przez ten ruch do ostrej konfrontacji politycznej zabezpieczenie Polski przed homopropagandą wydaje się kluczowe, aby nie powtórzył się schemat znany z Zachodu. Tam środowisko LGBT najpierw mówiło: „Zobaczcie, jesteśmy", a z czasem przechodziło do szantażu i podporządkowywania sobie kolejnych instytucji państwa.

Właściwą chwilę do hamowania radykalnej lewicy przegapili Włosi. W konsekwencji w listopadzie bieżącego roku Izba Deputowanych uchwaliła ustawę zakładającą karę więzienia za krytykę ze względu na orientację. W podobnej sytuacji są Hiszpanie, gdzie właśnie wprowadza się przesiąkniętą ideologią gender tzw. edukację seksualną dla sześciolatków, niezależnie od ewentualnego sprzeciwu rodziców. Z drugiej strony mamy Rumunię zakazującą nauczania o płci społeczno-kulturowej czy Węgry, gdzie rząd Viktora Orbána pilnuje definicji małżeństwa i rodziny, a hamuje lewicową inżynierię społeczną. Przyzwolenie na homopropagandę czy jej ograniczanie – obie strategie są możliwe do zaaplikowania w Polsce i nie da się nie wybrać jednej z nich. Niejasne deklaracje rzecznika rządu co do projektu obywatelskiego „Stop LGBT" pokazują, że dziś rządowi może być bliżej do realizacji żądań skrajnej lewicy (choć ich akceptacja będzie się odbywała stopniowo) niż do zabezpieczenia Polaków przed ideologią, która korzenie ma w marksizmie, karmi się biernością swoich przeciwników, a wobec zwykłych ludzi nie waha się stosować metod bliskich systemom totalitarnym.

Z pewnością przyszedł czas na konkretne decyzje, które pokażą, ile zostało z przedwyborczych deklaracji o obronie wartości.

SKUTKI NIEKONSEKWENCJI

Obecna sytuacja z aborcją nie jest zresztą czekaniem na to, aż nastroje społeczne się uspokoją, ani poszukiwaniem rozwiązania, które zadowoli wszystkich. Takiego rozwiązania nie ma. Uczestnicy wulgarnych proaborcyjnych strajków skandujący hasło zapisywane jako charakterystyczne osiem gwiazdek chcą zabijania nienarodzonych na życzenie. Konserwatywny elektorat w sprawie ochrony życia jest wymagający. Przyzwalanie na aborcję zawsze odczytuje jednoznacznie jako zdradę ideałów. Nawet odkładając na bok kwestie moralne i patrząc wyłącznie cynicznie i czysto politycznie, szukanie półśrodków może skończyć się tylko jednym – wytraceniem poparcia we wszystkich możliwych grupach społecznych. Niekonsekwencja w sferze aksjologii prowadzi z jednej strony do chaosu w państwie, z drugiej może oznaczać upadek karier politycznych i konkretnych formacji. Neutralność światopoglądowa nie istnieje.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autorka jest członkiem zarządu Fundacji Życie i Rodzina, pełnomocnikiem obywatelskiej inicjatywy ustawodawczej „Zatrzymaj aborcję".

eprasa.pl 223289eb43

Stefan Martyka (pierwszy z lewej) w PRL prowadził audycję „Fala 49", w której m.in. usprawiedliwiał wyroki komunistów na żołnierzy AK. Został zamordowany w 1951 r. FOT. PAP

Zamachowiec

Jerzy Dąbrowski

Tadeusz Kowalczuk, młody patriota, został skazany na śmierć. Był bowiem obecny podczas egzekucji, której działacze organizacji Kraj dokonali na PRL-owskim spikerze radiowym

Powiadają ludzie, że jesienią brzydko jest na świecie
a ja mówię, że wy o tym nic, a nic nie wiecie
choć powiędły kwiaty, zioła i opadły liście
w listopadzie jest na świecie dziwnie uroczyście
w listopadzie Polska nasza wolność odzyskała
na złe wrogi padła hańba, a na Polskę chwała.

To wiersz, który Tadeusz recytował 11 listopada w białostockiej farze, kiedy był w pierwszej klasie szkoły podstawowej – mówi „Do Rzeczy" Barbara Panasko o swoim wuju Tadeuszu Kowalczuku. – Jeszcze długo nie było wiadomo, że Tadeusz uczestniczył w zamachu na spikera Polskiego Radia Stefana Martykę. O tym, co zrobił jej brat, nasza mama dowiedziała się po roku z kroniki filmowej. Nas jeszcze wtedy nie było na świecie. O tej rodzinnej tragedii dowiedzieliśmy się, kiedy byliśmy już dorośli. Mama mówiła zawsze o Tadeuszu ciepło, jako o cudownym człowieku i bracie. Nasza babcia straciła przez to włosy. Do końca życia była strzępem człowieka.

9 września 1951 r. 23-letni Tadeusz przyjechał do Warszawy w towarzystwie swoich kolegów z organizacji Kraj: Ryszarda Cieślaka, Bogusława Pietrkiewicza i Leszka Śliwińskiego. Młodzi ludzie od razu udali się do dzielnicy rządowej, w której mieszkał ówczesny radiowiec celebryta. Z dostaniem się do mieszkania Martyki przy al. Szucha nie było problemu. Gosposi powiedzieli, że są z UB. Najstarszy z napastników, Cieślak, zastrzelił Martykę. Inni ogłuszyli żonę spikera, znaną przedwojenną aktorkę, Zofię Lindorfównę. Tadeusz tylko tam był. Widział wszystko, ale bezpośrednio nie przyczynił się do śmierci gwiazdora ani zranienia jego żony.

Po akcji wszyscy pojedynczo doszli do dworca Śródmieście.

Po zabójstwie Martyki widzowie kroniki filmowej słyszeli przejmujące słowa Andrzeja Łapickiego: „Warszawa żegna Stefana Martykę, wiernego syna Polski Ludowej, artystę, współpracownika »Fali 49«, spikera Polskiego Radia, zamordowanego przez faszystowskich skrytobójców. Młodzież, artyści, robotnicy, żołnierze, literaci oddają hołd Stefanowi Martyce. Minister kultury i sztuki w imieniu prezydenta Rzeczypospolitej udekorował trumnę Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski.

25 tysięcy ludzi zgromadziło się na placu Teatralnym, by wyrazić swoją solidarność ze sprawą, dla której zginął. Kwiatami żegnaliśmy towarzysza, który walcząc o pokój i socjalizm, padł na posterunku z ręki imperialistycznych agentów.

Jego śmierć jeszcze bardziej zwarła nasze szeregi, obudziła naszą czujność, wzmogła naszą nienawiść do imperializmu i jego najmitów".

PUPIL WŁADZY

Stefan Martyka przed wojną był niewyróżniającym się aktorem, grającym w prowincjonalnych teatrach. Wojnę spędził w Wilnie. Podobno współpracował z gestapo. Po wojnie zaczął pracować dla komunistów. Wstąpił do PPR. Mocno angażował się we współpracę ze Związkiem Patriotów Polskich. W 1945 r. spotkał na swojej drodze Arnolda Szyfmana, słynnego reżysera, niecieszącego się jednak uznaniem władzy ludowej. Dla lepszego wizerunku, licząc na przypodobanie się komunistom, Szyfman zaproponował Martyce przeniesienie się do Warszawy i pracę w Teatrze Polskim. Wielki reżyser nie przypuszczał, że Martyka wykorzysta sytuację, wygryzie go z zajmowanego stanowiska i zajmie jego miejsce. Od tej pory szczęście uśmiechało się do tego „trzeciorzędnego aktorzyny", jak go określił Marek Hłasko w „Pięknych dwudziestoletnich".

Martyka prowadził w Polskim Radiu audycję pod tytułem „Fala 49". Jak wspominał Hłasko: „Bydlę to włączało się przeważnie w czasie muzyki tanecznej, mówiąc: »Tu Fala 49, Tu Fala 49. Włączamy się«. Po czym zaczynał opluwanie krajów imperialistycznych, przeważnie jednak wsadzał szpilkę w pupę Amerykanom, mówiąc o ich kretynizmie, bestialstwie, idiotyzmie i tego rodzaju rzeczach – następnie kończył swoją tyradę słowami: »Wyłączamy się«".

eprasa.pl 223289eb43

Oprócz opluwania amerykańskich imperialistów Martyka usprawiedliwiał procesy i wyroki śmierci wydawane przez komunistyczne władze na byłych żołnierzy AK, których nazywał zdrajcami i sprzedawczykami. O decyzji wybuchu powstania warszawskiego mówił, że jego celem nie miało być wyzwolenie stolicy z rąk niemieckich, lecz demonstracja zbrojna skierowana przeciwko Armii Czerwonej i nowej ludowej ojczyźnie.

W swoich audycjach posługiwał się też donosami otrzymanymi od nadgorliwych pracowników z PRL-owskich zakładów pracy. Ofiarą napiętnowania spikera Polskiego Radia była późniejsza gwiazda polskiego kina Jadwiga Barańska, znana z serialu „Noce i dnie". W czasie studiów pracowała jako kulturalno-oświatowa i naraziła się swoim kolegom w Zakładach Przemysłu Dziewiarskiego im. Rychlińskiego w Łodzi, którzy napisali na nią donos odczytany później w „Fali 49".

BEZ WĄTPLIWOŚCI

W całej Polsce zdarzały się zamachy na funkcjonariuszy UB. W samej tylko Warszawie w latach 1944–1948 zginęło z rąk podziemia niepodległościowego ok. 30 funkcjonariuszy UB, MO, żołnierzy WP i Armii Czerwonej. Ten problem poruszył Jerzy Andrzejewski w swojej powieści „Popiół i diament". Główny bohater książki, były żołnierz AK, Maciek Chełmicki otrzymuje rozkaz zabicia sekretarza PPR. Z biegiem czasu Chełmickiego ogarniają jednak wątpliwości. Ma już dość walki. Takich wątpliwości nie miał Tadeusz Kowalczuk.

Jak wielu młodych ludzi wychowanych w tradycyjnych polskich domach widział panoszącą się nową władzę, która aresztowała niedawnych bohaterów walczących z niemieckim okupantem. Władza ta dyskredytowała przywódców polskiego podziemia niepodległościowego podczas sfingowanych procesów sądowych. Kneblowano niezależną prasę i radio. Zwalczano i prześladowano przedstawicieli niezależnej kultury i sztuki, zastępując ją sowiecką propagandą.

23-letni Tadeusz wyjechał do Zabrza, bo Śląsk nęcił młodych ludzi wysokimi zarobkami. Tam skończył szkołę górniczą i zaczął pracować w kopalni. Związał się też z patriotyczną młodzieżą skupioną wokół organizacji Kraj, która swoim zasięgiem objęła całą Polskę. Jej członkowie przygotowywali się do walki zbrojnej, która miała doprowadzić do obalenia komunistycznej władzy. Napadali na patrole Milicji Obywatelskiej w celu zdobycia broni, niszczyli stacje transformatorowe przy fabrykach zbrojeniowych (jak WSK Świdnik) czy wreszcie minowali i rozkręcali tory kolejowe w celu wysadzenia transportów do ZSRS. O swoich akcjach informowali ambasadę amerykańską, której pracownicy przyglądali się z zainteresowaniem poczynaniom polskich zapaleńców, nie byli jednak skłonni wyasygnować ani grosza na dalsze akcje organizacji. Dlatego też, w celu zdobycia środków finansowych, koledzy Tadeusza dokonywali napadów rabunkowych na urzędy pocztowe i sklepy.

Po zabiciu Martyki (według twierdzeń jednego z członków organizacji Kraj, poprzedzonym listami z ostrzeżeniem i żądaniem zaprzestania działalności) Kowalczuk i jego koledzy pozostawali na wolności, choć władza zaangażowała wielu funkcjonariuszy i ogromne fundusze w celu wykrycia sprawców zamachu.

Pętla wokół nich zacisnęła się dopiero latem 1952 r. Wówczas nieudana akcja konspiratorów Kraju, których celem było mieszkanie posła Dobrowolskiego, przyczyniła się do aresztowania ponad stu kilkunastu osób. Wpadła wtedy m.in. Krystyna Metzger, kierownik łączności organizacji, odpowiedzialna za znalezienie adresu Martyki. Bita wyznała nazwiska czterech zamachowców.

Podczas procesu przed Sądem Wojskowym w Warszawie oskarżeni przyznali się do zabójstwa spikera radiowego i wielu napadów na funkcjonariuszy MO w celu zrabowania im broni.

Aresztowani byli wymęczeni śledztwem prowadzonym przez cieszącego się złą sławą płk. Różańskiego. Złamano ich wielogodzinnymi stójkami, biciem, brakiem snu i kontaktu z rodziną.

Adwokat Mieczysław Maślanko ograniczył się do poproszenia o łagodny wyrok. Ten zapadł 22 września – kara śmierci dla wszystkich oskarżonych.

– Jeszcze przed aresztowaniem Tadeusza nasza mama miała taki dziwny sen, że jej brat leżał w ziemi, a na jego głowie rosły trzy marchwie. Nigdy jednak nie przyznał się, że należy do podziemnej organizacji – opowiada Panasko. – Po aresztowaniu mama odwiedziła swojego brata w więzieniu. Na procesie nie była, bo ojciec nie pozwolił. Powiedział, że mu serce pęknie. Po roku przyszedł ocenzurowany list z więzienia.

Mama pojechała wtedy do Warszawy, by prosić o widzenie, a prokurator powiedział jej: „No przecież wyrok wykonany, to czego Pani jeszcze chce?". Kilka lat temu dowiedzieliśmy się, że jego szczątki zostały zidentyfikowane na „Łączce". Mama żałuje, że Tadeusz musi być pochowany tak daleko od nas, a nie w rodzinnym grobie z rodzicami.

Skazani za zamach (od lewej): Tadeusz Kowalczuk, Ryszard Cieślak, Bogusław Pietrkiewicz, Leszek Śliwiński FOT. IPN

W maju 1993 r. wyrok zabójców Martyki został unieważniony w części dotyczącej działalności organizacji Kraj, w której dokonywano napadów w celu zdobycia broni i pieniędzy. Sąd odmówił jednak uwolnienia sprawców od winy za morderstwo. W uzasadnieniu napisano: „Nie da się usprawiedliwić zamachu terrorystycznego, jakim było zastrzelenie we własnym mieszkaniu Stefana Martyki, ponieważ poświęcone dobro, którym było życie ludzkie, pozostało w rażącej dysproporcji do dobra, które zamierzano uzyskać. Zastrzelenie Stefana Martyki nie było gestem obronnym, lecz aktem terroru politycznego, który nie był i nie może być w przyszłości, jako środek politycznego działania, dopuszczony. Stefan Martyka był aktywnym propagatorem obcej i narzuconej społeczeństwu polskiemu ideologii i niewątpliwie wpływał przez swoją działalność na kształtowanie opinii publicznej. Bez względu jednak na ocenę tej działalności ograniczała się ona wyłącznie do sfery ideologicznej".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 223289eb43

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Sen o Paneuropie

Dzisiaj Unia Europejska – ze względu na ideologię, która zawładnęła brukselską biurokracją – uznawana jest często za twór „lewicowy". Nic bardziej mylnego. Idea zjednoczenia kontynentu wyszła bowiem od konserwatystów. Dotyczy to również Polski, o czym pisze w książce „Na straży Starego Kontynentu" Piotr Kosmala.

Autor przedstawia poglądy czołowych zwolenników Paneuropy, którzy wywodzili się z polskiego obozu zachowawczego i głosili swoje tezy w latach 1914–1945. Aleksandra Skrzyńskiego, Jana Bobrzyńskiego, Jana Emila Skiwskiego czy – last but not least – Władysława Studnickiego.

„Był to element sztafety pokoleń – pisze Kosmala – których uczestnicy zapatrzeni byli tak w jagiellońskie, jak i w rzymskie orły, tak w europejskie dziedzictwo króla Zygmunta Augusta, jak i w cesarstwo Karola Wielkiego".

W dwudziestoleciu „kwaterą główną" zwolenników integracji europejskiej było Wilno. A konkretnie redakcja konserwatywnego „Słowa" Stanisława Cata-Mackiewicza. Nestorem środowiska był Studnicki, który uważał, że Polska stoi przed prostą alternatywą: albo będzie członkiem zjednoczonej Europy, albo znajdzie się pod butem Moskwy. Myślę, że historia ostatnich 80 lat przyznała mu rację.

Jak Studniki wyobrażał sobie taki twór? Pierwszym etapem miało być powstanie Bloku Środkowoeuropejskiego sięgającego od Finlandii do Turcji. Jego oś stanowiłby sojusz Niemiec i Polski. Z czasem do bloku dołączyłyby kraje Europy Zachodniej. Stworzona w ten sposób Paneuropa stanowiłaby potęgę, która nie musiałaby się bać Sowietów. Polska byłaby bezpieczna i – dzięki niemieckim technologiom oraz kapitałowi – nadrobiłaby cywilizacyjną przepaść, jaka dzieliła ją od Zachodu.

Tak, koncepcje te mogą się wydawać dzisiejszemu czytelnikowi profetyczne. Nie na darmo prof. Sławomir Cenckiewicz swego czasu nazwał Studnickiego „wizjonerem integracji europejskiej".

Piotr Kosmala napisał świetną książkę na mało znany, a pasjonujący temat. Konkluzja, która nasunęła mi się po jej przeczytaniu, jest prosta. Uwarunkowania geopolityczne są ważniejsze niż uwarunkowania ideologiczne. Pierwsze są bowiem stałe, a drugie ulotne. ©℗

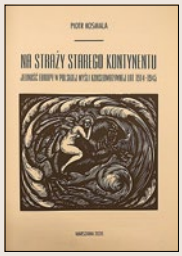

★★★★★★
PIOTR KOSMALA „NA STRAŻY STAREGO KONTYNENTU"
CENTRUM EUROPEJSKIE

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Sprawa księdza Baryczki

Jak powszechnie wiadomo, Kazimierz Wielki był bardzo kochliwym człowiekiem. Nie ograniczał się zresztą do przelotnych romansów i można go było wręcz uznać za seksoholika, preferował bowiem niemal islamskie obyczaje. Zachował jednak znaczną dozę rozsądku i specjalnie nie afiszował się ze swoimi upodobaniami w Krakowie. W zamian za to w różnych grodach państwa zorganizował sobie prywatne haremy. Jan Długosz zapewne z przesadą (jak na duchownego przystało) ubolewał, że królewskich nałożnic były całe „tłumy jak jakieś siedlisko sromoty", a władca „nic sobie nie robił ze zbawiennych upomnień i rad biskupów i panów". Tryb życia monarchy doprowadził wreszcie do ostrego konfliktu z Kościołem.

Tryb życia monarchy doprowadził do ostrego konfliktu z Kościołem

13 grudnia 1349 r. przed obliczem króla pojawił się wikariusz katedry wawelskiej ks. Marcin Baryczka. W imieniu swojego przełożonego, nowego biskupa krakowskiego Bodzanty, napiętnował niemoralny tryb życia władcy i poinformował, że w związku ze sporami finansowymi z jego pryncypałem król zostanie obłożony klątwą.

Kazimierz spokojnie wysłuchał kaznodziei, po czym polecił go niezwłocznie utopić w Wiśle. Z Wawelu nie było daleko do rzeki i pomimo zimowej pory szybko znaleziono przerębel. Nieszczęsny wikariusz zapłacił życiem za ambicje swojego przełożonego.

Zabójstwo duchownego oznaczało ekskomunikę, na co jednak król był przygotowany. Odbył przepisową pokutę, zobowiązał się również do ufundowania kilku kościołów oraz przebudowy katedry w Sandomierzu i kolegiaty w Wiślicy. Specjalnie go to nie obeszło, budowa świątyń i tak była wpisana w jego program inwestycyjny (od Polski drewnianej do murowanej), natomiast mordując wikariusza, osiągnął inny cel. Budowa świątyń trwała w tej epoce wyjątkowo długo i w każdej chwili mógł przerwać inwestycję, szachując duchowieństwo. Utopienie Baryczki spowodowało również, że zabrakło już chętnych do napominania władcy i krytykowania za rozwiązły tryb życia. Nikt nie protestował, gdy w późniejszych latach władca dopuścił się podwójnej bigamii. Co więcej, ślubów udzielali mu opat klasztoru w Tyńcu i biskup poznański.

Natomiast nieszczęsny ks. Baryczka nie został nawet wyniesiony na ołtarze, jak św. Jan Nepomucen (utopiony w Wełtawie na polecenie Wacława IV). I tylko historycy sztuki wyróżniają tzw. styl baryczkowski polskiego gotyku, nazywając tak kościoły ufundowane przez Kazimierza po zbrodni przeciwko wikariuszowi. ©℗

eprasa.pl 223289eb43

Eksport prefabrykatów do Szwecji, a potencjał produkcyjny mieszkań w Polsce

Polska znajduje się obecnie na dziewiątym miejscu na liście eksporterów do Szwecji, każdego roku eksportując ok. 6,0 mld euro, stanowiąc 4,2 proc. całego importu Szwecji. Główne gałęzie eksportowanych produktów to: eksport maszyn i urządzeń, pojazdów, statków, sprzętu elektromaszynowego, mebli i wyrobów z drewna, produktów rolno-spożywczych, ale i coraz częściej materiałów budowlanych, a zwłaszcza prefabrykatów, czyli gotowych elementów stosowanych do budowy mieszkań, biurowców i szkół.

Szacuje się, że w Polsce jest obecnie ok. 50 fabryk elementów prefabrykowanych, a nasz kraj może być niedługo potentatem w produkcji gotowych elementów modułowych dla budownictwa mieszkaniowego. Czerpiąc z doświadczenia „wielkiej płyty" i śmiało stosując coraz to nowocześniejsze technologie w produkcji, wysuwamy się na czoło producentów w stawce europejskiej. Dzisiaj elementy produkowane w naszych fabrykach konkurują już nie tylko ceną, lecz także jakością i szybkością wykonania i dostawy na plac budowy.

Stosowanie prefabrykatów na budowach w Szwecji jest obecnie bardzo popularne, szacuje się, że ponad 90 proc. projektów wykorzystuje prefabrykowane elementy betonowe, stalowe bądź drewniane. Początki tej technologii w Szwecji sięgają również, tak jak w Polsce, lat 70., jednakże odpowiednia jej adaptacja i ciągłe unowocześnianie spowodowały, że nie została ona zastąpiona tak popularną i u nas cegłą. Dzisiaj w Szwecji buduje się ok. 50 tys. mieszkań rocznie, a dzięki nowoczesnej technologii niektóre projekty powstają w kilka miesięcy. Stosowanie technologii przyśpieszających budowę jest tam nieuniknione, gdyż według Szwedzkiej Krajowej Rady Budownictwa Mieszkaniowego kraj ten potrzebuje 600 tys. nowych mieszkań do 2025 r., aby pokryć wszystkie potrzeby mieszkaniowe obywateli.

Transport elementów prefabrykowanych z fabryki w Polsce na plac budowy Szwecji wymaga dobrze dopracowanych rozwiązań logistycznych

Dużą popularnością cieszą się wysoko wykończone produkty takie jak ściany warstwowe z wykończoną elewacją i zamontowanymi oknami

Produkcja elementów prefabrykowanych może z powodzeniem zostać wykonana w Polsce, jednakże czołowi producenci wiedzą, że jest to tylko jeden z kilku kluczowych sukcesów. Równie ważny co produkcja jest proces projektowania z wykorzystaniem technologii 3D i BIM przy wsparciu nowoczesnego oprogramowania i z wykorzystaniem europejskich oraz szwedzkich norm i standardów. Kolejnym krokiem jest transport na miejsce budowy, elementy wielkogabarytowe dostarczane są specjalnymi naczepami, a podróżują przez Bałtyk na promie. Logistyka jest wyzwaniem samym w sobie, gdyż nierzadko montaż odbywa się „z kół", a więc elementy muszą być dostarczone na budowę co do minuty. Ostatnim, ale równie ważnym krokiem jest kompleksowe zarządzanie projektem przez doświadczonych project managerów, którzy zdobywają wiedzę o technologii, a do zaoferowania mają najwyższe kompetencje techniczne wyniesione z naszych uczelni.

Wiedza o nowoczesnych technologiach i efektywnym procesie zarządzania budową wyniesiona ze Szwecji i z pozostałych zachodnich krajów Europy z powodzeniem zaczyna być stosowana na naszym rynku budowlanym. Według szacunków GUS wykorzystanie prefabrykacji w budownictwie mieszkaniowym w naszym kraju w 2020 r. może przekroczyć 8 proc., a to daje nam szansę na dostarczenie na rynek jeszcze większej liczby dobrych jakościowo mieszkań. Już dzisiaj możemy pochwalić się w naszym kraju wieloma nowoczesnymi projektami, które wykonane zostały w tej technologii zaledwie w kilka miesięcy od rozpoczęcia prac na budowie. Pozostaje mieć nadzieję, że już niedługo Polska branża budowlana skorzysta z potężnych zasobów wiedzy, doświadczenia i zaplecza produkcyjnego i szerzej włączy nowoczesną branżę modułowej prefabrykacji do swoich standardów budowy mieszkań.

Grupa Inwest – Bartosz Dabrowski

eprasa.pl 223289eb43

FOT. DAN STIRENE/GETTY IMAGES

HAMILTON TO NIE HAMILTON

Lewis Hamilton to wielokrotny mistrz świata Formuły 1. Sława. Jest tak znany, iż pomyślał, że jeśli ktoś sprzedaje zegarki z nazwą „Hamilton", to może mu tego zakazać. W związku z tym kierowca podjął walkę w sądzie i na podstawie rzekomej „własności intelektualnej", prawa do swojego nazwiska, chciał zakazać używania nazwy „Hamilton" na zegarkach firmie Hamilton International z USA. Proces przegrał. Firma Hamilton istnieje bowiem od 1892 r. A Lewis urodził się w roku 1985. Jeździ szybko, ale nie tak szybko, by przekroczyć prędkość światła i zacząć cofać czas.

AUSTRIACKIE FUCKING ZMIENIA NAZWĘ

W Austrii, nieopodal Salzburga, jest mała wioska, którą zamieszkuje ok. 100 osób. Nosi nazwę Fucking – co po angielsku oznacza wulgarne określenie współżycia płciowego (a w polskim przekładzie doprawianie czegoś pieprzem albo i mocniej). Wśród turystów ta nazwa zyskała takie uznanie, że pytali wciąż o pocztówki, kradli tablice drogowe z nazwą miejscowości i robili sobie tam nagie fotografie. Mieszkańcy uznali, że mają dość tej promocji i – według lokalnej prasy – nazwę zmieniono na Fugging.

ZAKOPALI NORKI, TERAZ ODKOPIĄ

W Danii obawiano się mutacji koronawirusa przenoszonego przez norki. Dlatego za jednym zamachem wybito wszystkie hodowle – 17 mln zwierząt. Sąd uznał jednak, że decyzja o zabiciu norek nie miała podstaw prawnych. Minister rolnictwa podała się do dymisji. Teraz jest jeszcze inny problem – wybijane zwierzęta zakopywano. A to może być niebezpieczne dla ludzi i przyrody. Więc następnym krokiem ma być ich wykopanie i spalenie.

HOTEL TAŃSZY NIŻ MIESZKANIE

Przez pandemię SARS-CoV-2 mieszkanie w hotelu staje się bardziej opłacalne niż wynajmowanie mieszkań. Przynajmniej tak jest już w Hiszpanii i Portugalii. Młodzi, którym nie uśmiecha się dzielenie mieszkania z wieloma lokatorami, mogą teraz w centrach miast mieszkać w hotelach. W cenie są: własna łazienka, Wi-Fi, parking i cotygodniowe sprzątanie. Ceny? Jedna z sieci hoteli oferuje wynajem pokoju już od 500 euro za miesiąc.

ZAKAŻENIE DLA IMPREZY

W Szwecji policja prowadzi śledztwo w sprawie możliwego spisku młodzieży ze szkół średnich w Ostersund. Istnieje obawa, że umawiała się na wzajemne zarażanie COVID-19. Chciała bowiem szybko przechorować, żeby już do lata móc imprezować bez ograniczeń. ©℗

Łukasz Zboralski

JACEK PRZYBYLSKI

GLOBALNE OCHŁODZENIE

Szczepionkowe parytety

Wielka Brytania – jako pierwszy kraj na świecie – zaakceptowała do użytku szczepionkę na koronawirusa opracowaną przez Pfizera i BioNTech. Szczepionka ma być dostępna już w tym tygodniu.

Do szczepień przygotowuje się też Polska, która podpisała umowy na 45 mln dawek. W Polsce proces masowego szczepienia ma ruszyć od lutego, a pierwszeństwo mają mieć pracownicy służby zdrowia, mieszkańcy DPS, pacjenci ZOL, osoby powyżej 60. roku życia oraz policja i wojsko. W Londynie nie będzie to już jednak takie proste. Lewicowy burmistrz brytyjskiej stolicy, polityk pakistańskiego pochodzenia Sadiq Khan, chciałby, aby pierwszeństwo w otrzymaniu szczepionki mieli czarni, Azjaci oraz członkowie mniejszości etnicznych.

Jego zdaniem są to bowiem grupy najbardziej narażone na zgon ze względu na „strukturalny rasizm" i wynikające z niego ubóstwo i problemy zdrowotne. Teorię lewicowego polityka szybko wyśmiało wielu lekarzy, wskazując, że przyczyną większej liczby zakażeń może być nie rasizm, ale to, że przedstawiciele mniejszości brali udział w protestach Black Lives Matter i częściej od innych grup etnicznych ignorowali zalecenia sanitarne. Fakty to niejedyny problem z politycznie poprawnym pomysłem Khana. Inny kłopot polega na tym, że wielu czarnoskórych wcale nie chce, aby w tej kwestii pierwszeństwo zależało od kryteriów rasowych. Przedstawiciele mniejszości obawiają się bowiem – i to zarówno w Wielkiej Brytanii, jak i w USA – że władze chcą wykorzystać ich do wielkiego eksperymentu medycznego.

Ten paradoks pokazuje, że w czasach kryzysów warto porzucić polityczne idee i skupić się na pełnej przejrzystości badań klinicznych i ich rzetelnej ocenie przez ekspertów. Bez zaufania ludzi tej wojny nie da się wygrać. ©℗

eprasa.pl 223289eb43

Już 14 grudnia w „Do Rzeczy” dodatek

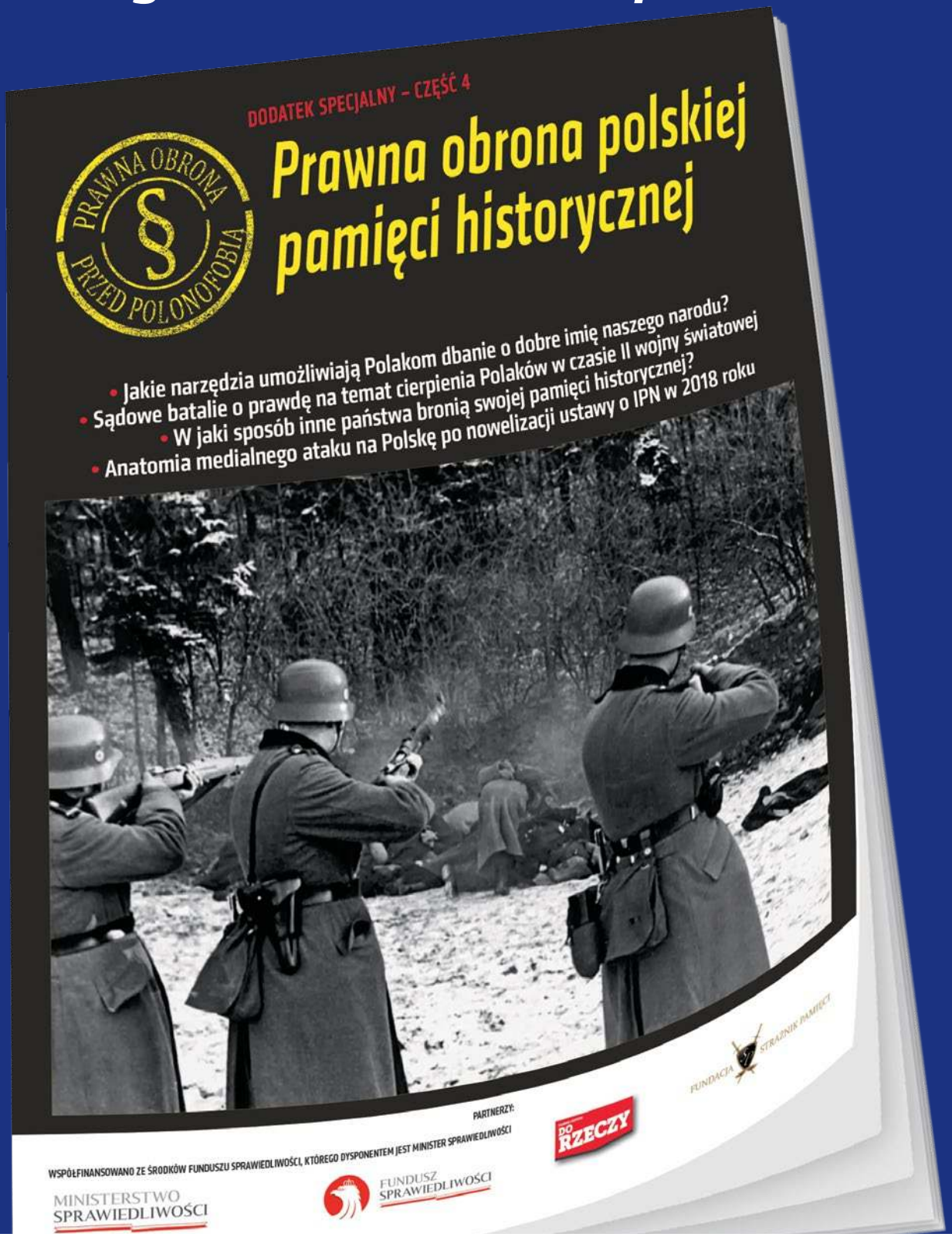

WSPÓŁFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW FUNDUSZU SPRAWIEDLIWOŚCI, KTÓREGO DYSPONENTEM JEST MINISTER SPRAWIEDLIWOŚCI

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl 223289eb43

Biden stawia na kobiety

Jacek Przybylski

Joe Biden będzie nie tylko najstarszym prezydentem, lecz także dopiero drugim w historii USA katolikiem piastującym najwyższy urząd w państwie. Jak religia i wiek wpłyną na jego rządy? Kto stanie na czele najpotężniejszej armii świata? A kto już szykuje helikoptery z gotówką?

Dowody na wyborcze oszustwa wysuwane przez Donalda Trumpa okazały się nie tylko zbyt słabe, by obronić je w sądach, lecz także na tyle słabe, że nawet najbardziej prawicowym publicystom za oceanem trudno jest wierzyć dalej w słowa o „ukradzionych wyborach". Jest więc niezwykle prawdopodobne, że 14 grudnia Biden zostanie oficjalnie wybrany na urząd prezydenta podczas posiedzenia Kolegium Elektorów.

Gdy tak się stanie, już w styczniu Joe Biden zostanie oficjalnie najstarszym prezydentem USA. Będzie też drugim w historii Ameryki katolikiem piastującym najwyższy urząd w państwie.

Pierwszym prezydentem katolikiem w historii Stanów Zjednoczonych był 35. prezydent USA John F. Kennedy, obecnie ikona amerykańskiej lewicy. Nie ma co jednak liczyć na to, że Joe Biden – Irlandczyk z pochodzenia i człowiek, który zawsze nosi przy sobie różaniec należący niegdyś do jego syna, zmarłego na raka mózgu – będzie promował tradycyjne wartości zgodne z przykazaniami Kościoła. Co prawda wielokrotnie publicznie deklarował, że wiara pomogła mu przejść przez najtrudniejsze momenty w życiu, jednak jeszcze jako zastępca Baracka Obamy tłumaczył, że jest katolikiem bardziej „kulturowym" niż „teologicznym".

Wielokrotnie mówił też – podobnie jak wcześniej Kennedy – że opowiada się za absolutnym rozdziałem Kościoła i państwa. Jest też zwolennikiem prawa do aborcji i przyznania homoseksualnemu lobby wszystkiego, czego tylko zażąda.

W przeciwieństwie do Johna F. Kennedy'ego 46. prezydent USA już w dniu zaprzysiężenia zapisze się też na kartach historii jako najstarszy człowiek piastujący ten wyjątkowo stresujący urząd. Swoją pierwszą i najprawdopodobniej ostatnią czteroletnią kadencję rozpocznie, mając aż 78 lat. Dotychczas najstarszym prezydentem USA był Ronald Reagan – w momencie zaprzysiężenia na drugą kadencję miał on 73 lata.

ENERGICZNA WICEPREZYDENT

Joe Bidena nawet w Partii Demokratycznej wprost nazywa się więc prezydentem przejściowym. Po pierwsze dlatego, że energiczna 55-letnia socjalistka może szybko zdominować znanego z bycia

eprasa.pl 223289eb43

Wiceprezydent Kamala Harris typowana jest już na następcę Joe Bidena

FOT. DREW ANGERER/GETTY IMAGES

człowiekiem „niedecyzyjnym" szefa-emeryta (nie bez kozery prezydent Trump nazywał swego przeciwnika „zaspanym Józkiem", bo ten rzeczywiście nader często sprawia wrażenie, jakby właśnie się obudził) i przejąć faktyczne stery rządów. Po drugie, w wieku 82 lat Joe Biden nie będzie ubiegał się o reelekcję (zapowiedział to już podczas kampanii przedwyborczej), co może utorować drogę do historycznego sukcesu pierwszej kobiety na stanowisku prezydenta USA. Po trzecie wreszcie dlatego, że zarówno lekarze, jak i komentatorzy polityczni nie wykluczają, iż niezwykle lewicowa wiceprezydent Kamala Harris fotel prezydenta przejmie już w ciągu najbliższych czterech lat.

Gdyby tak się rzeczywiście stało, Amerykę czeka nagły i bardzo mocny zwrot w lewo. Kamala Harris, córka mulata z Jamajki oraz Hinduski, to bowiem wierząca w karmę skrajna socjalistka, która uchodzi zarówno za pierwszą kobietę wiceprezydenta, jak i pierwszego czarnoskórego wiceprezydenta oraz pierwszego wiceprezydenta pochodzenia azjatyckiego.

Pani Harris popiera nie tylko małżeństwa gejów i inne żądania ruchu LGBTQI. Od lat forsuje również pomysł na reformę służby zdrowia w ultralewicowej formie proponowanej przez Berniego Sandersa, a polegającej m.in. na likwidacji dostępu do prywatnych ubezpieczeń, aby nikt nie mógł obchodzić państwowego systemu (jak takie pomysły sprawdzają się w praktyce, dobrze wiedzą mieszkańcy Rosji i Wenezueli, ale amerykańska lewica i tak ma wielką ochotę na taki eksperyment). Można się więc spodziewać, że za rządów duetu Biden-Harris dojdzie do przywrócenia tzw. Obamacare, czyli kontrowersyjnego programu powszechnych ubezpieczeń zdrowotnych dla Amerykanów.

Według serwisu GovTrack.us niewiele brakuje, aby uczennica przerosła swojego mistrza i stała się jeszcze bardziej lewicowa niż sam Sanders. Do partyjnego socjalisty numer jeden na ideologicznej skali brakuje jej już bardzo niewiele.

Harris jest zwolenniczką dekryminalizacji marihuany (analitycy spodziewają się, że po przeprowadzce Bidena do Białego Domu rynek marihuany w Stanach będzie rósł o jedną czwartą rocznie) oraz przeciwniczką prawa do posiadania broni, zwłaszcza broni szturmowej (prawo do posiadania broni jest chronione przez drugą poprawkę amerykańskiej konstytucji, ale i tak po zaprzysiężeniu duetu Biden-Harris producenci broni powinni sporo zarobić, bo Amerykanie na wszelki wypadek będą chcieli uzupełnić domowe arsenały). Wielokrotnie publicznie chwaliła też działania radykalnych aktywistów z ruchu Black Lives Matter i sama też brała czynny udział w protestach, do których na ulicach amerykańskich miast doszło po śmierci czarnoskórego przestępcy George'a Floyda. Wnuczka wojującej hinduskiej feministki, która w latach 40. XX w. przekonywała przez megafon do stosowania antykoncepcji, opowiada się także za nieograniczonym prawem do aborcji (do dziewiątego miesiąca włącznie).

Nowa wiceprezydent to także zagorzała fanka radykalnych ekologów i zwolenniczka ogłoszenia Nowego Zielonego Ładu, który doprowadziłby do załamania wielu tradycyjnych gałęzi amerykańskiego przemysłu. Biliony dolarów, które mają być przeznaczone m.in. na czystą energię oraz inne lewicowe reformy, Harris najchętniej wzięłaby ze źródła ulubionego przez lewicowych polityków, czyli po prostu zagrabiłaby je bogatszym obywatelom. W prawyborach próbowała walczyć o nominację na kandydatkę Partii Demokratycznej i wypadła tak słabo, że była pierwszą osobą, która odpadła z prawyborczego wyścigu. Stanowisko wiceprezydenta zajmie więc teraz tylko dlatego, że Joe Biden obiecał wyborcom podczas jednej z debat z Berniem Sandersem, iż na kandydatkę na wiceprezydenta wyznaczy nie tyko kobietę, lecz także czarnoskórą kobietę. Tym samym zamiast kwalifikacji o zajęciu jednego z kluczowych stanowisk w Stanach Zjednoczonych zdecydowały płeć oraz rasa.

Na szczęście socjalistyczne zapędy Harris może w przyszłości hamować Sąd Najwyższy, w którym – dzięki prezydentowi Donaldowi Trumpowi – konserwatyści mają obecnie ogromną przewagę.

HELIKOPTERY Z GOTÓWKĄ

Obok pierwszej wiceprezydent w gabinecie Joe Bidena wyjątkowo ważne miejsce w czasach gospodarczego kryzysu zajmie 74-letnia Janet Yellen. Dawniej pierwsza kobieta na stanowisku prezesa Rezerwy Federalnej ma zostać pierwszą kobietą piastującą urząd sekretarza skarbu oraz dopiero drugim byłym szefem banku centralnego obejmującym to stanowisko.

Na wieść o jej oficjalnej nominacji amerykańskie giełdy zareagowały tak pozytywnie jak na wiadomość o wynalezieniu szczepionki na koronawirusa. Dlaczego? Inwestorzy giełdowi spodziewają się dalszego dodruku pieniądza na masową skalę. W przeszłości Yellen opowiadała się za możliwością użycia tzw. helikopterów z gotówką, czyli dosypywania pieniędzy do gospodarki już nie tylko poprzez banki, lecz także bezpośrednio do kieszeni podatników.

Instrument zwany „helicopter money" – wymyślony przez noblistę Miltona Friedmana – ekonomiści nazywają „niekonwencjonalną polityką pieniężną". Dawny szef Rezerwy Federalnej uważał go za skuteczny sposób na zapobieganie deflacji. W tym roku władze USA już wykorzystały helikoptery z pieniędzmi, dostarczając każdemu Amerykaninowi, który zarabia poniżej 75 tys. dol. rocznie, czek na tysiąc dolarów plus 500 dol. na każde dziecko.

W teorii ludzie, którzy dostają pieniądze w prezencie, od razu zaczynają

eprasa.pl 223289eb43

je wydawać, pieniądze trafiają do przedsiębiorców, ci zatrudniają nowych pracowników oraz odprowadzają wyższe podatki i gospodarka zaczyna działać na coraz wyższych obrotach.

Wielu ekonomistów ostrzega jednak, że regularne akcje tego typu mogą podważyć zaufanie do dolara i doprowadzić do hiperinflacji. Już w 2016 r. przed stosowaniem takiego rozwiązania ostrzegał niemiecki ekonomista i były główny ekonomista Europejskiego Banku Centralnego Otmar Issing. Rozdawnictwo prowadzi też do ogromnego wzrostu zadłużenia państwa, ale to lewicowym politykom nigdy nie przeszkadzało. Perspektywa uruchomienia kolejnych helikopterów z pieniędzmi wydaje się więc bliższa niż kiedykolwiek wcześniej. A gdy politykom raz pozwoli się na tak łatwe przekupywanie wyborców, to pewnie długo nie będą chcieli przestać, co prędzej czy później musi doprowadzić do poważnego kryzysu.

Amerykański prezydent elekt na stanowisko szefowej Biura Zarządzania i Budżetu (OMB) – odpowiedzialnej głównie za tworzenie propozycji budżetu – wybrał Neerę Tanden, byłą doradczynię Hillary Clinton i obecną szefową liberalnego think tanku Center for American Progress. Tanden, zagorzała krytyczka prezydenta Trumpa oraz republikanów, w dniu, gdy jej nazwisko trafiło do mediów, błyskawicznie skasowała z Twittera ponad tysiąc dawnych wpisów. Mimo to zatwierdzenie pani Tanden na tym stanowisku przez senatorów nie jest pewne, bo republikańscy senatorowie mówią wprost, że mają nadzieję, iż Biden oficjalnie jej nie nominuje. Jej mianowanie zależy też od ostatecznego rozstrzygnięcia drugiej rundy wyborów do Senatu w stanie Georgia. Jeżeli oba miejsca wygrają kandydaci Partii Demokratycznej, to republikanie stracą przewagę w Senacie (podział miejsc będzie wynosił 50:50), a głos rozstrzygający będzie miała wiceprezydent Harris. Na korzyść Neery Tanden działać będzie wówczas choćby to, że pochodzi z rodziny imigrantów z Indii i gdyby została zatwierdzona, byłaby pierwszą kolorową kobietą piastującą to stanowisko.

Pierwszą czarnoskórą kobietą przewodniczącą Radzie Doradców Gospodarczych zostać ma 56-letnia Cecilia Rouse – ekonomistka z Uniwersytetu Princeton, która zasiadała w Radzie Doradców Gospodarczych (CEA) za prezydentury Baracka Obamy w latach 2009–2011.

W zespole prasowym Joe Bidena wszystkie stanowiska objęły kobiety FOT. ABC COLUMBIA

Natomiast zastępcą sekretarza skarbu pierwszy czarnoskóry mężczyzna Wally Adeymo. Wybór ekspertów powołanych do grupy ekonomicznej pokazuje również inny trend w nowej ekipie Bidena – wśród wybranych przez Bidena osób znalazł się zaledwie jeden biały mężczyzna.

BIDEN A SPRAWA POLSKA

Żaden przedstawiciel płci brzydkiej nie będzie piastował wysokich stanowisk w zespole prasowym Joe Bidena. Rzecznikiem prezydenta ma zostać Jen Psaki, która pracowała wcześniej w administracji Baracka Obamy i w strukturach Partii Demokratycznej. Dyrektorem ds. komunikacji Białego Domu będzie Kate Bedingfield, która dotąd była szefową ds. komunikacji kampanii prezydenckiej, a wcześniej pełniła podobną funkcję za wiceprezydentury Bidena. Wśród kobiet zatrudnionych w tym dziale cztery najważniejsze stanowiska z siedmiu zajmą kobiety pochodzące z mniejszości rasowych i etnicznych.

Również w kwestiach bezpieczeństwa narodowego Joe Biden postawił na kobiety. Media spekulują, że na czele Pentagonu może stanąć „żelazna lady", czyli Michèle Flournoy. Szefową resortu obrony miała zostać już w roku 2016, gdyby wybory wygrała Hillary Clinton. Na jej niekorzyść działa to, że choć jest kobietą, to jest biała – a Biden może woleć postawić na tym stanowisku pierwszego Afroamerykanina. Dla radykalnego skrzydła Partii Demokratycznej może też wydawać się zbyt umiarkowana – nie popiera bowiem radykalnych cięć w budżecie Pentagonu. Jest także uważana za „jastrzębia w spódnicy", a Joe Biden mógłby woleć jednak „gołębia w spódnicy". Jednakże kobieta na czele najpotężniejszej armii świata to dla przeprowadzającego lewicową rewolucję smaczny kąsek. Michèle Flournoy wciąż ma więc spore szanse.

Niemal na pewno pierwszą kobietą na stanowisku dyrektora wywiadu narodowego, który nadzoruje wszystkie służby wywiadowcze w USA, zostanie Avril Haines. Haines jest prawniczką, która ma w CV m.in. pracę dla CIA. Poza tym może się pochwalić brązowym pasem w judo (kolejny to już czarny pas) oraz licencją pilota (ma na koncie m.in. nieudaną próbę przelotu małym samolotem nad Oceanem Atlantyckim).

Ambasadorem USA przy ONZ ma z kolei zostać Linda Thomas-Greenfield, doświadczona urzędniczka Departamentu Stanu z czasów Baracka Obamy, a także asystent sekretarza stanu ds. Afryki i była ambasador USA w Liberii.

Na czele amerykańskiej dyplomacji stanie Tony Blinken, znany z czasów poprzedniego prezydenta jako były zastępca sekretarza stanu i zwolennik zawarcia pokojowej umowy z Iranem.

Blinken nazywany „dyplomatą dyplomatów" powinien umiejętnie równoważyć błędy „maszynki do robienia gaf", czyli prezydenta Joe Bidena. Może jednak powtórzyć błędy swoich dawnych szefów i powrócić do prób polepszenia stosunków z Rosją i Niemcami (np. wycofując sprzeciw Waszyngtonu wobec budowy Nord Stream 2). Blinken niemal na pewno wstrzyma również zarządzone za Donalda Trumpa wycofanie amerykańskich oddziałów z Niemiec (zresztą wycofaniu wojsk z niemieckich baz ostro przeciwna była też Flournoy). Z punktu widzenia Polski duet Blinken-Flournoy wydaje się więc korzystny: oboje powinni bowiem zdawać sobie sprawę, że potężne bazy w Europie są niezbędne, aby odstraszać Rosję i aby było skąd przerzucać wojska w razie konfliktu w Azji czy na Bliskim Wschodzie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 223289eb43

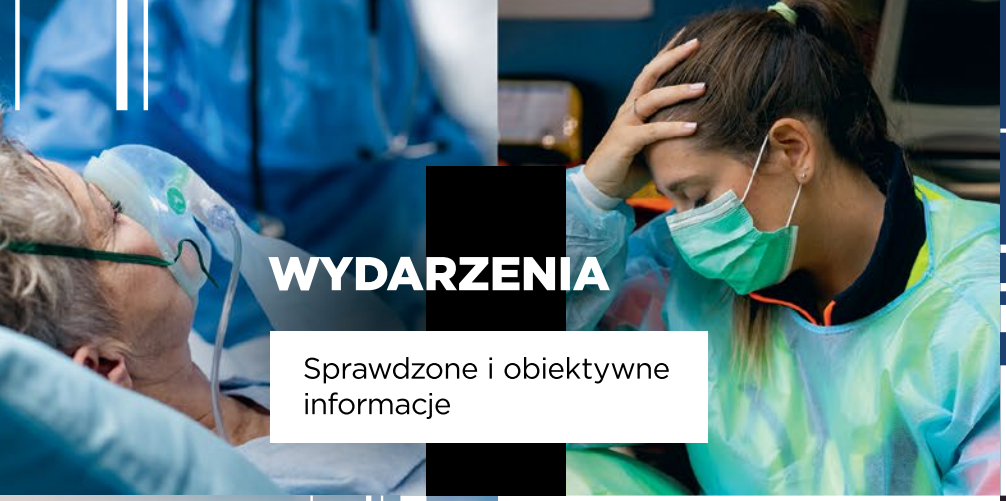

WYDARZENIA

Sprawdzone i obiektywne informacje

POGODA

Prognoza, która się sprawdza

interia

SPORT

Zawsze w centrum sportowych emocji

KUCHNIA

Smaker. Setki inspiracji kulinarnych

PLOTKI

Pomponik. Gorące newsy ze świata show-biznesu

interia

PORTAL, KTÓRY TOWARZYSZY MI **KAŻDEGO DNIA**

eprasa.pl 223289eb43

Maltański walec Heleny Dalli

Piotr Włoczyk

Unijna komisarz ds. równości zapowiada totalne zrównanie całej wspólnoty do „unijnych wartości". To, co wcześniej zrobiła na Malcie, pokazuje, jak bardzo jest zdeterminowana, by osiągnąć cel

Zamiast męża i żony – „małżonkowie". Zamiast matki i ojca – „osoba, która urodziła" oraz „drugi rodzic". Ustawa, która rewolucjonizowała maltańskie prawo, była „dzieckiem" Heleny Dalli, ówczesnej minister ds. europejskich i równości. Dalli, która wniosła ją pod obrady maltańskiego parlamentu, podkreślała, że konieczne jest „unowocześnienie instytucji małżeństwa". Rządząca lewica poparła ustawę, ale za wprowadzeniem „małżeństw" homoseksualnych była też niemal cała opozycyjna centroprawica. Przeciw zagłosował tylko jeden poseł. „Jako chrześcijański polityk nie mogę pozostawiać mojego sumienia za drzwiami parlamentu" – powiedział Edwin Vassallo. Ówczesny premier Malty Joseph Muscat po przyjęciu ustawy z dumą podkreślił, że parlamentarzyści wykazali się „dojrzałością niemającą precedensu". Nowe prawo dało też homoseksualistom możliwość adopcji dzieci.

Wprowadzenie „równości małżeńskiej" było kolejnym wielkim sukcesem Heleny Dalli. Rok wcześniej – w 2016 r. – udało jej się doprowadzić do delegalizacji na Malcie terapii konwersyjnej, która uznawana jest przez środowisko LGBT za torturowanie ludzi, nawet jeżeli oni sami, z własnej nieprzymuszonej woli, chcą wziąć w niej udział, ponieważ źle się czują z homoseksualizmem. Malta stała się pierwszym krajem na świecie, który zakazał tej terapii.

Jeszcze wcześniej Dalli, jako minister ds. dialogu społecznego, przeforsowała znaczące ułatwienia dla osób transseksualnych w wyrabianiu nowych dokumentów. Zadbała też o to, by do maltańskiego prawa wprowadzić wiele przepisów antydyskryminacyjnych, o które zabiegało środowisko homoseksualne, a przeciw którym protestowały organizacje chrześcijańskie, przestrzegające, że oznaczać to będzie drastyczne ograniczenie praw osób wierzących.

W ten sposób dzisiejsza komisarz UE ds. równości wywindowała swoją ojczyznę z szarego końca rankingów państw przyjaznych dla LGBT na sam szczyt zestawień tego typu. W najbardziej znanym rankingu „Tęczowa Europa", przygotowywanym co roku przez organizację LGBT ILGA-Europe, Malta od 2018 r. zajmuje pierwsze miejsce. Pod tym względem państwo to przeszło wyjątkowo ekspresową rewolucję, skoro jeszcze 10 lat temu rozwody były na tej wyspie nielegalne...

eprasa.pl 223289eb43

Helena Dalli na Malcie przeforsowała ustawę, która dała możliwość nie tylko zawierania homomałżeństw, lecz także adopcji dzieci przez gejów FOT. PHILIPPE BUISSIN/EU/EP

Równościowe zabiegi tej polityk Partii Pracy (Miss Malty 1979) zostały docenione w Brukseli. Od grudnia zeszłego roku Helena Dalli dzierży tekę unijnej komisarz ds. równości (w poprzedniej komisji, kierowanej przez Jeana-Claude'a Junckera, za obszar ten odpowiadała Věra Jourová). Przez ten rok nieraz pokazała już, że gotowa jest pójść na ostre zwarcie z dwiema największymi przeszkodami stojącymi na drodze do realizacji przyświecających jej celów – Polską i Węgrami.

PRZECIW POLSCE I WĘGROM

Ostatni raz dała temu wyraz w zeszły poniedziałek, podczas debaty na temat praw osób LGBT w Polsce i na Węgrzech zorganizowanej na forum Komisji Wolności Obywatelskich, Sprawiedliwości i Spraw Wewnętrznych (LIBE) Parlamentu Europejskiego. W trakcie dyskusji komisarz Dalli powtarzała nieprawdziwe twierdzenia na temat istnienia w Polsce „stref wolnych od LGBT", używając narracji gejowskiego performera Barta Staszewskiego.

„Regionalne, samorządowe władze przyjęły takie strefy. I chcę przypomnieć, że ci, którzy korzystają ze środków spójności, muszą zapewnić mniejszościom takie traktowanie, które będzie zgodne z naszymi zasadami" – powiedziała Helena Dalli. Podkreśliła, że Komisja Europejska będzie się bacznie przyglądać sytuacji w Polsce i na Węgrzech. Dalli przypomniała w czasie dyskusji, że już najwyższy czas na działanie w tej kwestii, ponieważ na początku listopada Komisja Europejska przyjęła „strategię na rzecz równości lesbijek, gejów, osób biseksualnych, transpłciowych, niebinarnych, interseksualnych i queer (LGBTIQ)".

„UE daje dziś przykład do naśladowania w walce o różnorodność i inkluzywność. Równość i niedyskryminacja to podstawowe wartości i prawa w Unii Europejskiej" – mówiła Dalli podczas prezentacji dokumentu. „W strategii wzywamy więc te państwa członkowskie, które nie mają krajowych strategii na rzecz równości osób LGBTIQ, aby taki dokument przyjęły, odnosząc się do szczególnych potrzeb w zakresie równości osób LGBTIQ w danym kraju".

Maltańska komisarz nie tylko naciska na kraje UE w sposób werbalny, by wyszły naprzeciw postulatom formułowanym przez społeczności LGBT (choć to wyłączna prerogatywa państw członkowskich), lecz także używa w tej kwestii bata finansowego. W lipcu komisarz Dalli, pod wrażeniem performance'ów Barta Staszewskiego, poinformowała na Twitterze, że UE nie będzie wspierała finansowo „stref wolnych od LGBT".

„Wartości i prawa podstawowe UE muszą być szanowane przez państwa członkowskie i władze państwowe. Z tego powodu 6 wniosków o partnerstwo miast dotyczących polskich władz, które przyjęły uchwały o »strefach wolnych od LGBTI« lub »prawach rodzin«, zostało odrzuconych" – napisała na Twitterze Helena Dalli.

W listopadowym wywiadzie dla Politico komisarz Dalli powtórzyła, że kraje, które nie respektują tak pojmowanej równości, nie powinny liczyć na wsparcie finansowe UE.

„Widzieliśmy, jak można skutecznie działać w sytuacji, gdy mamy te strefy wolne od LGBTIQ, poprzez wstrzymanie finansowania projektów pochodzącego z UE. Równość jest wartością Unii i jeśli postępujesz wbrew tej wartości, to Unia nie powinna cię finansować" – powiedziała Dalli. – Na to, jak kontrowersyjne jest powołanie Heleny Dalli na stanowisko komisarz ds. równości, zwracaliśmy uwagę od samego początku kadencji obecnej Komisji Europejskiej. Helena Dalli nieprzypadkowo została wybrana na ten urząd. To z jej inicjatywy i przy jej poparciu na Malcie wprowadzono m.in. możliwość dowolnej zmiany prawnej płci (bez konieczności interwencji medycznej) czy przyznanie jednopłciowym związkom przywilejów małżeńskich – mówi „Do Rzeczy" Karolina Pawłowska, dyrektor Centrum Prawa Międzynarodowego Instytutu Ordo Iuris. – Nasze podejrzenia szybko okazały się słuszne. Helena Dalli ogłosiła m.in., że – wbrew unijnym traktatom wyraźnie stanowiącym, że polityka zdrowotna należy do wyłącznych kompetencji państw członkowskich – będzie działać na rzecz upowszechniania w UE tzw. praw reprodukcyjnych i seksualnych oraz że uczyni wszystko, by UE przyjęła genderową konwencję stambulską, mimo że znaczna część państw członkowskich w jasny sposób się temu dokumentowi sprzeciwiła.

90 PROC. PRO-LIFE

To właśnie „prawa reprodukcyjne" są drugim konikiem maltańskiej komisarz. W tym temacie nie ma się jednak czym „pochwalić", jeżeli chodzi o jej ojczyznę. Malta pozostaje dziś jedynym krajem w Europie, gdzie aborcja jest zakazana (za jej dokonanie grożą nawet trzy lata więzienia). O ile ponad połowa Maltańczyków akceptuje rozszerzenie definicji małżeństwa, o tyle legalizacja aborcji wciąż jest tam czymś kompletnie niewyobrażalnym. Nawet sprawująca na Malcie od 2013 r. rządy lewica nie podnosi tego postulatu, zdając sobie sprawę z nastrojów społecznych – badania pokazują, że mniej niż 10 proc. Maltańczyków chciałoby legalizacji aborcji do 12. tygodnia ciąży.

Komisarz Dalli wydaje się jednak zdeterminowana, by również ten temat wynieść na poziom unijny. Przy okazji ostatniej debaty w PE nad orzeczeniem TK w sprawie aborcji Helena Dalli przyznała, że UE nie ma w sprawie legalizacji aborcji w państwach członkowskich żadnych kompetencji, ale wyraziła swoje uznanie dla protestujących w ramach Strajku Kobiet i podkreśliła: „Ochrona praw kobiet jest moją misją jako komisarza, ale jest też moją osobistą walką. I wy dobrze o tym wiecie". Chyba nieprzypadkowo zabrzmiało to jak groźba.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 223289eb43

FOT. MARIUSZ GĄCZYŃSKI/EAST NEWS

Witold Repetowicz

W Indiach od czasu dojścia do władzy Narendry Modiego wzrosły nastroje nacjonalistyczne. Świat muzułmański oskarża przy tym Hindusów o islamofobię. Dotyczy to również relacji hindusko-muzułmańskich w diasporze. Hindusi w Polsce przekonują jednak, że ten problem ich nie dotyczy. Słowo „islamofobia" działa jednak na nich jak płachta na byka

Nacjonalistyczne przebudzenie hinduistów

Na łamach amerykańskiego magazynu „Foreign Policy" ukazał się niedawno artykuł sugerujący, że diaspora hinduska na świecie jest głównym nośnikiem globalnej islamofobii, co spotyka się z reakcją muzułmanów i prowadzi do konfliktów, a także działań represyjnych wymierzonych w Hindusów. Gdy na prywatnej facebookowej grupie społeczności hinduskiej w Polsce poprosiłem o ustosunkowanie się do zawartych w artykule tez oraz ocenę relacji hindusko-muzułmańskich w Polsce, spotkałem się z bardzo burzliwą reakcją. Samo użycie słowa „islamofobia" spowodowało lawinę zgłoszeń do administracji Facebooka z żądaniem usunięcia wpisu jako rzekomo „naruszającego standardy społeczności". Po godzinie wpisu, który wcześniej został zaakceptowany przez moderatorów grupy, już nie było. Jest to o tyle zdumiewające, że trudno sobie wyobrazić, by Facebook podjął podobną decyzję, gdyby dyskusja dotyczyła islamofobii wśród Polaków.

Spory między różnymi grupami migrantów są często niezrozumiałe dla Europejczyków, ale rosnąca liczba osób o nieeuropejskim pochodzeniu, przebywających na naszym kontynencie, powoduje, że staje się to coraz większym problemem, nawet jeśli niewielu Europejczyków sobie to uświadamia. Starcia kurdyjsko-tureckie na ulicach niemieckich czy austriackich miast są coraz częstsze. Niedawno doszło też do kilkudniowej bitwy między Czeczenami a Arabami we francuskim Dijon. Hindusi dotychczas nie byli jednak kojarzeni z tego typu incydentami. Jednym z powodów jest zapewne to, że imigranci z Indii nie przybywają nielegalnie ani nie oczekują zasiłków i znani są z tego, że ciężko pracują oraz przestrzegają obowiązujących w krajach przyjmujących zasad.

ASERTYWNY PREMIER

Trwające od kilku lat nacjonalistyczne przebudzenie hinduistów przełożyło się również na aktywność diaspory w Internecie, prowadząc do napięć między nimi a muzułmanami. Prawicowy premier Indii Narendra Modi jest przy tym najpopularniejszym przywódcą w tym kraju od czasu zmierzchu Indyjskiego Kongresu Narodowego po zabójstwie Indiry Gandhi w 1984 r. Jego Indyjska Partia Ludowa (BJP) w wyborach w 2014 r. zdobyła 282 mandaty w 543-osobowym parlamencie. Był to pierwszy raz od 1984 r., gdy jedna partia uzyskała bezwzględną większość w parlamencie. W dodatku sojusznicze partie BJP

eprasa.pl 223289eb43

otrzymały kolejne 54 mandaty. W następnych wyborach, w 2019 r., BJP zwyciężyła jeszcze bardziej przekonująco, zdobywając 303 mandaty, a wraz z sojusznikami – 353.

Asertywna polityka wewnętrzna i zagraniczna Modiego doprowadziła jednak do wzrostu napięć z Chinami oraz Pakistanem, a pośrednio z muzułmanami na całym świecie. Przeciwnicy Modiego oskarżają go bowiem o to, że rozpalenie nastrojów nacjonalizmu indyjskiego opartego na kryterium wyznaniowym, tj. hinduizmie, doprowadziło do dyskryminacji mieszkających w Indiach muzułmanów. A tych jest tam całkiem sporo. To co prawda tylko 14 proc. tamtejszej populacji, ale zważywszy na to, że liczy ona prawie 1,4 mld, to w liczbach bezwzględnych jest to 195 mln ludzi. To czyni Indie krajem o trzeciej na świecie liczbie wyznawców Allaha, ustępującej muzułmańskiej populacji Pakistanu tylko o parę milionów.

Zwolennicy Modiego zwracają jednak uwagę na to, że w Indiach muzułmanie cieszą się pełną swobodą wyznania i ich sytuacja jest nieporównywalna z tą, w jakiej znajdują się przedstawiciele mniejszości religijnych w sąsiednim Pakistanie. Trudno się z tym nie zgodzić, jeśli weźmie się pod uwagę historię Asii Bibi, chrześcijanki, która przeszła gehennę w Pakistanie po oskarżeniu jej o „bluźnierstwo". Hindusi podkreślają też, że ich konflikt z Pakistanem nie ma charakteru wojny religijnej, lecz sporu terytorialnego dotyczącego zamieszkanego w większości przez muzułmanów Kaszmiru. Zresztą do 2017 r. wiceprezydentem Indii był muzułmanin Mohammad Hamid Ansari.

HEJT SPONSOROWANY?

W 2019 r. dwie decyzje rządu Modiego zaogniły relacje hindusko-pakistańskie oraz hindusko-muzułmańskie, rozpalając emocje również wśród diaspory, w tym wśród Hindusów mieszkających w Polsce. Chodziło, po pierwsze, o pozbawienie Dżammu i Kaszmiru statusu stanu i przekształcenie ich w terytorium związkowe zarządzane bezpośrednio przez władze federalne. Po drugie, chodzi o ustawę o zmianie zasad dotyczących obywatelstwa (CAA) oraz stworzeniu narodowego rejestru obywateli (NRC), na mocy której nadano obywatelstwo mieszkającym w Indiach imigrantom z Afganistanu, Bangladeszu i Pakistanu, którzy uciekli przed religijnym prześladowaniem przed rokiem 2014. Dotyczy to jednak tylko wymienionych w ustawie grup religijnych, w tym chrześcijan, buddystów i hinduistów, a wyklucza muzułmanów. Wywołało to krwawe protesty w Indiach oraz intensyfikację oskarżeń hinduistów o szerzenie islamofobii.

We wspomnianym wcześniej artykule opublikowanym na łamach „Foreign Policy" autor, Steven Zhou, stwierdził, że nacjonalistyczna polityka Modiego zachęciła Hindusów, w tym m.in. miliony pracujących w muzułmańskich krajach Półwyspu Arabskiego, do publikowania hejterskich ataków na muzułmanów, powiązanych z szydzeniem z islamu oraz Mahometa. Miało to doprowadzić do napięć między Indiami a takimi krajami jak Kuwejt czy Zjednoczone Emiraty Arabskie, a także masowych zwolnień z pracy Hindusów publikujących komentarze uznawane tam za islamofobiczne.

Zdaniem Zhou problem ten dotyczy jednak również innych krajów, w tym zachodnich, gdzie, według niego, nacjonaliści hinduscy stali się sojusznikami „skrajnej prawicy" w atakach na muzułmanów. Jako przykład podał on incydent w Kanadzie (w której mieszka) dotyczący sprawy Rawiego Hoody, pochodzącego z Indii członka władz oświatowych w okolicach Toronto, który opublikował tweeta krytykującego decyzję władz kanadyjskich, by w czasie ramadanu z meczetów głośno pobrzmiewało wezwanie do modlitwy. Hooda określił tam muzułmanów mianem „ujeżdżaczy kóz i wielbłądów", a wyznawczynie tej religii opisał jako „zakryte od stóp do głów namiotami", co w multikulturowej Kanadzie zostało uznane za mowę nienawiści.

Zhou w swoim artykule zasugerował również, że Indie sponsorują gigantyczną armię internetowych trolli i media o charakterze dezinformacyjnym, których sieć ma obejmować aż 65 krajów. Hindusi jednak odrzucają te oskarżenia, twierdząc, że artykuł jest stronniczy. Faktem jest przy tym, że autor ma chińskie pochodzenie i jest stałym współpracownikiem muzułmańskich mediów takich jak katarska Al-Dżazira, znana z tropienia wydumanej islamofobii również w Polsce.

NAPIĘCIA NAD WISŁĄ

Zdaniem przedstawicieli społeczności hinduskiej w Polsce teza o konflikcie hindusko-muzułmańskim jest przesadzona, a oskarżenia o islamofobię to akcja propagandowa sponsorowanej przez Pakistan farmy trolli. Nie wszyscy jednak zgadzają się z tezą, że w Polsce w ogóle żadnych napięć nie ma. Studiujący w Gliwicach Ritankar Sahu wspomina, że był niedawno świadkiem kłótni muzułmańskiego kolegi z Indii z innymi hinduskimi studentami. „Zarzucił im obrażanie jego religii i islamofobię. To był bardzo dziwny i niebezpieczny incydent i musieliśmy go wykluczyć z naszej grupy, bo nie chcemy konfliktów" – stwierdził Ritankar, który uważa, że to imigranci powinni się dostosować do reguł kraju, w którym mieszkają, a w Polsce panuje wolność słowa i każdy może mówić o islamie, co chce. Zdaniem Ritankara muzułmanie wysuwają jednak nadmierne roszczenia, a potem rzucają na lewo i na prawo oskarżenia o islamofobię. „Im się wydaje, że wszędzie, gdzie są, muszą powstawać meczety, a Hindusi nie domagają się przecież tworzenia świątyń hinduistycznych" – dodał Ritankar.

W Polsce mieszka ok. 20 tys. Hindusów. Wielu z nich narzeka, że ludzie czasem się ich boją ze względu na kolor skóry i to, co się dzieje na Zachodzie. Paradoksem jest też to, że biorą ich często za muzułmanów. „Po bliższym poznaniu, gdy obawy mijają, Polacy są dla nas bardzo mili" – twierdzi jeden z liderów społeczności hinduskiej w Polsce Abhishek Nauthiyal.

W czerwcu Agencja Bezpieczeństwa Wewnętrznego aresztowała młodego muzułmanina z Indii, oskarżając go o związki z terrorystami. Dla mieszkających w Polsce Hindusów był to tym większy szok, że w mediach podano narodowość zatrzymanego, ale już nie wspomniano o jego religii. „Było to stygmatyzujące całą naszą społeczność, a przecież nie ma czegoś takiego jak hinduski terroryzm" – narzeka Nauthiyal. Jego zdaniem ów muzułmanin musiał się zradykalizować już w Polsce pod wpływem kontaktów w polskich meczetach z islamistami z innych krajów. „Indyjskie służby specjalne są bardzo skuteczne i nie sądzę, by nie wykryły jego ekstremistycznych poglądów, gdyby miał je jeszcze w Indiach" – podkreśla Nauthiyal. O efektywności indyjskich służb świadczy to, że ostatni poważny zamach dokonany przez pochodzących z Pakistanu terrorystów odbył się w listopadzie 2008 r.

Zdaniem Ritankara konieczne jest dostrzeganie różnicy między Hindusami przyjeżdżającymi legalnie do Polski a nielegalnymi migrantami w zachodniej Europie. „My nic nie dostajemy za darmo, ciężko pracujemy, płacimy za studia i musimy walczyć o naszą pozycję. To niesprawiedliwe, gdy ktoś nagle przyjeżdża i dostaje to wszystko za darmo, bez wysiłku" – podkreśla hinduski student.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 223289eb43

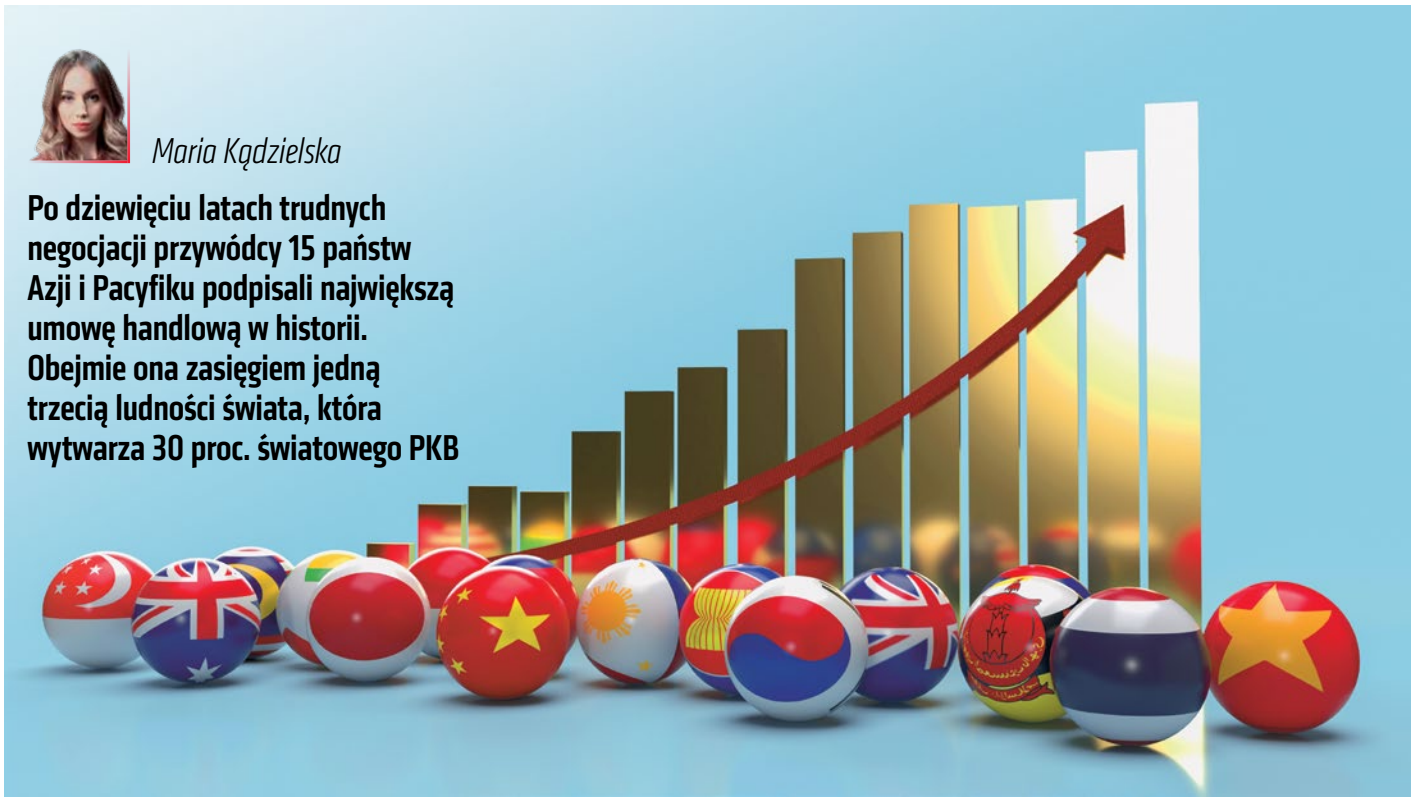

Maria Kądzielska

Po dziewięciu latach trudnych negocjacji przywódcy 15 państw Azji i Pacyfiku podpisali największą umowę handlową w historii. Obejmie ona zasięgiem jedną trzecią ludności świata, która wytwarza 30 proc. światowego PKB

FOT. ADOBE STOCK

Największa strefa wolnego handlu na świecie

15 listopada podczas szczytu ASEAN w Wietnamie zawarto historyczne porozumienie. Regionalne Kompleksowe Partnerstwo Gospodarcze (RCEP) obejmie swoim zasięgiem wszystkie kraje Stowarzyszenia Azji Południowo-Wschodniej (ASEAN), a także Chiny, Japonię, Koreę Południową, Australię i Nową Zelandię.

To dyplomatyczne osiągnięcie zjednoczy jeden z najbardziej zróżnicowanych zarówno kulturowo, jak i politycznie regionów świata, tworząc strefę wolnego handlu od Harbinu przez Seul, Tokio, Hanoi, Naypyidaw, Laos, Bangkok, Phnom Penh, Kuala Lumpur, Singapur, wszystkie wyspy Indonezji do Sydney i Wellington. RCEP stworzy tym samym największe partnerstwo handlowe na świecie bez udziału Stanów Zjednoczonych i Unii Europejskiej, umożliwiające swobodną wymianę towarów bez płacenia ceł między 2,2 mld ludzi. Postanowienia dotyczą również własności intelektualnej, telekomunikacji, usług finansowych, handlu elektronicznego i usług profesjonalnych.

HANDEL WAŻNIEJSZY OD POLITYKI

Podczas negocjacji szczególną dyplomatyczną sprawnością wykazały się Chiny. Będąc największą siłą w porozumieniu, nie monopolizowały rozmów, pozwalając ASEAN przejąć inicjatywę. Tym sposobem Xi Jinping uniknął konfliktu z Japonią. Nie miejmy jednak złudzeń, chociaż RCEP może nie być bezpośrednio kontrolowane przez Państwo Środka, to bez wątpienia właśnie Pekin będzie głównym beneficjentem umowy. Harmonijnie współgra ona z inicjatywą Pasa i Szlaku, a tym samym powinna ułatwić chińskie inwestycje oraz projekty infrastrukturalne w całej Azji Południowo-Wschodniej.

Chiny wyraźnie stawiają na integrację ze swoimi szybko rozwijającymi się sąsiadami. Premier Li Keqiang nazwał podpisanie umowy „triumfem multilateralizmu i wolnego handlu". Podkreślił również, że to państwa ASEAN stały się drugim najważniejszym partnerem handlowym dla Pekinu, wyprzedzając Unię Europejską. „To pokazuje, że chińska współpraca gospodarcza z krajami Azji i Pacyfiku zostanie wyraźnie zacieśniona. Chiny będą przeciwdziałać licznym naciskom związanym z rozdzieleniem

eprasa.pl 223289eb43

powiązań z gospodarkami regionu oraz ze zmianami w łańcuchach dostaw" – czytamy w komentarzu opublikowanym na Platforma „Diplomacy Watch".

Jednak zawarte porozumienie zostanie zapewne pozytywnie przyjęte przez przedsiębiorców we wszystkich państwach członkowskich. RCEP unifikuje bowiem całe grzęzawisko umów o wolnym handlu w regionie Azji i Pacyfiku. Jest to jeden z najbardziej aktywnych regionów na świecie, jeśli chodzi o negocjowanie paktów handlowych. Eksperci otwarcie krytykują wiele dwustronnych lub trójstronnych umów o „niskiej jakości", które nie tylko są zbyt wąskie, lecz także nierzadko wzajemnie się pokrywają. Handel regionalny jest zatem nękany złożonością rozwiązań prawnych i biurokracją, co zmusza wiele firm do ponoszenia wyższych kosztów transakcji. Teraz ta sytuacja się zmieni.

Nowe partnerstwo może zacząć obowiązywać już w przyszłym roku, choć zapewne ratyfikacja traktatu przez każde z państw członkowskich zajmie dwa lata. Celem jest zniesienie 90 proc. ceł między sygnatariuszami w ciągu następnej dekady. Zapisy umowy mówią również o standaryzacji zasad opodatkowania produktów i półproduktów niezależnie od ich pochodzenia („rules of origin"), a także rozwiązywaniu wszelkich sporów w ramach dyskusji i konsensusu. Warto zauważyć, że państwa członkowskie są znacznie mniej zintegrowane niż kraje Unii Europejskiej. Łączą je także często trudne stosunki dyplomatyczne, jak to się dzieje w przypadku Chin i Japonii. W obecnym czasie również nastroje między Pekinem a Sydney pozostają dość napięte. Australijczycy przez ostatnie miesiące głośno protestowali przeciwko zalewowi chińskich produktów. Podpisując porozumienie handlowe, premier Scott Morrison najwyraźniej zdecydował się działać między podziałami, uznając, że ekonomiczna przyszłość Australii zależy przede wszystkim od jej azjatyckich sąsiadów.

ALTERNATYWA DLA TTP

Szanse na powodzenie azjatyckiej integracji handlowej znacznie wzrosły, gdy w 2017 r. prezydent Donald Trump oficjalnie wycofał USA z Partnerstwa Transpacyficznego (TPP). TPP miało być traktatem wspierającym integrację gospodarczą w regionie bez udziału Chin. Został on zawarty 5 października 2015 r. przez 12 krajów w całym regionie Azji i Pacyfiku (Australię, Brunei, Kanadę, Chile, Japonię, Malezję, Meksyk, Nową Zelandię, Peru, Singapur, Stany Zjednoczone i Wietnam). Podpisanie TPP było jednym z głównych celów strategii handlowej administracji prezydenta Baracka Obamy oraz premiera Japonii Shinzo Abe.

Umowa miała na celu intensyfikację handlu i ułatwienie inwestycji pomiędzy krajami partnerskimi TPP, promowanie innowacji, wzrostu gospodarczego i rozwoju oraz wspieranie tworzenia i utrzymania miejsc pracy. W rzeczywistości chodziło o jeszcze silniejsze powiązanie gospodarcze krajów Azji i Pacyfiku z gospodarką Stanów Zjednoczonych. Jednak w sytuacji, kiedy główny sygnatariusz umowy wycofał się z partnerstwa, całe porozumienie straciło na znaczeniu. Władza jednak nie znosi próżni. W tych obszarach współpracy międzynarodowej, z których USA się wycofuje, w sposób naturalny prymat przejmują Chiny, które w wyraźny sposób dążą do zjednoczenia regionu pod swoim przewodnictwem.

WALKA O INDIE

Regionalne Kompleksowe Partnerstwo Gospodarcze w celu zjednoczenia całej Azji potrzebuje drugiego najbardziej licznego kraju świata – Indii. Jednak Narendra Modi ostatecznie wycofał Delhi z tej inicjatywy. Istnieje kontekst strategiczny, wykraczający poza argumenty i implikacje czysto gospodarcze, który sprawia, że Indie na razie nie będą uczestniczyć w porozumieniu. Chociaż rząd w Delhi podjął tę decyzję rok temu, to wydaje się, że niedawna eskalacja napięć z Chinami w związku z trwającym impasem na pasie granicznym w Ladakh odegrała znaczącą rolę w całkowitym zamrożeniu rozmów o zacieśnianiu stosunków handlowych.

Kilka dni po tym, jak na początku listopada 2019 r. premier Modi ogłosił decyzję Indii o wycofaniu się z partnerstwa, minister spraw zagranicznych Jaishankar powiedział, że stanowisko Indii opiera się na „przejrzystej kalkulacji zysków i strat, a zawarcie nowego porozumienia byłoby błędem". W efekcie RCEP został podpisany bez współpracy z Delhi. Jednak indyjskie media podają, że negocjatorzy z Japonii ciężko pracowali, aby porozumienie pozostało otwarte na ewentualne przystąpienie Indii, także otwierając specjalną furtkę, która pozwoli Indiom uczestniczyć w spotkaniach RCEP w charakterze „obserwatora". W publicznym wystąpieniu Modi podkreślił, że w przypadku jego państwa nowe porozumienie nie czyni wielkiej różnicy, ponieważ kraj ten jest już sygnatariuszem umowy o wolnym handlu z ASEAN i CEPA (kompleksowych umów o partnerstwie gospodarczym) z Japonią i Koreą Południową. Niemniej nowy traktat skonstruowano tak, by w przyszłości Indie ze swoją ogromną gospodarką i ponad półtoramiliardową populacją mogły bez problemów dołączyć do umowy.

CHIŃSKA GRA NA WIELU FRONTACH

Kiedy oczy świata zwróciły się w stronę obszaru Azji i Pacyfiku, w tym samym czasie, dokładnie 12 listopada, podczas 20. Forum Chińsko-Afrykańskiej Współpracy (FOCAC) chiński minister spraw zagranicznych Wang Yi zadeklarował, że Pekin pomoże zorganizować i sfinansować strefę wolnego handlu obejmującą całą Afrykę. Umowa ma obejmować 55 krajów o łącznym PKB równym 3,4 mld dol., jednocząc ok. 1,3 mld konsumentów. W przemówieniu Wang zadeklarował, że „Pekin z zadowoleniem przyjął rozwój Afrykańskiej Kontynentalnej Strefy Wolnego Handlu (AfCFTA) i zapewni pomoc finansową oraz szkolenia w zakresie budowania jej potencjału". Dodał również, że Chiny będą nadal inwestować w infrastrukturę i projekty przemysłowe w Afryce za pośrednictwem inicjatywy Pasa i Szlaku oraz otworzą swój rynek, liczący 1,4 mld konsumentów, na produkty afrykańskie.

Ze wszystkich tych działań wynika bardzo wyraźnie, że Pekin prowadzi niezwykle przemyślaną i konsekwentną politykę na wielu frontach, starając się powiązać ze sobą całe regiony daleko idącymi zależnościami handlowymi. Chiny stają się inicjatorem i realizatorem wielkich projektów gospodarczych, nie tylko biorąc udział w grze, lecz także po prostu rozdając karty.

Pytanie, jak Unia Europejska, a wraz z nią Polska zareagują na te wielkie handlowe przetasowania? Czy zawalczymy o współpracę z nowymi partnerstwami gospodarczymi, czy zostaniemy w tyle? Z pewnością wydarzenia te stanowią kolejne wezwanie do tworzenia własnych politycznych i handlowych strategii wobec Chin, bo na razie zarówno w Unii Europejskiej, jak i w Polsce zachowujemy się tak, jakby Państwo Środka w ogóle nie istniało.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 223289eb43

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Wujek Dobra Rada

Jak wiadomo, dobrych rad nigdy dość, nigdy ich za dużo. Choć, niestety, nie wszystkie są należycie oceniane i doceniane. Z jedną z nich, jak łatwo zgadnąć – bo rzecz jest nie do zapomnienia – pospieszył zamartwiającym się o swą teraźniejszość i przyszłość Polakom sam prezydent Bronisław Komorowski. Legendarna rada, jakiej udzielił w szczycie kampanii prezydenckiej w 2015 r. kobiecie, która skarżyła się, że po trzech latach poszukiwań znalazła pracę za 2 tys. zł i o własnym mieszkaniu może co najwyżej pomarzyć, brzmiała: „Trzeba zmienić pracę i wziąć kredyt". Nie wiadomo, czy to ta wypowiedź przelała czarę goryczy i przechyliła szalę na niekorzyść Komorowskiego podczas tamtych wyborów, ale bez dwóch zdań była jedną z tych, które wpłynęły na brak reelekcji ówczesnego prezydenta Polski.

No i teraz, gdy przyjęta przez rząd Polski taktyka walki z COVID-19 – wiosną był to oficjalny lockdown, a teraz, jesienią, jest to cichy lockdown – zaczyna dotykać polskie firmy, gdy bankrutują one częściej niż przedtem, z radą dla wpadających w tarapaty przedsiębiorców pospieszył wiceminister finansów Piotr Patkowski. Nie, rada, której udzielił, nie brzmiała aż tak obcesowo jak ta, do której ją zredukowano w niektórych mediach: „Wiceminister radzi: Jest możliwość przebranżowienia się". Czy jednak w istocie właśnie do tego się nie sprowadzała, jeśli się w nią wczytać? A brzmiała tak: „Są branże, które szczególnie odczują skutki koronawirusa. To im dedykujemy działania zaproponowane dziś przez premiera. Wśród rozwiązań jest też możliwość przebranżowienia. Chodzi o to, żeby nowa forma działalności gospodarczej, którą podejmą, dawała możliwość rozwoju i zarabiania"...

A zresztą może to i dobrze, że wysokiej rangi urzędnicy państwowi nie mają zahamowań, by spieszyć z takimi dobrymi radami? By doradzać przedsiębiorcom, czy wręcz pouczać ich, jak przetrwać na rynku, zwłaszcza na tak niewolnym jak dziś rynek polski, w który co rusz uderza chaotycznie reagujący na COVID-19 rząd – pod tym względem do legendy już przeszło zamknięcie cmentarzy późnym wieczorem 31 października i pozostawienie tysięcy przedsiębiorców z niesprzedanymi kwiatami (to, co z tych kwiatów zostało, podatnicy musieli potem od nich odkupić za ponad 180 mln zł!). Dobrze więc, że wysocy urzędnicy państwowi nie mają zahamowań z udzielaniem dobrych rad – zwłaszcza jeśli sami mogą się poszczycić tak bogatą historią własnej działalności jako przedsiębiorcy, kiedy – i to niejeden raz – dawali niepodważalne dowody, że bez problemu potrafią zarobić na swe utrzymanie na wolnym rynku. Jeszcze zanim znaleźli schronienie w bezpiecznej przystani, jaką jest administracja państwowa, zanim zaczęli korzystać z dobrodziejstw płynących z pracy „na państwowym" i uczyć innych przedsiębiorczości. ©℗

ŁUKASZ WARZECHA

NOTATNIK MALKONTENTA

Z tej mąki chleba nie będzie

I oto nadszedł czas, gdy w sceptycznych słowach byłego lidera Platformy Obywatelskiej Grzegorza Schetyny o protestach spod znaku Strajku Kobiet można się doszukiwać zdrowego rozsądku, którego próżno szukać u jego klubowych kolegów. U Borysa Budki zaś w ogóle szukać nie sposób, bo najpierw trzeba by znaleźć samego Budkę.

Marność PO w roli opozycji objawiała się już wielokrotnie, ale być może nigdy tak wyraźnie jak w czasie epidemii. Wygląda to tak, jakby od miesięcy rządzący podawali największej opozycyjnej partii piłki, które w najlepszym razie przelatują jej politykom między nogami, a na ogół w ogóle ich nie dostrzegają.

Weźmy samą, pożal się Boże, strategię walki z epidemią. Liczba bezsensownych, chaotycznych, sprzecznych ze sobą i niemających uzasadnienia ruchów, jakie wykonał rząd, jest większa niż liczba podań, jakie w życiu wykonał na boisku Donald Tusk. Mimo to PO nie potrafiła zaprezentować żadnej alternatywy. Nie bardzo nawet wiadomo, czy największa opozycyjna partia chciałaby ściślejszego lockdownu, czy uważa ten kierunek za całkowicie błędny.

Ugrupowanie, które dostaje z kasy państwa prawie 20 mln zł rocznie, nie było w stanie stworzyć od wiosny własnego zespołu ekspertów, którzy umieliby kontrować rządowe działania i merytorycznie to uzasadniać. Chociaż wydaje się to ruchem tak oczywistym, że wpadłby na to średnio rozgarnięty licealista.

Mija już ponad miesiąc od czasu, gdy rząd pozamykał setki tysięcy polskich biznesów. Tarcza 6.0 może wejść w życie dopiero za kilka tygodni albo i jeszcze później, bo konieczna jest zgoda Komisji Europejskiej. PiS tymczasem w ostatnim możliwym terminie przegłosował podwyżki podatków, w tym zniesienie abolicji podatkowej dla pracujących za granicą oraz objęcie CIT-em spółek komandytowych. To już nie jest podanie PO jednej piłki. To zasypanie jej gradem piłek. I co? I nic.

Zamiast stać się poważnym trybunem dogorywających polskich przedsiębiorców, nawet – jeśli trzeba – jednocząc tu siły z Konfederacją, politycy Koalicji Obywatelskiej zajmują się głównie obroną „julek" spod znaku błyskawicy, uciekających przed policją na protestach Strajku Kobiet. Dziecinada to mało powiedziane.

Publicysta Stefan Sękowski napisał niedawno w „Nowej Konfederacji", że czas, by niezależna intelektualnie prawica oderwała się od Jarosława Kaczyńskiego. Mógłbym dodać apel, żeby niezależna intelektualnie opozycja oderwała się wreszcie od Platformy Obywatelskiej, której dramatyczne umysłowe wyjałowienie nie daje nadziei na poprawę. Z tej mąki chleba nie będzie. ©℗

eprasa.pl 223289eb43

Karykatura praworządności

Kamil Goral, ekspert Rady Gospodarczej Strefy Wolnego Słowa

Na naszych oczach dokonuje się kolejny etap rozkładu Unii Europejskiej. Nie boję użyć tak mocnego sformułowania, bo w moim przekonaniu oddaje ono smutną, ale jednak rzeczywistość. Niezbitym dowodem na ślepą uliczkę, w którą zabrnęła wspólnota, jest kuriozalne rozporządzenie ws. tzw. praworządności. Jego projekt przyjął komitet stałych przedstawicieli (COREPER) wspierający Radę UE w jej pracach i rekomendujący różne rozwiązania prawne, które następnie trafiają pod obrady tej instytucji. Sprzeciw wyraziły jedynie Polska i Węgry.

Celem rozporządzenia jest uzależnienie wypłaty funduszy unijnych od przestrzegania rzeczonej „praworządności" w państwach członkowskich. O tym, czy ten lub inny kraj należący do Unii jest praworządny, rozstrzygać mają inni członkowie wspólnoty większością kwalifikowaną. W związku z tym, że procedura ma charakter uznaniowy, a w samym projekcie rozporządzenia nie ma jasnych i bezwzględnych kryteriów oceny, odebranie pieniędzy będzie uzależnione nie od prawa, ale od polityki. To zaś oznacza, że środków będzie można pozbawić tego, kto w danym momencie wydaje się niewygodny i komu chce się zrobić krzywdę. Rząd, który nie płynie w głównym nurcie ideologicznym, może dostać taką karę, jeśli się nie dostosuje i nie zmieni swojej postawy. Nie ma dla tego dokumentu uzasadnienia traktatowego. Nie ma, bo być nie może z tego prostego powodu, że w samym Traktacie o Unii Europejskiej podobna procedura jest opisana i aby mogły z jej tytułu zostać nałożone sankcje, konieczna jest jednomyślność. Na jakiej zatem podstawie teraz rozporządzeniem, czyli aktem prawnym niższego rzędu, można przyjąć inną procedurę odnoszącą się do analogicznych kwestii, w której zawarta jest inna większość? To tak, jakby zmieniać jasno opisaną procedurę konstytucyjną np. ustawą. Zupełny absurd.

Nie da się zatem uzasadnić działań zmierzających do przyjęcia rozporządzenia, wskazując, że wszystko jest lege artis. Nie jest, to kpina z traktatów i karykatura praworządności. Jedyne, co się liczy, to wola polityczna podparta szantażem finansowym. Albo robicie, co chcemy, albo nie zobaczycie złamanego euro. Najpewniej i tak byśmy tych pieniędzy nie zobaczyli, bo jeśli rozporządzenie wejdzie w życie (a najpewniej wejdzie), to zaraz wypłata funduszy zostanie Polsce zablokowana. Trzeba przyznać, że na naszych oczach dzieje się coś niebywałego, coś, co nie miało precedensu w dotychczasowej historii integracji i co może tę integrację zupełnie zrujnować. Podważa bowiem zaufanie do prawa unijnego, niszczy szacunek do dawno ustalonych procedur i wskazuje, że we wspólnocie nie decyduje siła argumentu, ale argument siły. To o tyle bulwersujące, że do tego wszystkiego cała sytuacja ma miejsce w kontekście potężnego kryzysu i w środku globalnej pandemii. To musi budzić sprzeciw.

Polska stała się w Unii chłopcem do bicia i aby tę przemoc uzasadnić, dokonuje się gwałtu na fundamentach integracji europejskiej i na prawie będącym podstawą funkcjonowania wspólnoty. Aż strach pomyśleć, co będzie dalej…

www.radagospodarcza-sws.pl
www.fpg24.pl

Rada Gospodarcza STREFY WOLNEGO SŁOWA

ARTYKUŁ POWSTAŁ WE WSPÓŁPRACY Z RADĄ GOSPODARCZĄ STREFY WOLNEGO SŁOWA

eprasa.pl 223289eb43

TEST „DO RZECZY": SAMSUNG GALAXY NOTE 20 ULTRA 5G

Świetny olbrzymi wyświetlacz o wysokiej częstotliwości odświeżania, rewelacyjne tylne aparaty fotograficzne, zaskakująco dobra jakość dźwięku z głośników oraz funkcjonalne cyfrowe piórko S Pen – to największe zalety flagowca koreańskiego producenta.

W smukłej wodoszczelnej obudowie (IP 68), stworzonej z połączenia szkła z nierdzewną stalą, zatopiony jest 6,9-calowy wyświetlacz AMOLED o częstotliwości odświeżania wynoszącej aż 120 Hz, obsługujący standard HDR 10+. Rozdzielczość 3088 x 1440 (496 ppi), świetny kontrast, piękne barwy oraz bardzo wysoka maksymalna jasność robią niesamowite wrażenie. Taki ekran sprawia, że Note 20 Ultra 5G świetnie nadaje się nie tylko do oglądania filmów czy zdjęć, lecz także do spędzania wielu godzin na graniu w najnowsze, najbardziej wymagające produkcje. W zestawie znajdują się też bardzo dobre dokanałowe, przewodowe słuchawki AKG, choć wbudowane głośniczki grają na tyle przyzwoicie, że do oglądania filmów spokojnie wystarczą.

We wnętrzu azjatycki producent zainstalował procesor Exynos 990, 12 GB pamięci RAM oraz 256 GB pamięci na pliki. Teoretycznie nie jest to specyfikacja najwyższa z możliwych, ale wszystko działa płynnie. Testowany smartfon obsługuje jednocześnie dwie karty SIM lub kartę SIM oraz kartę pamięci microSD. Koreańczycy wyposażyli też swój flagowy model w ukryty pod ekranem ultradźwiękowy czytnik linii papilarnych (działa poprawnie, gdy palec jest suchy, gdy jest wilgotny, bywa z tym różnie) oraz w technologię rozpoznawania twarzy (działa o wiele lepiej, ale jest mniej bezpieczna).

Note 20 Ultra jest wyposażony w trzy obiektywy; podstawowy (108 MP, f/1.8), ultraszerokokątny (12 MP) oraz teleobiektyw (w tym modelu do dyspozycji jest m.in. ultrapowiększenie, czyli nawet 50-krotny zoom cyfrowy, który jednak szybciej sprawdzi się w rękach detektywa niż amatora zdjęć). Zdjęcia zrobione tylnymi aparatami są bardzo dobrej jakości. Nawet fotografie powstałe w gorszym świetle są ostre i jasne.

Całkiem niezły jest również aparat przedni przeznaczony do selfie. Note 20 Ultra 5G to także dobry wybór dla amatorów smartfonowych filmików. W przypadku tego modelu można nagrywać w 8K (24 kl./s), 4K (30 lub 60 kl./s) oraz w Full HD (30 lub 60 kl./s).

Każdy miłośnik note'ów doceni też najnowsze piórko S Pen, czyli rysik, za pomocą którego można robić notatki na ekranie, pisać SMS-y (w tym modelu idzie to na tyle sprawnie, że można zapomnieć, iż pisze się po wyświetlaczu), robić zdjęcia, edytować artykuły, a także zdalnie sterować smartfonem za pomocą gestów (np. żeby przełączać utwory w odtwarzaczu multimedialnym). Bateria o pojemności 4500 mAh powinna wystarczyć na jeden dzień przerwy bez potrzeby doładowywania. Testowany model oferuje też ładowanie zwrotne, czyli za pomocą Note 20 Ultra można doładować bezprzewodowe słuchawki lub inny smartfon.

Wady? Poza ultrawysoką ceną oraz wagą (208 g) w codziennym użytkowaniu bardzo przeszkadza mocno wysunięta wyspa z tylnymi aparatami. Ten brzydki garb z tyłu obudowy nie tylko sprawia, że telefon dziwnie wygląda, gdy leży na biurku, lecz także zwyczajnie przeszkadza w używaniu note'a jako zaawansowanego urządzenia do robienia notatek na ekranie. Jak na ultraflagowca model ten mógłby też oferować jeszcze szybsze ładowanie. Brakuje także klasycznego wyjścia słuchawkowego lub chociaż przejściówki z USB-C na minijacka 3,5 mm dołączanej w zestawie (można ją jednak dokupić). Mimo tych minusów Note 20 Ultra 5G to świetny prezent dla prezesa, fana zminiaturyzowanej konsoli Xbox oraz miłośnika cyfrowej fotografii. Cena: 5349 zł. ©℗

Jacek Przybylski

INTELIGENTNE OKULARY JUŻ W POLSCE

Dwa głośniki stereo, dwa mikrofony, obsługa dotykowa, do pięciu godzin odtwarzania. To – wbrew pozorom – nie pomyłka, ale początek specyfikacji nowego modelu okularów o nazwie Gentle Monster II. Druga edycja inteligentnych okularów firmy Huawei jest już dostępna w Polsce (pierwsza nie była w sprzedaży w sklepach nad Wisłą). Gadżet na pierwszy rzut oka nie przypomina nic „inteligentnego" – wygląda na klasyczne czarne przeciwsłoneczne. Po bezprzewodowym połączeniu ze smartfonem użytkownik „smart" okularów może słuchać muzyki oraz odbierać połączenia telefoniczne. Cienkie głośniki wbudowano w zauszniki. Specjalne zauszniki rozpoznają też gesty użytkownika, co pozwala na sterowanie smartfonem. Cena: 999 zł.

MIKROSKOPIJNY MIKROSKOP

Mimo że iMicro Q2 swoimi rozmiarami przypomina maleńki smartfonowy obiektyw, według producenta potrafi przybliżyć obraz nawet 800-krotnie. Ważące niecałe 50 g urządzenie za pomocą prostego systemu mocowania umieszcza się na... obiektywie smartfona (teoretycznie gadżet jest w stanie współpracować z każdym modelem). Według producenta zaletą tego modelu są też niewielkie zniekształcenia, porównywalne z tradycyjnymi mikroskopami biurkowymi.
Cena: 39 dol. kanadyjskich, czyli równowartość 112 zł. Producent zapowiada pierwsze dostawy na marzec przyszłego roku i teoretycznie jest gotów wysłać gadżet do każdego miejsca na świecie. ©℗ ***Jacek Przybylski***

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl 223289eb43

REKLAMA

ROAMER SUPERIOR CHRONO

SUPERIOR CHRONO to od kilku lat jeden z ulubionych modeli fanów szwajcarskiej marki ROAMER. Zegarek o klasycznym designie, wyposażony w wysokiej jakości szwajcarski mechanizm kwarcowy z funkcją stopera, gwarantujący dokładność i niezawodność.
Niedawno do kolekcji dołączyła wersja o bardziej wyrazistej kompozycji kolorystycznej. Zaczyna się niewinnie, stalowa koperta jest osadzona na brązowym skórzanym pasku o fakturze skóry krokodyla. Projektanci poszli jednak o krok dalej – do tej klasycznej, stonowanej bazy dodali lunetę w kolorze rose gold oraz giloszowaną dookoła tarczę w odcieniu głębokiego granatu. Dzięki temu mimo typowo sportowej funkcji, jaką jest stoper, zegarek nabiera niemałej dozy eleganckiego charakteru, stając się przez to całkiem uniwersalnym dodatkiem. Ukrycie pod mankietem koszuli nie będzie trudne, mimo średnicy 44 mm i funkcji stopera, ponieważ udało się osiągnąć niewielką grubość na poziomie 11 mm.
Tarczę zegarka chroni płaskie szafirowe szkło z powłoką antyrefleksyjną.

Innymi słowy, ROAMER SUPERIOR CHRONO to elegancki sposób na ukazanie podziwu dla wartości czasu.

Cena: 1590 zł 508837 41 85 05

REKLAMA

CO POLSKA I POLACY DALI ŚWIATU?

WKŁAD POLAKÓW DO ŚWIATOWEGO DZIEDZICTWA

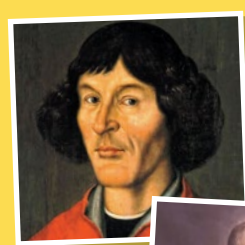

KSIĄŻKA DO KUPIENIA W: WWW.XLM.PL

PATRONAT MEDIALNY:

DO RZECZY

HISTORIA .ORG.PL

eprasa.pl 223289eb43

Łukasz Majchrzyk

Złota przyszłość

Po wygraniu turnieju French Open Iga Świątek może awansować do finansowej Ligi Mistrzów

Taki sukces w polskim sporcie nie zdarza się często. Wybitnych sportowców nie brakuje, ale często zdobywają medale w dyscyplinach o ograniczonym zasięgu i niedających światowej rozpoznawalności. Adama Małysza i Kamila Stocha podziwia się w Skandynawii i w austriackich oraz niemieckich Alpach. W Dolomitach wiedziano by o nich dużo więcej, gdyby jeździli na nartach, zamiast na nich skakać.

Siatkarzy kocha się nad Wisłą, szanuje w Rosji i we Włoszech oraz w Japonii, gdzie ostatnio grają coraz częściej. Jednak mimo wielkich sukcesów nie weszli na światowy olimp, bo siatkówka jest popularna tylko w niektórych krajach. Trochę większą popularnością cieszą się na świecie biegi narciarskie, gdzie wielkie triumfy święciła Justyna Kowalczyk, ale trudno sobie wyobrazić, żeby rozgrzewały wyobraźnię kibiców podzwrotnikowych.

Kogo jeszcze można by wymienić? Marcin Gortat u szczytu kariery był liczącym się zawodnikiem NBA, pojawiał się w programach amerykańskiej telewizji, jednak trudno go było porównywać z największymi gwiazdami najlepszej koszykarskiej ligi świata. Szansę na wielką karierę i zostanie gwiazdą światowego formatu miał Robert Kubica, ale wszystko przekreślił wypadek w rajdzie Ronde di Andora. Praktycznie gotowy kontrakt z zespołem Ferrari, który dawał szansę na walkę o mistrzostwo świata, nigdy nie wszedł w życie.

Wielkie kariery w sportach, które rozpalają wyobraźnię milionów kibiców na całym świecie, zrobiło w ostatnich latach tylko dwoje Polaków. Nasz futbol ma, wbrew logice i szarej rzeczywistości, Roberta Lewandowskiego – piłkarza, którego nazwisko znają kibice nawet w portowych barach, na najmniejszych wysepkach na Karaibach. Taką siłę ma piłka nożna. Lewandowski umie ten sukces znakomicie wykorzystać. Nie tylko jest gwiazdą Bayernu Monachium, lecz także podpisuje lukratywne kontrakty reklamowe, z markami o globalnym zasięgu.

FOT. JULIAN FINNEY/GETTY IMAGES

eprasa.pl 223289eb43

Ostatnio tygodnik „Der Spiegel" podał niepokojące informacje, że kapitan reprezentacji Polski mógł nie być do końca szczery w informacjach przekazywanych niemieckiemu fiskusowi. Sprawę dotyczącą wzajemnych rozliczeń skierował z kolei do sądu były menedżer zawodnika Cezary Kucharski. Nie zmienia to jednak faktu, że Lewandowski jest w finansowej elicie. Reklamuje telefonie komórkowe, a połączenia wykonuje oczywiście telefonami jednej określonej marki. Czasami wypije napój izotoniczny lub umyje włosy szamponem przeciwłupieżowym. Już kilka lat temu „Super Express" donosił, że minimalna stawka, za jaką kapitan reprezentacji Polski zgodzi się zagrać w reklamie, to milion złotych.

Ostatnie sezony były dla Lewandowskiego najlepsze w karierze. Wygrał Ligę Mistrzów, został królem strzelców tych rozgrywek (podobnie było w Bundeslidze), więc stawki powinny wzrosnąć. Już przed mistrzostwami świata w Rosji podpisał też kontrakt z mającą globalny zasięg agencją Lagerdere, która odpowiada za jego kontrakty reklamowe poza Polską.

SPORT Z WYŻSZEJ PÓŁKI

Podobne możliwości daje też tenis, który gwarantuje sportowcom najlepsze sceny i ma tę przewagę nad futbolem, że jest sportem indywidualnym. Zwycięstwo jest tutaj uzależnione od formy sportowca, z którym firma podpisuje kontrakt. Dyskontowaniu zysków sprzyjają też tenisowy kalendarz i jego cykliczność. Zwycięzcy turniejów Wielkiego Szlema, transmitowanych na całym świecie, stają na sportowo-marketingowym szczycie. Uśmiechają się z wielu billboardów, wyskakują z telewizorów, pojawiają na ekranach urządzeń mobilnych. Tutaj nie występują ograniczenia w szerokości i długości geograficznej. W tenisa gra się wszędzie, a do tego ta dyscyplina sportu budzi pozytywne skojarzenia z elegancją, luksusem, zdrowiem – to kultura wysoka wśród dyscyplin sportowych.

Jeszcze do niedawna polscy kibice zachwycali się występami Agnieszki Radwańskiej. W trakcie kariery Polka wygrała 14 turniejów z prestiżowego cyklu WTA Tour, była klasyfikowana na drugim miejscu w światowym rankingu, dotarła do finału turnieju na kortach Wimbledonu, ale ani razu nie zwyciężyła w Wielkim Szlemie. Zarobiła na kortach 27 mln dol. i podobnie jak Lewandowski na pewnym etapie kariery podpisała kontrakt z agencją Lagardere. Już dobrych kilka lat temu specjaliści od marketingu sportowego oceniali, że śmiało mogła sobie życzyć około miliona złotych za kampanię reklamową. Wtedy Lewandowski dopiero coraz mocniej rozpędzał swoją karierę.

Radwańska występowała w reklamach. Tenisistka ze ścisłej, światowej czołówki idealnie pasowała do promowania luksusowych produktów, więc nic dziwnego, że oficjalnie jeździła samochodami marki Lexus.

I tutaj historia polskiego tenisa zatacza koło. Radwańska zakończyła karierę, więc wygasł jej kontrakt z producentem aut. Życie nie znosi jednak próżni i na miejsce Radwańskiej już jakiś czas temu weszła Iga Świątek, jeszcze jako „tylko" zwyciężczyni juniorskiego Wimbledonu. Widać, jak bardzo zmienił się polski rynek marketingu sportowego. Widocznie opłacało się postawienie na Radwańską, skoro kandydatka na gwiazdę (w tamtym czasie) została uhonorowana prestiżowym kontraktem. Zainwestował w nią też Red Bull. Producent napoju energetycznego w trudnych koronawirusowych czasach podstawił dla jej ojca i siostry odrzutowiec, żeby mogli wspólnie z Igą świętować sukces w Paryżu.

Teraz przedstawiciele marki mogą sobie gratulować, bo wartość Igi Świątek wzrosła skokowo. Wystarczyło na to kilka dni. Jeszcze po zwycięstwie nad Rumunką Simoną Halep Grzegorz Kita, prezes Sport Management Polska, wyceniał wartość młodej polskiej tenisistki na 300 tys. zł za pojedynczą kampanię reklamową. Po zwycięstwie Świątek w finale zaznaczał, że dolna granica to 500 tys. zł, a nawet suma dwa razy wyższa byłaby możliwa do osiągnięcia. Z miejsca stała się rozpoznawalna – w końcu finał z jej udziałem oglądało ok. 2,5 mln widzów.

To dla wielu firm okazja, żeby podłączyć się do popularności tenisistki i na tym skorzystać. Adam Pawlukiewicz z firmy Pentagon Research powiedział „Przeglądowi Sportowemu", że współpracą ze Świątek zainteresowany jest koncern z polskim kapitałem, który ma możliwości promowania zawodniczki na całym świecie. Pojawia się kwota 6 mln zł do wydania w ciągu trzech lat.

Świątek, oprócz niewątpliwego sukcesu sportowego, ma też kilka innych atutów, które mogą być wyceniane wysoko na rynku reklamowym. Jest młoda i dlatego może być bardzo przekonująca dla konsumentów z najbardziej pożądanej przez marketingowców grupy wiekowej. Na korcie i poza nim jest naturalna, zachowuje się skromnie, dopiero niedawno zdała maturę. Podkreśliła to nawet w wymianie tweetów z Olgą Tokarczuk, która rok wcześniej została uhonorowana Literacką Nagrodą Nobla. Przyznała, że twórczości Tokarczuk jeszcze nie zna, ale teraz, po skończeniu szkoły, będzie miała czas, żeby to nadrobić.

TWARZ DLA MAREK

Zdaniem Kity nie musi się ograniczać do reklamowania produktów luksusowych (banków, zegarków, aut), ale może też stać się twarzą marek odzieżowych, kosmetycznych, a nawet muzycznych. Wiadomo, że muzyka nie jest jej obojętna. W mediach pojawiła się informacja, że Świątek lubi Pearl Jam i czeka na ich koncert, więc w razie czego zaangażowanie jej do tego typu kampanii wypadnie bardzo naturalnie. Ciekawe, jak sama zawodniczka i otaczający ją sztab ludzi podejdą do współpracy z agencjami marketingowymi. Radwańscy na początku byli bardzo nieufni, ale potem się przekonali do pomocy i chyba nie żałują tej decyzji.

Pozostaje jeszcze kwestia tego, jak sama zawodniczka i otaczający ją sztab ludzi wykorzystają olbrzymi sukces sportowy. Czy polska tenisistka nauczy się dobrej współpracy z mediami i jednocześnie zachowa naturalność? Na razie jest odcinana od dziennikarzy. Podczas turnieju wypowiadali się jej ojciec, trener Piotr Sierzputowski i psycholog Daria Abramowicz. To nie może jednak trwać wiecznie. Wygląda jednak na to, że zawodniczka ma być do takiego spotkania dobrze przygotowana i „sama" wybrać miejsce oraz czas.

Musi być też dobrze przygotowana od strony sportowej, bo jej wartość wzrośnie tylko w sytuacji kolejnych sukcesów. W przeciwnym razie zostanie uznana za meteor, który przeleciał przez światowy sport oraz biznes, a potem zniknął. Takich przykładów było wiele, ale patrząc na to, jak rozwija się kariera młodej Polki, można śmiało założyć, że będzie inaczej. Oby to była gwiazda, która będzie jasno świeciła przez wiele kolejnych lat.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl 223289eb43

Z prof. Mariuszem Bidzińskim, kierownikiem Kliniki Ginekologii Onkologicznej Narodowego Instytutu Onkologii
rozmawia Katarzyna Pinkosz

FOT. ADOBE STOCK

Trudny kobiecy nowotwór

KATARZYNA PINKOSZ: O raku piersi mówi się dużo, znacznie bardziej wstydliwe wydają się nowotwory ginekologiczne. Kobiety szczególnie obawiają się raka jajnika: często jest wykrywany już w postaci rozsianej, mimo że kobieta chodziła regularnie na badania. Nie można wykryć go wcześniej?

PROF. MARIUSZ BIDZIŃSKI: Nie ma badań profilaktycznych, które pozwoliłyby go wcześnie wykryć. Druga rzecz: może on powodować nietypowe objawy, często mylone z zaburzeniami w układzie trawiennym, np. wzdęcia, bóle brzucha. Nawet doświadczeni lekarze nieraz nie potrafią znaleźć właściwego tropu, a pacjentki przez wiele miesięcy mają prowadzoną daremną diagnostykę w kierunku zaburzeń przewodu pokarmowego. Potem okazuje się, że choroba ma zupełnie inne źródło. Około 70–75 proc. chorych trafia do lekarzy już w stadium zaawansowanym.

Są jednak markery, takie jak CA 125, test ROMA, są badania USG. Nie pomagają wcześniej zdiagnozować tego nowotworu?

Sprawdzano, czy przeprowadzanie badań, polegających na wykonywaniu USG dopochwowego, testu ROMA (bierze się pod uwagę dwa markery: HE-4 i CA 125 oraz statystyczne ryzyko zachorowania) przyniesie skutek w postaci wcześniejszego wykrywania nowotworu. Okazało się jednak, że nie, dlatego odstępuje się od tego typu profilaktyki. Poszukuje się nowych markerów we krwi, w płynach ustrojowych, na razie jednak bez skutku. Większe ryzyko zachorowania na raka jajnika mają kobiety z mutacjami w genach BRCA1, BRCA2 (ma je ok. 15 proc. kobiet): u nich połączenie tych dwóch metod (USG i test ROMA) daje większą szansę, że uda się chorobę wcześniej zdiagnozować. Jednak w tej grupie kobiet najlepszym działaniem profilaktycznym jest usunięcie przydatków po zakończeniu planów macierzyńskich.

W przypadku rozsianego raka jajnika wykonuje się na początku operację, by usunąć jak najwięcej zmian nowotworowych?

Zwykle tak, choć są to bardzo rozległe zabiegi, trwające wiele godzin. U części pacjentek nie jest to możliwe; u nich na początku stosuje się chemioterapię. Po trzech czy czterech jej kursach zwykle zmiany się zmniejszają, a wtedy można przeprowadzić operację. Jest ona wtedy bezpieczniejsza dla pacjentki.

Podczas operacji powinny zostać usunięte wszystkie widoczne zmiany nowotworowe. Jeśli pozostaną guzy powyżej 1 cm wielkości – a to się zdarza – to szansa na powodzenie późniejszego leczenia uzupełniającego jest znacznie mniejsza. Dlatego operacje powinny być przeprowadzane przez bardzo doświad-

eprasa.pl 223289eb43

czony zespół lekarzy, w którego skład wchodzą ginekolodzy onkologiczni, chirurdzy onkologiczni, a niekiedy także urolodzy.

Niestety, w 50–60 proc. przypadków w Polsce te bardzo trudne zabiegi są wykonywane w małych ośrodkach, gdzie nie ma takiego doświadczonego zespołu. Często operują ginekolodzy, którzy mają mniejszą biegłość w operacjach obejmujących śródbrzusze, nadbrzusze. Pozostaje część tkanki nowotworowej, dlatego efektywność jest zdecydowanie mniejsza. Przekłada się to na czas życia: po dobrze wykonanej operacji kobieta ma szansę żyć kilka lat dłużej.

Czy ginekolodzy nie wiedzą, że powinni kierować pacjentki do odpowiednich ośrodków? Czy takich miejsc jest po prostu za mało?

Powiem przewrotnie: w Polsce każda placówka liczy pieniądze. Jeśli te procedury są wycenione przez NFZ wyżej niż zwykła operacja ginekologiczna, to szpital jest bardzo zainteresowany, żeby je wykonywać. W naszym systemie ochrony zdrowia powinno się przyjąć pewne zasady, np. że skomplikowane zabiegi onkologiczne nie powinny być wykonywane w małych ośrodkach, które nie mają ani odpowiedniej kadry, ani doświadczenia. Inaczej pacjentka traci szanse na dłuższe życie, a jednocześnie system ochrony zdrowia traci pieniądze, bo późniejsze leczenie jest dużo droższe.

Pierwsza źle wykonana operacja będzie miała wpływ na całe późniejsze leczenie?

Gdy zaczynałem pracę w 1988 r., kobiety z rakiem jajnika przeżywały średnio dwa–trzy lata. Dzisiaj niektóre żyją 10–15 lat; oczywiście często przechodzą kolejne serie leczenia, jednak – żyją. W onkologii dokonuje się ogromny postęp. Podstawą jest jednak fachowość. Mam specjalizację z onkologii i ginekologii oraz położnictwa, jednak zajmuję się onkologią. Gdyby kobieta chciała u mnie rodzić, to odmówiłbym, bo z równym powodzeniem mogłaby urodzić dziecko z pomocą np. okulisty. Dlatego z drugiej strony oczekiwałbym, żeby ginekolodzy położnicy tylko w ograniczonym stopniu zajmowali się onkologią. Istotną wartością jest również kompleksowa diagnostyka wstępna guzów jajnika, którą wykonują specjaliści w dużych ośrodkach.

W onkologii jest reguła, że pierwszego błędu już się nie poprawi. Dlatego leczenie trzeba od początku planować profesjonalnie. Na świecie ten system został już wypracowany i przynosi spektakularne efekty. W najlepszych amerykańskich ośrodkach pięcioletnie przeżycia chorych z rozsianym rakiem jajnika to ok. 75 proc. W Polce: 30–40 proc. To pokazuje, jak bardzo opłaca się tworzyć ośrodki leczenia, podobnie jak w raku piersi Breast Cancer Unity.

Szanse pacjentek zmieniły się również dzięki nowoczesnemu leczeniu.

Przełomowymi lekami są obecnie inhibitory enzymu PARP, które pojawiły się kilka lat temu. Potrafią one doprowadzić do śmierci komórek nowotworowych. W Polsce od kilku lat funkcjonuje program leczenia jednym z inhibitorów PARP: olaparibem – u pacjentek, które mają mutacje w genach BRCA1, 2. W wielu przypadkach takie leczenie o wiele miesięcy opóźnia wystąpienie kolejnych epizodów choroby.

Jednak tylko 30 proc. pacjentek ma mutacje w genach BRCA1, 2. A co z pozostałymi chorymi?

Obecnie toczą się rozmowy, by można było zastosować u nich inną cząsteczkę: niraparib, którego skuteczność została udowodniona również u pacjentek, które nie mają mutacji w genach BRCA1, 2. Ich rokowanie jest lepsze niż pacjentek, które nie otrzymywały takiego leczenia. Do tej pory nie miały one szans na terapię podtrzymującą. Gdyby ten lek udało się udostępnić, to również kobiety bez mutacji miałyby szansę na dostęp do leków, które w raku jajnika mają udowodnioną skuteczność.

Czy to prawda, że część kobiet nie jest dziś leczona, bo nawet nie wie, czy ma mutację BRCA1, 2, ponieważ nie wykonano u nich takiego badania?

Niestety to prawda. W Polsce tylko ok. 30 proc. kobiet ma obecnie wykonywane badania w kierunku obecności mutacji. Aż 70 proc. nie ma takich badań. Z różnych względów: np. szpital nie podpisał umowy z placówką wykonującą badanie, ktoś zapomniał zrobić badanie... Z tego względu nowy lek byłby ciekawą opcją, ponieważ mogłaby go otrzymać każda pacjentka, bez względu na to, czy ma mutację, czy nie. Z drugiej strony badania w kierunku obecności mutacji powinny być wykonywane. Ważne, żeby o takiej możliwości wiedziały też pacjentki: to także będzie pewnego rodzaju nacisk na lekarzy, by wykonywali badania.

Obecnie inhibitory PARP są stosowane w nawrocie choroby. To znaczy: choroba powraca, podajemy chemioterapię, jeśli będzie ona efektywna (to znaczy choroba cofnie się, markery nowotworowe spadną do wartości prawidłowych, zmiany nowotworowe w obrazie tomografii komputerowej zmniejszą się lub w ogóle nie będą widoczne), to w celu podtrzymania remisji choroby podajemy inhibitory PARP. Jak wspominałem, w Polsce na razie takie leczenie jest dostępne tylko dla chorych mających mutacje w genach BRCA1, BRCA2.

Jak mówiłem, w onkologii dokonuje się ogromny postęp. Nowe badania kliniczne (SOLO1 i PRIMA) wykazały, że inhibitory PARP można stosować również w pierwszej linii leczenia (czyli po pierwszej chemioterapii); dzięki czemu czas remisji choroby będzie dłuższy. Są również prowadzone badania kliniczne nad kilkoma cząsteczkami z zakresu immunoterapii. Na pewno będzie więc coraz więcej możliwych opcji terapii, jednak główną zasadą jest to, że pacjentka musi być pod opieką ośrodka kompleksowego leczenia raka jajnika i lekarzy, którzy mają doświadczenie w jego leczeniu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

W onkologii jest reguła, że pierwszego błędu już się nie poprawi. Dlatego leczenie trzeba od początku planować profesjonalnie. W najlepszych amerykańskich ośrodkach pięcioletnie przeżycia chorych z rozsianym rakiem jajnika to ok. 75 proc. W Polsce: 30–40 proc. To pokazuje, jak bardzo opłaca się tworzyć ośrodki leczenia, podobnie jak w raku piersi Breast Cancer Unity

prof. dr hab. n. med. Mariusz Bidziński
– ginekolog, onkolog, kierownik Kliniki Ginekologii Onkologicznej Narodowego Instytutu Onkologii.

eprasa.pl 223289eb43

Liczy się czas

FOT. ADOBE STOCK

W każdym nowotworze czas ma kluczowe znaczenie. W ostrych białaczkach szczególnie, bo potrafią one zabić w ciągu kilku tygodni. Podejmując właściwe leczenie na odpowiednio wczesnym etapie choroby, zwiększamy szanse na całkowite wyleczenie

Ostra białaczka limfoblastyczna to u dzieci najczęstszy nowotwór, ale u dorosłych choroba rzadka – zachorowalność to zaledwie ok. 1 osoba na 100 tys. Trudno przegapić jej objawy, jednak te początkowe, łagodne symptomy bywają mylone z grypą czy nawet ze zwykłym przeziębieniem, dlatego nie są rzadkością przypadki, kiedy odpowiednie leczenie podejmowane jest po kilku tygodniach od pierwszej wizyty w gabinecie lekarskim. A czas ma tu kluczowe znaczenie.

– Ostra białaczka limfoblastyczna potrafi zabić – i mówię to z pełną świadomością mocy i dobitności tego słowa – w kilka tygodni. Dlatego czas jest tu niezwykle cenny. Właściwe leczenie trzeba podjąć jak najszybciej – mówi Katarzyna Lisowska, liderka Stowarzyszenia Hematoonkologiczni i przedstawicielka Grupy Wsparcia Chorych na Nowotwory Mieloproliferacyjne.

NA POCZĄTKU JAK GRYPA

U chorych na ostrą białaczkę limfoblastyczną dochodzi do zaburzenia procesu produkcji limfocytów. Organizm wytwarza dużą liczbę nieprawidłowych, niedojrzałych komórek, tzw. limfoblastów. Nie są one zdolne do pełnienia swoich funkcji, co skutkuje utratą odporności. Oprócz tego komórki białaczkowe „wypierają" ze szpiku wszystko, co powinno być w nim produkowane, m.in. czerwone krwinki, płytki krwi, granulocyty. Limfoblasty gromadzą się głównie w szpiku kostnym i krwi obwodowej, mogą jednak pojawiać się w węzłach chłonnych, rdzeniu kręgowym czy mózgu.

Początkowe symptomy ostrej białaczki limfoblastycznej mogą być bagatelizowane. Pierwsza grupa objawów związana jest z utratą odporności. Są to gorączki bez istotnej przyczyny, zapalenia gardła, płuc czy zmiany bakteryjne bądź grzybicze w jamie ustnej. Druga grupa spowodowana jest niedokrwistością, która przejawiać się może osłabieniem, zawrotami głowy, omdleniami, dusznościami, zaburzeniami koncentracji. Trzecia grupa objawów jest związana ze skazą krwotoczną. Są to wszelkiego typu krwawienia: od drobnych, śluzówkowych aż do groźnych krwawień, np. do ośrodkowego układu nerwowego, przewodu pokarmowego. Często występują powiększenie węzłów chłonnych lub śledziony oraz bóle kostne.

SZYBKI ROZWÓJ

W przypadku ostrej białaczki limfoblastycznej cenna jest każda godzina. – Jest to jeden z najszybciej postępujących nowotworów, dlatego przyjmuje się, że dobrym standardem jest postawienie

eprasa.pl 223289eb43

ostatecznego rozpoznania i rozpoczęcie leczenia w zaledwie kilka dni od pierwszych objawów pojawiających się u chorego – mówi dr hab. med. Anna Czyż, hematolog, transplantolog z Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu. – Każdy dzień to niemal podwojenie się masy nowotworu. Wczesne rozpoczęcie leczenia jest zatem bardzo ważne, aby uniknąć powikłań, które się pojawiają wraz z rozwojem choroby – dodaje.

Leczenie podzielone jest na kilka faz. Najpierw, w trakcie tzw. przedleczenia, podaje się steroidy, co pozwala zmniejszyć masę nowotworu. Następnie rozpoczyna się czterotygodniowa faza leczenia indukującego remisję, której celem jest uzyskanie całkowitej remisji, co oznacza normalizację morfologii krwi chorego i zniknięcie blastów ze szpiku (odsetek blastów poniżej 5 proc.). Oprócz tradycyjnej chemioterapii wykorzystuje się w tej fazie u części chorych także przeciwciała monoklonalne. Jeśli chory uzyska całkowitą remisję, to zaczyna się faza konsolidacji, której ważnym elementem jest określenie tzw. mierzalnej choroby resztkowej i jej całkowite zwalczenie. Docelowo znaczna część chorych leczona jest za pomocą transplantacji allogenicznych komórek krwiotwórczych, czyli w uproszczeniu za pomocą przeszczepienia szpiku od dawcy. To jest zakończenie pierwszej intensywnej fazy leczenia, po której następuje monitorowanie mierzalnej (inaczej minimalnej) choroby resztkowej. Jeśli jest ona dodatnia, wówczas wprowadza się leczenie wyprzedzające wznowę choroby.

– Choroba jest dziś wyleczalna. W populacji chorych w wieku do 65 lat, których możemy poddać transplantacji szpiku, mamy szansę wyleczyć ponad połowę pacjentów, dlatego tak ważna jest możliwość jej wykonania – mówi dr hab. med. Anna Czyż.

Żeby jednak móc przeprowadzić transplantację szpiku, konieczna jest remisja choroby. Nie zawsze udaje się to osiągnąć dzięki chemioterapii. Pomocne są nowoczesne leki, tzw. przeciwciała monoklonalne, których zastosowanie może być pewnego rodzaju „pomostem" do transplantacji szpiku. – Są dwa tego typu leki; blinatumomab jest dostępny we wskazaniu wznowy lub oporności na chemioterapię, natomiast oczekujemy na dostępność tego przeciwciała do leczenia chorych w remisji, u których stwierdza się dodatnią minimalną chorobę resztkową celem lepszego przygotowania chorych do allotransplantacji. Oczekujemy także na refundację drugiego leku: inotuzumabu ozogamycyny, ponieważ nie ma w tej chwili ustalonej ścieżki refundacji tego przeciwciała – mówi dr hab. med. Anna Czyż. Blinatumomab to tzw. przeciwciało bispecyficzne, które jednocześnie wiąże się z komórką nowotworową i komórką układu odporności (z limfocytem T). W ten sposób blinatumomab bezpośrednio angażuje komórki układu odporności chorego w niszczenie komórek białaczkowych. Natomiast inotuzumab ozogamycyny to przeciwciało połączone z toksyną komórkową. Związanie inotuzumabu z komórką nowotworową umożliwia wprowadzenie do jej wnętrza tej toksyny.

Obydwa innowacyjne leki są bardzo skuteczne, przeznaczone jednak dla nieco innych grup pacjentów; są w stanie przełamać oporność na chemioterapię i stanowić „pomost" do przeszczepienia szpiku. Inotuzumab ozogamycyny byłby szansą również dla tych chorych, którzy nie odpowiadają na leczenie blinatumomabem. Warto dodać, że wysoką skuteczność i bezpieczeństwo blinatumomabu wykazano także w zwalczaniu dodatniej minimalnej choroby resztkowej po leczeniu indukującym remisję, co jest dodatkowym zarejestrowanym wskazaniem do stosowania tego leku.

dr n. med. Jakub Gierczyński – MBA ekspert systemu ochrony zdrowia

Ostra białaczka limfoblastyczna jest chorobą rzadką. Bez odpowiedniego leczenia czas przeżycia nie przekracza kilku miesięcy. Celem leczenia jest doprowadzenie jak największego odsetka chorych do przeszczepu komórek krwiotwórczych, jako opcji umożliwiającej wyleczenie chorego.

W optymalnym modelu opieki chorzy na ostrą białaczkę limfoblastyczną będą leczeni w ośrodkach hematologicznych zrzeszonych w Krajowej Sieci Hematologicznej koordynowanej przez Instytut Hematologii i Transfuzjologii. Będą mieli dostęp do leków zawartych w Zaleceniach Polskiego Towarzystwa Hematologów i Transfuzjologów (PALG). Nowe zalecane przez PALG metody leczenia to: blinatumomab (refundowany od 1 lipca 2019 r.), ponatynib (refundowany od 1 września 2020 r.) oraz nierefundowane leki sieroce: inotuzumab ozogamycyny (zarejestrowany w Unii Europejskiej 29 czerwca 2017 r.) i CAR-T – tisagenlecleucel.

Pandemia koronawirusa wzmacnia argumenty za refundacją inotuzumabu ozogamycyny, jako leku skutecznego w monoterapii, pozwalającego na podawanie w jednogodzinnym wlewie w warunkach domowych oraz zmniejszającego potrzebę hospitalizacji. Podanie inotuzumabu ozogamycyny wiąże się średnio z 7,6 dnia hospitalizacji na każdy miesiąc leczenia, natomiast w przypadku pacjentów leczonych standardową chemioterapią wynosi 18,4 dnia w miesiącu. W pozytywnej Rekomendacji nr 67/2019 z dnia 6 sierpnia 2019 r. prezes Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji, biorąc pod uwagę stanowisko Rady Przejrzystości, dostępne dowody naukowe, wytyczne kliniczne, rekomenduje pozytywnie finansowanie ze środków publicznych inotuzumabu ozogamycyny w terapii opornej i nawrotowej ostrej białaczki limfoblastycznej w ramach programu lekowego pod warunkiem zaproponowania instrumentu dzielenia ryzyka opartego na wynikach zdrowotnych oraz obniżającego koszt stosowania wnioskowanej terapii.

W Polsce rocznie stwierdza się ok. 150 nowych rozpoznań ostrej białaczki limfoblastycznej bez chromosomu Philadelphia. U większości, za pomocą dostępnych metod, chemioterapii i transplantacji, udaje się doprowadzić do remisji, a u ok. 50 proc. – do wyleczenia. U kilkudziesięciu pozostałych chorych celowe byłoby podawanie bardziej zaawansowanych leków, np. blinatumomabu czy inotuzumabu ozogamycyny.

20 ZŁ MOŻE URATOWAĆ ŻYCIE

Ostra białaczka limfoblastyczna jest jedną z tych chorób, które można wykryć, zanim pojawią się objawy. Do postawienia wstępnej diagnozy wystarczy prosta morfologia krwi. W Skandynawii 40 proc. białaczek udaje się wychwycić właśnie dzięki regularnie wykonywanej morfologii. W Polsce są to tylko… 2 proc.

– Stowarzyszenia Hematoonkologiczni od lat apeluje, by co roku wykonywać morfologię. Za 20 zł możemy uratować życie – mówi Katarzyna Lisowska.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Mateusz Woźniak, współprac. RW

eprasa.pl 223289eb43

JACEK KOMUDA

PRZEWODNIK TURYSTYCZNY PO I RZECZYPOSPOLITEJ

Wielki przegon

W kreślonych dzisiejszym piórem krajobrazach dawnej Rzeczypospolitej jest coś, czego nie potrafimy sobie wyobrazić. Mowa o ogromnych, nieprzeliczonych stadach bydła pędzonych ze wschodu na zachód; o przegonach liczących tysiące kilometrów, posuwających się niekończącymi korowodami w stronę Wielkiej Polski oraz Małej Polski i przypominających klimaty rodem z amerykańskiego Dzikiego Zachodu. Z południa na północ, wielkimi rzekami i ich dopływami spławiano tratwy ze zbożem, z drewnem, potażem i innymi płodami ziemi. Natomiast traktami do Wrocławia, Frankfurtu, Berlina pędzono nieprzeliczone stada wołów. Z Ukrainy do Amsterdamu albo Paryża. Z Podola pod Wrocław lub Opole. Trudniła się tym wyspecjalizowana społeczność wolarzy zwanych chajdajami, nierzadko wywodzących się z drobnej szlachty. Przez większość życia byli w drodze; pędzili bydło przez długie miesiące, gdyż woły musiały po drodze odpoczywać na wynajętych pastwiskach, aby nie opadły z sił. Ich przegony trwały zwykle od kilku miesięcy do półtora roku.

Jak wyglądało bydło? Zapomnijmy o dzisiejszych czarno-białych krowach rasy holenderskiej, czyli nizinnej. W dawnej Polsce, nad Wisłą hodowano tzw. bydło czerwone, krótkorogie. Natomiast na Ukrainie i w Mołdawii wypasano stepowe, przeważnie płowej lub szarej maści. Dostarczało ono wiele mięsa i było podstawowym towarem eksportowym z tych terenów. Wschodnie, naddnieprzańskie prowincje Rzeczypospolitej nie miały bowiem otwartych dróg do spławiania zbóż. Dniepr, przegrodzony porohami i niebezpieczny, uniemożliwiał wysyłanie tędy nadwyżek pszenicy, w przeciwieństwie do Wisły. Dlatego powszechnie hodowano

FOT. DOMENA PUBLICZNA

woły, które przepędzano na zachód. Dokładnie taką właśnie gospodarkę prowadził znany banita Zborowski ścięty w Krakowie w 1584 r. W „Uwięzieniu Samuela Zborowskiego" czytamy, że pojechał do Lwowa „dla wołów pokupienia w Wołoszech z Izraelem", rozmawiał także w sprawie „spustu zboża do Gdańska z Angielczykiem". W tej krótkiej notatce wymieniono zatem dwa filary bogactwa szlachty – spław zbóż na północ i przepędzanie wołów na zachód.

Istniało kilka sposobów prowadzenia interesów bydlęcych. Albo przegon długi, aczkolwiek ryzykowny, albo krótki, przynoszący mniejsze zyski, ale mniej narażający na straty. Jak podaje Bohdan Baranowski, często stada dwu–trzyletnich wołów z Ukrainy przeganiane były nad Wisłę i tam sprzedawane chłopom oraz szlachcie do majątków. Tutaj brano je do pługa i pracy na roli, w czasie której nabierały mięśni i przybierały na wadze. Dopiero po kilku latach, a czasem nawet 10 sprzedawano je dalej na zachód, łącząc w stada docierające do Brzegu, Magdeburga i innych miast, gdzie znajdowały się ogromne targi bydlęce.

Chajdaje stanowili, podobnie jak flisacy, odrębną grupę zawodową, wolną, spędzającą większość czasu poza domem. Z akt sądowych wiemy, jak wyglądały prowadzone przez nich przegony bydła. Zwykle przejmowali woły kupowane na Ukrainie – w Putywlu, Łubniach, Połtawie, Kaniowie, Berdyczowie. Następnie ustalali z kupcem – pracodawcą – dokąd i na kiedy mają dostarczyć stado. Zwykle wyruszali w końcu marca, żeby w drodze bydło mogło pożywiać się świeżą trawą.

Wolarze zabierali ze sobą wóz z zapasami żywności, ciekawe, że kowboje mieli także konie służące do zaganiania wołów i poszukiwania tych zwierząt, które mogły ujść ze stada. Od kupca dostawali dokładny opis trasy z miejscami, w których mogli zatrzymać się na popas.

Przegony bywały niebezpieczne i nieraz kończyły się awanturami. Woły idące przez miasteczka i wsie mogły dokonać nielichych szkód. Mogli przejąć je rabusie albo zrabować chorągwie wojskowe. Wolarze zresztą także bywali nie w ciemię bici. Po drodze sprzedawali lub bili ranne bądź kulawe sztuki, potrafili – jak podaje Baranowski – doskonale kraść bydło, zmieniać jego oblicze, spiłowując rogi, farbując sierść, przerabiając piętna, aby nie poznał go właściciel. Wolarze narażeni byli także na ogromne niebezpieczeństwa, zwłaszcza gdy stado wpadło w popłoch albo tratowało się w wąskim przejściu.

Po dotarciu na miejsce bydło przekazywano w ręce niemieckich albo śląskich poganiaczy, odbierano zapłatę od kupca lub szlachcica, sprzedawano konie, po czym kompania pieszo lub na jednym wózku wracała do domów, aby następnej wiosny rozpocząć kolejny przegon. Chajdaje byli zróżnicowanym towarzystwem. Bohdan Baranowski odnalazł wśród nich szlachcica – Franciszka Szpakowskiego. Był Rusin, Piotr Semenko z Wołynia, który uciekł z rodzinnej wsi. Chłopi z Polesia, Polacy, Kozacy, Ślązacy, Żydzi i Niemcy. Wszyscy woleli przygodę na gościńcu niż zginanie karku na roli lub siedzenie w domu. ©℗

eprasa.pl 223289eb43

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZAPRASZAMY NA KONCERT

PREMIERA W NIEDZIELĘ, 13 GRUDNIA OD GODZINY 17 NA STRONIE GINTROWSKI.PL

MECENASI KONCERTU:

PGNiG ORLEN Enea

PARTNERZY:

PPL centrum historii zajezdnia INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

PARTNER WSPIERAJĄCY:

WARS

eprasa.pl 223289eb43

ZUPA I DESER BOGDANA FABIAŃSKIEGO

Uwielbiam zupy. Dla mnie zupa, która zawiera w sobie dużo różnych składników, jest najbardziej pożywna i najlepsza. Jedną z ulubionych, które robię najczęściej, jest ogórkowa. Śmieję się, że jest to trochę taka wojskowa ogórkowa. Jest bardzo pożywna, dodaję sporo golonki z indyka i – co najważniejsze – dużo warzyw.

Jeśli chodzi o desery, to jeden z moich ulubionych robi się bez dodatku cukru. Cała słodycz jest w owocach. Nie wymaga też pieczenia. Jest szybki w przygotowaniu i pyszny.

Składniki:

Zupa:
- golonka z indyka
- włoszczyzna
- ogórki kiszone
- kozieradka
- sól, pieprz

Deser:
- banany
- kakao
- jogurt grecki
- ulubione owoce (najlepiej sezonowe)

Przygotowanie:

Zupa:

Golonkę z indyka gotuję jak na rosół. Dodaję sól, pieprz i kozieradkę, która jest tu wartościowym dodatkiem. Kiedy golonka odchodzi od kości, wyjmuję ją i po przestudzeniu kroję w plastry, a później do garnka dodaję włoszczyznę (dość sporo, którą później także kroję w paski) i pokrojone ziemniaki. Do tego oczywiście starte lub zmiksowane ogórki kiszone. Gotujemy wszystko razem, przyprawiamy do smaku.

Deser:

2–3 banany miksuję z łyżeczką kakao na masę przypominającą masę budyniową. Przekładam do pucharków, na to daję łyżeczkę jogurtu greckiego, a na jogurt zmiksowane owoce. Najlepsze są sezonowe – np. truskawki bądź maliny. Gotowe! Smacznego! ©℗

oprac. raw

Bogdan Fabiański jest dziennikarzem muzycznym, prezenterem radiowym i telewizyjnym.

FOT. ARCHIWUM BOGDANA FABIAŃSKIEGO

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

W łóżku z wrogiem

Jakiś czas temu na prośbę koleżanki przyjęłam u siebie prezentację odkurzacza. Już wcześniej słyszałam o tym cudotwórczym sprzęcie i fundamentalnej przemianie, którą powoduje w każdym domu. Na odkurzacz show przybył sympatyczny młody człowiek i natychmiast pokrył podłogę salonu gamą akcesoriów (gdzie bym to wszystko miała trzymać, zastanawiałam się), po czym rozpoczął opowieść. Słuchałam jej, między nami mówiąc, niezbyt uważnie.

W pewnym momencie pan zawiesił głos i oświadczył, że teraz przejdziemy do części praktycznej. (Pomna, że do tego może dojść, wcześniej odkurzyłam mieszkanie, wprawdzie tylko starym zelmerem, ale jednak).

– Pozwoli pani, że odkurzę materac? – zapytał uprzejmie, mocnym ramieniem chwycił korpus maszyny i udał się w stronę sypialni. Podążyłam za nim, zastanawiając się w popłochu, czy materace nadają się do pokazywania. Nawet gdyby miało dojść do kompromitacji i tak byłoby za późno.

Ssąca rurka zaczęła wędrówkę po powierzchni naszego łoża. W miarę jak się posuwała, brzuch odkurzacza wypełniał się białoszarą masą, a moje oczy robiły się coraz bardziej okrągłe z przerażenia.

– Widzi pani? – odrzekł triumfalnie operator sprzętu. – To wszystko siedzi w państwa łóżku i wy z tym śpicie. Roztocza. W łóżku z czymś takim, wyobraża sobie pani? Alergie, proszę pani, astma, choroby płuc...

FOT. ADOBE STOCK

I żeby dobić mnie ostatnim sztychem, wyciągnął z teczki dużą fotografię potwora z czułkami i odnóżami. – Tak to wygląda. No, ale można się tego pozbyć, jak się ma porządny odkurzacz.

Żeby skrócić historię, wyjaśnię, że nie kupiłam maszyny, która miała nas uwolnić od dzielenia łoża z milionami niewidzialnych, lecz groźnych stworzeń. Firma zajmująca się dystrybucją tego sprzętu w międzyczasie jakoś przycichła na rynku.

Problem powrócił jednak w nowej odsłonie.

Inne czasy, inny sprzęt, technika perswazji ta sama. „Ile naprawdę wiemy o osobnikach, z którymi dzielimy łóżko?" – zapytuje mnie otrzymana właśnie reklama odkurzacza nowej generacji.

Nic nie wiem. A powinnam, bo sprawa jest poważna: „Wobec możliwości ponownego lockdownu mikrobiolodzy wzywają do utrzymywania domów w stanie wolnym od kurzu, którego przybywa w sezonie rozkwitu roztoczy. Te mikroskopijne pajęczaki i ich odchody są najistotniejszym czynnikiem w skali światowej wywołującym choroby alergiczne".

No proszę. Wciąż śpię w łóżku z wrogiem, nic o tym nie wiedząc. I czuję się, co gorsza, całkiem nieźle. ©℗

eprasa.pl 223289eb43

eprasa.pl 223289eb43

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Co w trawie piszczy

Niedawno niejaki Jaś Kapela poinformował świat, że ma psa i stara się uczynić z niego weganina. Wiele osób pukało się przy tej okazji w głowę. Moim zdaniem wysiłki Kapeli nie są zupełnie pozbawione sensu. Z moich doświadczeń jako psiarza wynika bowiem, że pies zeżre absolutnie wszystko. Warzywa również.

Mój psiak ma cztery miesiące i wciąga wszystko. Nauczyłem się już, że nie można pozostawiać przy nim żadnego jedzenia, choćby nie wiem jak absurdalnego z punktu widzenia psa. Niedawno odszedłem na chwilę od stołu, na którym zostawiłem śledzie pod warzywną pierzynką, a kiedy wróciłem, śledzi już nie było, bydlak zaś próbował wypić ze szklanki cydr.

To, że psy lubią podjeść, to jednak żadna nowina. W końcu dlatego udało się nam je udomowić. Natomiast pewnym zaskoczeniem było dla mnie to, co ludzie w miastach wyrzucają na trawniki. Kiedyś oburzały mnie wyłącznie nieposprzątane psie kupy, dziś oburzają mnie kulinarne pułapki zastawiane na poczciwe sierściuchy.

Zacznijmy od chleba. Chleb, bułki, pieczywo tostowe – to wszystko zalega na trawnikach w wielkich ilościach, bo istnieje spora grupa ludzi, którzy w ten sposób dokarmiają ptaki. Podobno nie należy tego robić, bo to dla dziobatych niezdrowe, i trzeba im sypać ziarno, ale do ptakolubnych to nie dociera. Sądząc po moich ciągłych potyczkach z psem, jakieś 30 proc. wyrobów piekarni ląduje na trawnikach. Nie miałem o tym pojęcia!

Ale chleb to pikuś. Dość często, a nawet – co tu dużo gadać – całkiem często znajdujemy w trawie całe obiady. Kotlety, ziemniaczki, surówki. Co tam akurat w domu było. Nurtuje mnie, w jaki sposób to się bierze na ziemi pod blokiem. Oczywiście ktoś to wywala przez okno. Ale dlaczego? Mamusia ugotowała niedobry obiad i syn boi się to głośno powiedzieć? Goście nie przyszli na proszoną kolację? Roztargniony ojciec zamówił przez aplikację 20 dań zamiast dwóch? Fascynujące zjawisko.

Ale nie tak jak kurze łapki. Mój pies zwęszył raz furę najwstrętniejszych na świecie kurzych łapek. Było ich ze 40 i formowały się elegancko w swego rodzaju górę czy kupę. Leżały ot, tak na chodniku. Komuś wypadły z kieszeni? Uciekły z kuchni, odnajdując w sobie resztki życia, co się kurom zdarza? Zostały zrzucone przez wrogów, jak stonka ziemniaczana? Nie wiem, a dalibóg chciałbym wiedzieć. To musi być kapitalna historia, skoro doprowadziła do powstania składowiska kurzych łapek w centrum Warszawy.

Ale na trawnikach pojawiają się i towary bardziej luksusowe. Oto ledwie kilka dni temu mój Loki wytropił solidny kawał łososia, który w sklepie musiał kosztować dobre parę złotych. Czyżby ktoś w antyrybiej furii wyrzucił go z balkonu? Nie wiem. Wiem natomiast, że kiedy następnym razem będę mojemu psu wyciągał z pyska kawior, to w ogóle się nie zdziwię. ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Logika parytetowa

Jest coś wręcz poetyckiego w uporze, z którym Sylwia Spurek (a wraz z nią część liberalnej lewicy) z jednej strony lansuje „prokobiecą" agendę parytetową, a z drugiej robi wszystko, aby tej idei w praktyce zaprzeczyć. Przykład? Kilka dni temu Senat powołał Radę Gospodarczą, czyli zespół doradców – głównie przedsiębiorców – działających przy marszałku Senatu. Uwagę internautów, ale także europosłanki, przykuło to, że w owym gronie znaleźli się sami mężczyźni. „Budzisz się i masz nadzieję, że chociaż Senat rozumie, czym są wartości Unii Europejskiej, równość, różnorodność, zwiększanie udziału kobiet w życiu publicznym, a to tylko sen... Panie Marszałku Grodzki, proszę nie iść tą drogą i zaprosić do rady 50 proc. kobiet!" – napisała na Twitterze Spurek. W podobnym tonie na granicy przebudzenia za parytetami argumentowała również w sierpniu ubiegłego roku. „Miałam sen. PKW publikuje listy opozycji do Sejmu, a tam i na jedynkach, i na listach jest parytet płci i »suwak«; kobiety otrzymały 50 proc. miejsc gwarantujących mandat; w 50 proc. kluczowych okręgów senackich startują kobiety. Niemożliwe?!" – pytała, opatrując komentarz hashtagiem „#thefutureisforfeminists" („przyszłość jest dla feministek").

Wszystko byłoby, jak Simone de Beauvoir przykazała – równość i wolność jak od linijki – gdyby nie to, że gdzieś pomiędzy tymi komentarzami Sylwia Spurek pokazała, jak wygląda wizja parytetów w jej wydaniu. Latem tego roku wybrała bowiem grono swoich doradców, a właściwie doradczyń – bo zespół działający przy członkini partii Zielonych składał się w 100 proc. z kobiet. Nie było w nim różnorodności pod względem płci, etniczności, koloru skóry. Do składu nie dostał się nawet jeden mężczyzna. O ten tajemniczy brak „diversity" zapytałem samą zainteresowaną. „Prawie 200 aplikacji, 4 wymagające etapy rekrutacji. Wybrałam najbardziej kompetentne osoby, kobiety, które chcą ze mną zmieniać świat" – usłyszałem. Postanowiłem jednak drążyć, dopytując o szerszy wymiar ustalonego klucza, zastanawiając się, czy analogiczny model – wybieramy poprzez kompetencje, a nie płeć / kolor skóry / orientację – może działać w polityce i prywatnych firmach? „Panie Redaktorze, skąd u Pana takie poczucie zagrożenia? Dlaczego ma Pan problem z tym, że kobiety mogą być bardziej kompetentne od mężczyzn?" – odpisała Sylwia Spurek.

I teraz największa zagadka – jeśli kobiety mogą być (i często są) bardziej kompetentne od mężczyzn, to wybór grona współpracowników składającego się tylko z kobiet to konsekwencja ich specjalistycznych umiejętności wycenianych przez wolny rynek, a sprzeciw wobec takiego stanu rzeczy oznacza poczucie zagrożenia, co oznacza sprzeciw wobec męskiego grona Rady Gospodarczej Senatu? Ktoś wie? ©℗

eprasa.pl 223289eb43

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

O dalszy postęp w nauce

Klerykalny faszyzm w Polsce 2015–2020. Krótkie studium przypadku współczesnego faszyzmu w Europie Środkowej". Tak zatytułowane dzieło włączone zostało w tym roku do światowego obiegu naukowego. Powstało na jednym z uniwersytetów brytyjskich. Przeczytałem je z zainteresowaniem. Pojęcie „klerykalnego faszyzmu" kojarzyło mi się z odległymi czasami stalinowskiej historiografii. W masowej propagandzie skracane było w owych latach do formuły „klerofaszyzmu". Odnoszono to pojęcie do Słowacji pod rządami ks. Tiso, kolaborującej ściśle z Hitlerem, do rządów Salazara w Portugalii, w Polsce bodaj tylko do ideologii ONR Falanga.

Nauka jednak nie stoi w miejscu. B. Andersen z Uniwersytetu Wrexham, na 71 stronach tekstu (wyposażonego w obfity aparat naukowy, dziesiątki przypisów, głównie z polskiego „Newsweeka" i stron takich jak wyborcza.pl, OKO.press, Polityka.pl, tokfm.pl), odsłania nowe znaczenie starej formuły. Bardzo „dialektyczne". Już we wstępie zaznacza, że „w Polsce rozwinęła się nowa forma faszyzmu, w której istnieje nie jedna, ale kilka radykalnie prawicowych partii, które dominują dyskurs, utrzymując jednocześnie system wielopartyjny". Dialektyka jest tutaj konieczna, do tej pory faszyzm był bowiem w naukowych opracowaniach łączony zwykle z wprowadzeniem systemu jednopartyjnego, likwidacją konkurencyjnych formacji politycznych. Autor woli jednak definicję faszyzmu sporządzoną przez Umberta Eco. Wśród 14 cech faszyzmu wymienionych przez włoskiego pisarza nie ma jednopartyjności. Jest za to: 1. kult tradycji, 2. odrzucenie modernizmu, 3. irracjonalizm itd., itp., aż do „pogardy wobec słabych", „toksycznego maskulinizmu" i „jakościowego populizmu". Nieco paradoksalnie brzmi, w świetle tych określeń, ostatni, 14. punkt definicji faszyzmu według Eco: „nowomowa używana do ograniczenia narzędzi krytycznego myślenia w złożonej rzeczywistości".

Rzeczywistość według brytyjskiego uczonego wygląda tak: „W 2020 r. Polska jest rządzona przez radykalnie prawicową, nacjonalistyczną i ksenofobiczną partię, która otwarcie popiera faszyzm. Stała się centrum dla antysemitów i białych suprematystów oraz matecznikiem dla europejskiej radykalnej prawicy". Autor analizy mierzy się następnie ze zjawiskiem „wypierania" niezbitego faktu, że Polska jest krajem faszystowskim. Przykład owego wypierania dają np. ci dziennikarze, którzy twierdzą, że w Marszu Niepodległości nie biorą udziału tylko faszyści, ale w większości „tzw. patrioci". Naturalnie wypierają swój faszyzm sami faszyści, np. Krzysztof Bosak czy Andrzej Duda (oczywistemu, acz sprytnie ukrywanemu faszyzmowi prezydenta RP autor poświęca odrębny podrozdział swego studium).

Skąd jednak przedrostek „klero-" w tym współczesnym, polskim typie faszyzmu? „Kluczowe postaci polityczne w Polsce przyjmują skrajnie służalcze stanowisko w stosunku do Kościoła katolickiego. W szczególności Jarosław Kaczyński, który przekonywał, iż kto atakuje Kościół [katolicki], atakuje Polskę". Jest jednak coś jeszcze: choć w Polsce bezpośrednia militaryzacja katolicyzmu jest ze strony państwa zjawiskiem rzadkim, to tylko dlatego, że to zadanie jest przekazywane (zapewne przez władze) „ludziom tworzącym policje" – to jest militarne zakony, takie jak Zakon Rycerzy Jana Pawła II, Żołnierze Chrystusa, Wojownicy Maryi. Tak jest: w Polsce odradza się tradycja krzyżacka. Chociaż na razie, zauważa autor, wojowniczość i militarne zdolności wspomnianych zakonów wyrażają się w publikowaniu na ich profilu na Facebooku „prawicowych postów" i „radykalnie prawicowych memów".

Nie wolno tego lekceważyć. I autor, zgodnie z zasadami humanistyki zaangażowanej, nie poprzestaje na samej analizie polskiego klerofaszyzmu, tylko swoją pracę kończy rozdziałem zatytułowanym w zgodzie z tradycją Leninowskiego „Co robić?". Te właśnie praktyczne wnioski naukowego dzieła są najciekawsze. Po pierwsze: „Mniejszości w Polsce muszą zacząć współpracować między sobą. Poparcia nie uzyskają od większości społeczeństwa". Współpraca mniejszości jednak nie wystarczy. Autor proponuje wprowadzenie sankcji, zarówno zbiorowych – wobec Polski pod rządami klerofaszystów – jak i indywidualnych. Na początku listy osób, które powinny zostać objęte międzynarodowymi sankcjami ONZ i innych organizacji, autor wymienia: Andrzeja Dudę, Jarosława Kaczyńskiego, Mateusza Morawieckiego, Marka Jędraszewskiego, Roberta Bąkiewicza i Jana Żaryna. Podkreśla wszakże, że jego ograniczone kompetencje badawcze nie pozwalają mu sporządzić w tym naukowym opracowaniu pełnej listy. Ona musi być znacznie dłuższa. Przede wszystkim jednak, apeluje nowoczesny humanista, „trzeba porzucić język, który relatywizuje faszyzm". Określenia takie jak „ultrakonserwatyzm", „skrajna prawica" czy „paleoprawica" nie wystarczą, są mylące, zbyt łagodne, próbują zagłaskać bestię polskiego „klerofaszyzmu". Wielopartyjny klerofaszyzm musi zostać ostatecznie zdemaskowany i zniszczony. ©℗

eprasa.pl 223289eb43

FOT. W. CEJROWSKI LTD/B. MROZOWSKI

WAKACJE ZYGZAKIEM

Wojciech Cejrowski
korespondencja z USA

Zrobiłem sobie wakacje i przejechałem USA zygzakiem. Zygzak – słowo kluczowe.

Kiedyś wsiadałem w auto i jechałem po prostu przed siebie bocznymi drogami, a gdy mi się znudziło, zatrzymywałem się w miejscowości dowolnej. Nie sprawdzałem wcześniej, co tam znajdę, czasami nawet nie wiedziałem, gdzie jestem. Pytałem o dowolny motel, w motelu o dowolną knajpę, w knajpie o całą resztę, a dnia następnego jechałem dalej lub zostawałem na dzień, dwa. Ten tryb podróżowania był uroczy – przez Amerykę na przełaj i bez planu, a nawet map.

Teraz stosuję zygzak. Planuję podróż dokładnie – z mapą w ręku – i NIE jest to mapa drogowa, lecz mapa wyników wyborczych, bo komfort życia i wakacji zależy od tego, czy wjedziesz do miasta, miasteczka, hrabstwa… rządzonego przez demokratów, czy przez republikanów. Demokratyczne należy omijać.

***

Było tak:

Dwie miejscowości sąsiadujące ze sobą. Jedna w upadku – z biznesami, którym okna zabito sklejką i przyczepiono napis „NA SPRZEDAŻ". Druga zupełnie normalna – życie jak zawsze. Obie leżą na plaży, obie żyły kiedyś z turystyki, do obu przyjeżdżały tłumy studentów na wiosenne ferie, potem rodziny na wakacje, potem wędkarze na ryby, potem turyści na Święto Dziękczynienia i tak cały rok, coś jak u nas w Sopocie.

Te dwie miejscowości łączy merytorycznie i strukturalnie w zasadzie wszystko – leżą na tej samej plaży – tyle że w jednej z nich rządzi demokrata, a w drugiej republikanin. W jednej trwa COVID, a w drugiej go nie ma. To znaczy w jednej burmistrz zarządza COVID-em i wciąż zabrania różnych rzeczy, a w drugiej burmistrz zarządza kryzysem, gdyby się pojawił, ale nie COVID-em, bo burmistrz nie ma władzy nad wirusami.

Szedłem plażą i najpierw mogłem coś zjeść, gdzie tylko chciałem (wszystko otwarte), wejść do baru i się napić, spacerować bez maski, a po przejściu niewidocznej granicy pomiędzy miasteczkami nie mogłem już większości z tych rzeczy. Przymus noszenia maski wszędzie, nawet na ulicy i plaży, większość restauracji zamknięta, bo liczbę klientów ograniczono tak drastycznie, że się opłaca serwować tylko na wynos, hotele puste, bo skoro bary nieczynne, to ludzie wolą się zatrzymać kawałek dalej, w tej drugiej żywej miejscowości.

***

Lubię gadać z obsługą, z kelnerami, kucharzami, ze sprzątaczkami, więc dowiaduję się szybko, jak jest i co jest naprawdę. W miejscowości zarządzanej przez demokratę liczba zachorowań i zgonów jest znacząco większa niż w tej drugiej, gdzie ludzie żyją normalnie, choć ostrożnie. Czemu? Sprzątaczka mi to wytłumaczyła szybko: Tam się nie chce żyć, tam jest smutek i upadek, ludziom padły interesy życia, chlają, ćpają, siedzą w domu, odporność im wysiadła psychiczna i fizyczna, mają dość i żyć im się nie chce, a jak się żyć nie chce, to się łatwiej umiera.

***

To zjawisko widać wszędzie na świecie – lepiej jest tam, gdzie restrykcji nie ma, a jeśli były, to krótko. To po co są tam, gdzie są? Czemu władze nie wycofują się z obostrzeń nieprzynoszących efektu, lecz brną w bezskuteczne działania? Brak odwagi – boją się wyjść na frajerów.

W USA republikanie mają więcej cywilnej odwagi i samodzielności od demokratów. Demokraci stosują dyscyplinę stadną, republikanie są indywidualistami i widać to także w organizacji ich partii – radź sobie samodzielnie, zdobywaj głosy, a potem przyjdź do nas z jakimś osobistym dorobkiem i pogadamy co dalej.

Demokraci mają procedury odwrotne: słuchaj poleceń, wykonuj rozkazy, to ci pomożemy zdobyć stanowisko. No i w efekcie republikański burmistrz, który samodzielnie zdobył stanowisko, jest odważniejszy w ogłaszaniu czegoś takiego: „Drodzy ludzie, nic wam na COVID nie poradzę, tak jak wam nic nie poradzę na jesienne huragany, mogę jedynie pomagać w przetrwaniu tego zjawiska przyrody. A zatem szpitale będą przygotowane, rezerwy ludzkie i inne rzeczy także, ale w zasadzie z zabezpieczeniem przed COVID-em i huraganem każdy musi sobie jakoś radzić sam. No a żyć i pracować trzeba i tyle. A jak kogoś trafi, to sobie nawzajem będziemy pomagać. No to do roboty i życzę, żeby wszystkich ominęło bokiem".

Burmistrz demokratyczny z kolei po prostu wydaje rozkazy, rozkazy są wzajemnie sprzeczne i wszystkie jak leci bezsensowne, ale są ostre i jest ich dużo. Zacytuję tu może, ni stąd, ni zowąd, naszego burmistrza Morawieckiego, który powiedział: „Gdy będzie 19 tys. zakażeń, powrócimy do strefy czerwonej, gdy 9 tys. – do strefy żółtej, gdy 27 tys. – będzie ogólnokrajowa kwarantanna. Nie powiedział niestety, ile ma być zakażeń, żebyśmy wrócili do normalnego życia. ILE MA BYĆ, DO CHOLERY, ŻEBYŚCIE SIĘ OD NAS ODCZEPILI? ZERO?

***

Przejazd zygzakiem przez USA robiłem z mapą wyborczą w ręku. Ten sam hotel w dwóch różnych miejscowościach – w demokratycznej nie dają śniadania, bo się zarazisz COVID-em. W miejscowości republikańskiej śniadanie jest, bo przecież gdybyś nie dostał w hotelu, to pójdziesz do knajpy obok, czyli jeżeli masz się zarazić, to i tak się zarazisz – sto metrów dalej – a potem wrócisz do tego samego hotelu z chorobą.

W demokratycznej masz po mieście chodzić w masce, w republikańskiej nie musisz. W demokratycznej ograniczenia liczby osób na mszy, Komunia tylko do łapy i maski na ryj albo won. Kościoły puste, bo dodatkowo do tych ograniczeń dołączono dyspensę od mszy. W miejscowości republikańskiej ograniczeń zero, a kościół pełen. Wszystko w ramach jednego stanu.

Kiedyś, jadąc do kurortu, ludzie sprawdzali recenzje na stronie WWW. Dzisiaj zacznij od sprawdzenia, kto rządzi miastem. U demokratów nie odpoczniesz, tylko cię zmęczą. ©℗

eprasa.pl 223289eb43

UWAGA – OD LISTOPADA NOWE CENY PRENUMERATY

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA TYGODNIKA „DO RZECZY"

W PREZENCIE

WYJĄTKOWY ZESTAW:

RAFAŁ ZIEMKIEWICZ
„CHAM NIEZBUNTOWANY" + KOSZULKA
ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

~~734 ZŁ~~

274,00 ZŁ

OSZCZĘDNOŚĆ 460 ZŁ

PRZY SKŁADANIU ZAMÓWIENIA PROSIMY O PODANIE ROZMIARU KOSZULKI

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

- Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%)
- Nie przegapisz żadnego wydania
- Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami
- Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat
- W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: **UWAGA NOWY NR 33 1600 1462 1816 5874 1000 0006**
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy kurierem.

ZOBACZ NASZE OFERTY: PRENUMERATA.DORZECZY.PL

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **508 040 664, 539 953 631** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl 223289eb43

eprasa.pl 223289eb43